

AM. 69.206/1

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

Nr 217.

192

JADWIGA I JAGIEŁŁO

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

napisał

Karol Szajnocha.



Cześć I.

Majątek Tawczuny

→ → →
pieczęć Klejdany

Cena 40 kop.

W pren. 30½ kop.

WARSZAWA

Redakcyja i Administracyja
47. Nowy-Świat 47.

1902.

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

WYCHODZI CO TYDZIEŃ

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

w WARSZAWIE:

Z przesyłką pocztową:

Rocznie (52 tomy) rs. 10	}	Rocznie (52 tomy) rs. 12
Półrocznie (26 tomów) „ 5		Półrocznie (26 tomów) „ 6
Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50		Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Za odnośnienie do domu 15 kop. kw.

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy)	rs. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów)	„ 3 „ —
Kwartalnie (za 13 tomów)	„ 1 „ 50

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Granowski.



Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 1670.
we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego. Nowy-Świat 47.

Dubl. I, 46.468^v

I. 50.912^v

4. XII. 1950

10/592^R
JrL.



JADWIGA I JAGIEŁŁO.

Karol Szajnocha.

JADWIGA I JAGIEŁŁO

1374—1413

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

——
Część I.
——

WARSZAWA

DRUKARNIA

A. T. JEZIERSKIEO

47. Nowy - Świat 47.



94(438).03: 929-052A/2

"13/14"



SN 1804

Дозволено Цензурою.
Варшава 10 Января 1902 года.

WYDANO Z DUSLETÓW
Biblioteki Narodowej

OD REDAKCYI.



Dajemy Czytelnikom dzieło, które jest ozdobą i chlubą naszego piśmiennictwa historycznego.

„Jadwiga i Jagiełło” to prawdziwy klejnot dziejopisarstwa.

Talent Szajnochy rozwinął się tu w całym swym blasku, a czasy i ludzie — te czasy właśnie, które Sienkiewicz opisał w „Krzyżakach,” — zmartwychwstają pod jego piórem i ukazują się oczom naszym w drgających życiem obrazach.

Nie wątpimy też, że poznanie dzieła tego, malującego epokę srogich walk Polski z Niemczyzną, szczególnie interesującym będzie dla nowego pokolenia czytelników dzisiaj, kiedy fala germanizmu znówu potężnie uderza o nasze brzegi i chciałaby je zalać i zatopić.

Redakcyja.

posady. Gdy powódź opadła, okazywały się w miejscu łąk dawnych utworzone przez nią jeziora; w miejscu zagonów—rzeki. Takim wylewom przypisywano powstanie Dunajca, Raby i Skawy. W zimie podczas łomania się lodów płynęły po jeziorach i rzekach kolosalne stosy kry, wspięte jedne na drugie, ni to skały kryształowe, tysiącem promieni w rozmaitych kolorach lśniące. Zawadziwszy o miasto w drodze, piętrzyły się one do wysokości baszt miejskich, i uderzały szturmem zniszczenia w mury. Gdzieindziej, zwłaszcza w lecie, oczekiwano powodzi jako błogosławieństwa, a rok, w którym „Nil wielkopolski” (Notec) nie wylał, miano za niepomyślny.

Po tem morskiem zwierciadle wylewów każdorocznych, po tych jeziorach kilkumilowych, rzekach portowych, wiły się we wszystkich kierunkach przeróżne statki, okręty. Mniejsze zawijały do licznych jeziorowych i rzecznych przystani, zwanych niekiedy przewłokami. Większe dążyły do morza i za morze. Rozbity u wybrzeży fryzyjskich okręt toruński, wywołał powszechnie przypuszczenie, że aż do wspomnionego niżenia się stanu Wisły mogły w porcie toruńskim największe gościć okręty. Jak na jeziorze Gople z Myszej wieży, tak na małopolskiej Wisły wybrzeżu z wieży Kazimierza Dolnego świeciła nocą szeroko po okolicy żeglarska dla przemijających statków latarnia. Na innych rzekach drobność statków wetowała się niezmierną ich licznością. Przypomnijmy sobie, jakie mnóstwo najrozmaiciej nazwanych łodzi i łódek, pławiczek i pławic, obijaników, szuhalej, bark, bajdaków o trzech, a nawet czterech masztach, wiosłuje na jeziorach Pińskich z nadejściem wiosny, a poweźmiemy wyobrażenie o tłumie żagli na wodach ówczesnej Polski. Zabytkiem tej gęstej w Piastowskich wiekach żeglugi—acz dziś i zabytek już zapomniany — pozostało wielce wydoskonalone słownictwo żeglarskie. Według niego, starożytne herbowe Łodzie, Korabie, nawy, znana już za czasów Gowor-

ka szkuta, przewożący Krzyżaków do Litwy „promen,” wreszcie późniejsze komiegi, galary, statki, dubasy—oznaczały tyleż różnokształtnych i różne przeznaczenie mających rodzajów statków. Z nich to opłatą ceł od towarów, opłatą przewozu od podróżnych, płynęła do skarbu znaczna część dochodu ówczesnego. Im głębiej w starożytność sięgniemy, tem częściej przypomina się ludna klasa korabników. Do późnych czasów mieli żeglarze polscy nad każdą niemal rzeką, jak np. nad Sanem, osobną „konfraternię wodną,” złożoną z szyprów, retmanów, skutników, flisów. Cóż dopiero powiemy o nieskończonej mnogości rybitwów!

Rybołówstwo było codziennym trybem życia. Częste a długie posty, jako też wodne, bezleśne okolice, zawdzięczały mu jedyne swe pożywienie. Liczne ładowne wozy z rybami rozchodziły się każdodziennie z nad wybrzeży „wielkiego jeziora”, dostarczając całej okolicy obfitego, zbytecznego pokarmu. Zamożniejsze strumienie, oprócz znanych rodzajów ryb, wydawały jeszcze jakieś zapomniane w dzisiejszej mowie powszedniej lipnie, berzany, ukleje, kleszcze, sielawy i tyle innych. Napływające z morza łososie, jesiotry, czeczugi, przeskakiwały jazy, aby wpaść w matnię. Na wybrzeżach gdańskich poławiano do czasów króla Łokietka śledzie. Toż na wielką stopę wiedziono „myśliwstwo rybne.” Szerokie płoty o pozostawionej w środku bramie dla czółen, żelazne haki, czyli „grodze”, jazy, przegradzały koryta rzek. Dla wydobycia bogatego połowu z jezior przyprzęgano konie do włóków. Żadna pora roku nie była przeszkodą rybakowi. Owszem, im sroższa zima, tem dłużej, bo od Wszystkich Św. aż do końca marca, trwała ulubiona łówka po lodzie. Osobnej klasie rybaków odpowiadała osobna klasa tkaczy rybackich, włóczków, a przewodniczył u dworu książęcego osobny „mistrz rybołówstwa.” W ich ręku widzimy najrozmaitsze rodzaje broni rybackiej, włoki, wędki, więcierze, potrestnice, słabnice,

wiersze, zabrodnie, niewody, żaki. A ileż to różnych sposobów używania tej bronii! Każdej wsi dziedzic, zastrzegając sobie samemu główny połów dużemi włokami i handel rybny, dozwalał swoim osadnikom pod rozmaitemi warunkami rybołówstwa dla własnego użytku. Tam sołtys na mocy pozwolenia pańskiego w łódce na samym środku jeziora zarzucał wędę, a kmiecie u brzegów brodząc łowili. Owdzie zmyslny „wieśnica”, omijając zakaz łowienia w łódce, płynął na środek jeziora i dawnym słowiańskim obyczajem, leżąc na wodzie zapuszczał niewód. Czemu zapobiegając, obwarowywano się gdzieindziej wyraźną formułą: „wolno łowić tylko na nogach stojąc” i łączono z tem warunek używania wędkii tylko w dnie pewne. Swobodny rybak dorabiał się majątku i jak owi jego druhowie w gościnie u burgrabi złotoryjskiego, pijał za pan brat ze starostami. Mnogie wreszcie dzieła o rybołówstwie poświadczają jego ważność w latach dawniejszych.

Ale nie tylko dla ryb kwitnął wiek złoty. Obok nich rozkoszowały się w ówczesnych wodach i bagnach roje innych zwierząt, zwierzątek. Takimi były na-przód bobry, których łowy narówni szły z rybołówstwem. Już ich wprawdzie znacznie ubyło. Już nigdzie więcej nie czytamy o tak zamożnych bobrowniach, jak te, w których na półtora wieku przed początkiem naszej powieści utrzymywano nad Narwią starannie dobrane stada bobrowe, rozdzielone według różnaitości kolorów. Lecz wyszczególniane w 13 wieku bobrowe gony i żeremie nad Obrą, nad jeziorem Łępnem, nad Wisłą, nie mogły tak rychło wyginać. Toć jeszcze w późniejszych czasach napotykamy ślady muogóci bobrów.

Z niemi sąsiadowało ptactwo wodne i leśne. Chmury najróżnorodniejszych stworzeń pierzastych zaludniały każde bagno, każdą dąbrowę. Orle gniazda bywały skazówkami dróg leśnych. Niektóre góry małopolskie służyły wszelkiego rodu latawcom za miej-

sce tłumnych zborów. W pobliżu Krakowa, którego nazwę od mnogości kruków wywodzono, leżała góra Skrzeczno, nazwana w ten sposób od skrzeczenia sejmikujących na niej rojów skrzydlatych. Tak pomiędzy różnokształtnem rodzeństwem ptactwa, jak pomiędzy ptactwem a drobniejszemi czworonożnemi zwierzęty toczyły się krawe boje, któremi uderzona fantazyja ludzka, brała często za godło na monetach walkę ptaka z ptakiem, ptaka z zającem. Nawet na ludzi rzucało się ptactwo drapieżne. Opowiadano sobie, że zatatrzańskie orły wespół z wilkami rozszarpywały mieszkańców. Na zabój tedy szła odwetowa walka myśliwstwa z drapieżstwem ptaszem. Jeden z najprzykrzejszych ciężarów starożytnego „prawa polskiego”, obowiązek żywienia sokołów i podejmowania sokolników, posiłkował właśnie tę walkę. W niezmiernie różnorodnej ilości jej myśliwskiego łupu postrzegano także „bażanty.” Były od łowów wolne tylko bociany. Zdawien dawna przyjaciele chaty wieśniaczej, wstępowały one do niej na mieszkanie wśród długich mrozów. Gdy wiosenne słońce zagrzało, rozbrzmiewały modrzewiowe gaje wybrzeża nadwiślańskiego niewymownie gwarnym chórem ptasząt, osobliwie licznych tam do tej chwili słowików. Zdziwieni ich mnogością Krzyżacy, nazwali swoją pierwszą nadwiślańską warownię „Śpiewem ptaszyn (*Vogelsang*). Medyckie słowiki przyprawiły Jagiełłę, jak wiadomo, o przeziębienie i śmierć.

Jakże wreszcie wypowiedzieć ówczesną mnogość skrzydlatych i nieskrzydlatych owadów, płazów! Kto będąc mieszkańcem okolic suchych, nie ma wyobrażenia o tej pladze stron mokrych, niech o wilgotnym wieczorze przejdzie się ponad wodami bagnistych nizm, a pojmie, jak tłumne roje much, muszek, komarów, litewskich tarakanów, zagęszczały powietrze, gdy cały kraj był moczarem. Nie chronił od nich żaden strój, żadna strzecha. Każda rana stawała się od ich

natręctwa dwójnasób niebezpieczną. Oprócz zwyczajnych owadów, pojawiały się niekiedy jakieś nowe rodzaje jadowitego robactwa skrzydlatego, przynoszące śmierć ludziom. Od wschodu nadlatywała szarańcza. Nie można było sypiać inaczej, jak tylko pod siatkową osłoną, posyланą niekiedy, jako „osobliwość pogańska”, w darze krajom odległym. Ale zabezpieczenie się od plagi latającej nie zabezpieczało bynajmniej od łążącej. Najpospolitszem utrapieniem bywały żaby. W starodawnej Wiślicy, przybierającej co wiosna kształt wyspy niedostępnej, przeszkadzały one niegdyś swoim niezmiernie głośnem żegotaniem tak długo nabożeństwu w kościele, zwłaszcza kazaniom, aż póki zniccierpliwny kapłan nie zaklął ich jednego razu wiecznem milczeniem. Zresztą nieskończona obfitość jaszczurek, wygasłych już pono płazów giwojłów, wszelkiego domowego robactwa, dręczyła ludność ówczesną. Codzienne łaźnie nie były rzeczą zbytku, lecz najsmutniejszej potrzeby.

Za toż ile miodonośnego owadu, pszczół ile! Żaden kraj europejski nie dorównywał w tej mierze okolicom nadbałtyckim. Kwitły tam jakieś szczególnie słodkie kwiaty, woniały „ogromne” lasy lipowe, rozkosz pszczół odwdzięczających się słynnym lipcem. Przy tak łakotnej roślinności nie potrzebowały pszczoły nadwiślańskie sztucznego hodowania. Łada wydrążony pień służył za ul, łada bór był pasieką. Całe osady trudniły się wyłącznie pszczelnictwem. Każdy z takich osadników składał coroczną daninę po 20 urn, czyli baryłek miodu. Uzyskiwano go tyle, iż można było wyżywić nim „całą Germanię, Brytanię, najodleglejsze strony zachodu.” Uchodził też miód, podobnie jak i futra kosztowne, za rodzaj monety bieżącej. Niektóre winy sądowe opłacano przed wieki miodem. Woskowe krążki, woskowe świece, stanowiły zwyczajne kary duchowne i ofiary kościelne. Wosk stanowił walny artykuł handlu. Odpowiednia temu mnogość bartników, bartodziejów, organizowała

się w osobne towarzystwa. Obok konfraternii wodnej nad Sanem istniało w biskupstwie płockiem, w Broku, liczne „*contubernium* bartników”, „zawiadujących barciami”, czyli „dziankami” całej puszczy biskupiej. Ci mieli swego starostę, sędziego i pisarza z ławnikami, wszystkich przysięgłych. Każdy pan zamożniejszy trzymał osobnego „starostę miodowego”, przełożonego nad czeladzią bartniczą. Było osobne prawo bartnicze.

Pszczoła wyprowadza nas wreszcie ze stron bagnistych w kraj leśny, z Wielkiej Polski do Małej, do Mazowsza. Jak Wielkopolska po większej części płynęła jeziorem lub grzęzła bagnem, tak Małopolska i Mazowsze szumiały lasem. Ale nie były to przetrzebione, poprzecinane w swym jednostajnym ciągu lasy dzisiejsze. O pół tysiąca lat pierwotkowej naturze bliższa, niezmiernymi przestrzeniami aż po dalekie rozpościerająca się góry, zawierała „puszcza” ówczesna albo zupełnie już nieznane, albo nadzwyczaj rzadkie rodzaje kosztownych, olbrzymich drzew. Gdzież dziś one starodawne lasy modrzewiów, gaje cisowe, gdzież ogromne bory lipowe! Nad dolną Wisłą zieleniały niegdyś drzewa, rośliny, „których dziś wcale nie masz.” Dalej ku wschodowi podziwiano ruiny odwiecznych pni, „których rodzaju już wówczas nikt oznaczyć nie umiał.” Bory nadbużańskie zdumiewały zagadkowemi skamieniałościami drzewnemi. Do powszednich rzeczy należało wycięcie dębów, „którym chyba po pół tysiącu i więcej lat mogły wyrość zastępcy.”

Takie zwyczajne drzewa miały potworną objętość i rozłożystość. O ich ogromie może najlepiej przekonać cena materiału budowniczego, uzyskiwanego z drzew pojedynczych. W wiekach, kiedy czasem wieś całą kupowano „za dwa woły, za sześć łokci sukna brunatnego i za kilka skórek lisich”, albo „za dwadzieścia grzywien srebra i za dwie suknie”, bywały dęby, których wartość na sto grzywien ceniono.

W ich wnętrzu wykruszonym mógł nieraz jeździec czynić wygodnie obroty konne. Za swoich młodszych czasów dźwigały one niekiedy całe baszty z rycerstwem, zbudowane wpośród konarów. Ów krzyżacki kasztel, Vogelsang, był właśnie taką twierdzą w ramionach dębu. Są ślady częstego inkasztelowania drzew. Użyte do kolosalnych machin wojennych, burzyły one swoim ogromem olbrzymie mury grodów. Też maszyny wojenne wraz z palami do ogrodzenia, czyli oparkania twierdz, zadały największą klęskę ówczesnym lasom. W zamorskim handlu drzewem zdarzało się, iż przy zatamowanej żegludze bałtyckiej nieprzejrzane składy materiału budowniczego, rozciągające się na przestrzeni „całej mili”, próchniały wzdłuż wybrzeży Motławy. W widokach sprzedaży rozróżniano starannie drzewa „wielkiej ważności a drogiego myta” od ostatnich. Ścisłejsze w ogólności pożytku z naturą leśną, wśród gęstych dokoła lasów, uczyło gatunkować umiejętnie roślinność leśną. „Las” znaczył mieszaninę drzew rozmaitych, rozpościerającą się po większej części na gruntach mokrych. Znajdowały się tam pospół „dęby, jasiony, wiązy, buki, sosny — gęsto napotykaane topole — i wszelkie zresztą rodzaje.” „Czarnym borem”, czyli borem, nazywał się las szpilkowy. Czytamy o „dobrym lesie, albo gaju, rzeczonym zapusta.” Nie każda dębina była „dąbrową.” Pomniejsza puszcza zwała się „smugiem.” Właściwa „puszcza” zawierała zwyczajnie barcie. Las, „opieczysko” zwany, miewał piece smoły i potażu, ważnych przedmiotów handlu. Wyrażano się niezrozumiałym dziś sposobem „o gajach, gdzie mało jest lasów.”

W coraz podrobiejszem rozszczególnieniu tworów świata leśnego otrzymywał każdy las swoją osobną nazwę. Tu szumiął Świerkleniec, owdzie Smoleń, tam Gorzechowo. Pomiedzy młodszym porostem trupieziały gdzieniegdzie sędziwe „Starce”, pomne może przechodu Gotów i Longobardów. Nazwy wielu dzi-

siejszych zamków i osad, jak np. Tęczyna, były pierwotnie nazwami lasów. Owszem, każde znamienitsze drzewo służyło osobnem mianem. Zapewne nie żyje już stary „Cynoda”, runął *terobintus* nazwiskiem „Płon”, ale za czasów Łokietka i Jagiełły oddawano im jako drzewom granicznym, napiętnowanym zwyczajnie tak zwanemi „ciosami”, czyli znakami krzyża św., głęboką cześć. Kto ich nie uszanował, kto je sfalszował, ten na nich obwieszon bywał. Jak Wielkopolska swoim „Wielkiem” i innemi jeziora, tak Małopolska szczyliła się drzewami uświęconemi historią lub obyczajem. W Szczepanowie pod Tarnowem czczono dąb starożytny, pod którym miał się narodzić św. Stanisław. Na gruncie krakowskiej wsi Ujazdu wznosił się wiąz odwieczny, piętnastu łokci obwodu, ulubieniec tego świętego „lubownika drzew dzikich.” Śród niepołomickiej puszczy pokazywano siwe dęby, pod któremi jakiś król polski, zapewne Kazimierz W., sądy odprawiał. U stóp Bieskidu, w Dąbrowicy, wznosił się „podziwu godny dąb”, ojciec trzech z pomiędzy korzeni wytryskujących źródeł Dniestru, Sanu i Tysy. A jak jeziora wielkopolskie w ryby, tak lasy małopolskie, pominąwszy już inne pożytki leśne, obfitowały we wszelkiego kształtu owoce. Obok żołądźci i pożywnych w czasie niedostatku jemiół, kwitły lasy bukwia, dzikimi jabłkami, osobliwie zaś najróżnorodniejszym mnóstwem smacznych orzechów. Te ostatnie były dziwnie ulubioną, zapewne rozmaicie przyprawianą łakocią. Toć wiadomo, że Kazimierz W. umarł z nieumiarkowanego użycia orzechów.

Nie ludziom jednakże właściwą las dziedziną. To ojczyzna dzikiego zwierza. Nie było mu też liczby w puszczach ówczesnych. W cieniu wygasających rodzajów drzew przechadzały się wygasłe albo dogasające dzisiaj rodzaje zwierząt. Z surowszym dla mnogości lasów i jezior klimatem onego czasu zgadzają się domysły o renach, urzędowe wzmianki w statucie o sobolach. Byt turów, żubrów, rysiów, koni dzikich,

nie podlega wątpliwości. Pierwszy z nich, czarny sło-
niowego ogromu tur, pasł się spokojnie w lasach Ma-
zowsza, poruczony pieczy i straży niektórych osad.
Chroniąc go od łowców pospolitych, polowali nań sa-
mi książęta. Najupodobańszą po nim zwierzyną był
szerokołby, trzech ludzi pomiędzy rogami pomieścić
mogący żubr. Turze i żubrze rogi połyskały myśliw-
cowi ówczesnych lasów urokiem kosztownego towaru,
cenniejszego nad samo smaczne ich mięso. Tygryziej
barwy i w rzeczy tygrysem zwany ryś nęcił drogiem
centkowanem futrem. Koń dziki, w XIII wieku aż po
nadodrzańskie rozplemiony wybrzeża, a jeszcze w wie-
ku XV pospolity litewskich lasów mieszkaniec, pośre-
dniczył między koniem a osłem. Całe stada łosiów
ubijano i solono w czasie jednej wyprawy myśliw-
skiej. Niedźwiedzie, oddane wraz z dzikami na wol-
ną pastwę łowcom, wyprowadzano żywcem w świat.
Tam bawiły one w rozmaitych rolach lud odpustowy,
albo po dworach faworów książęcych dostępowały.
W dobrach klasztornych trzymano je na stajni. Zda-
ła od nich kąpały się w jeziorach leśnych niezliczone
tłumy płochliwych sarn. Co za rozkosz dla wędro-
wnego myśliwca obaczyć niespodzianie taką kąpiel je-
leuią! Oto jak jeszcze po dziś dzień w kniejach nad-
goplańskich „skaczą one stadami z wysokich brzegów
w głąbię jeziora, a podniósłszy rogi rosochate, pły-
wają ręczo, podobne do morskich potworów.” Mno-
gość odyńców, wilków, lisów, kóz dzikich, zacieśniała
sobie wzajem świat leśny. Ztąd i w czworonożnem
społeczeństwie równie zacięte, jak między ptactwem
walki. Te same jeziora, które jeleniom w lecie słu-
żyły za ochłodę, stawały się im zimą wskutek takich-
że walk przyczyną i miejscem zguby. Wilki bowiem
napędzały je w tej porze na gołoledź jeziora, gdzie
ślizgając się, ginęły ofiarą podstępnego i drapieżnego
zwierza.

Ale jeszcze większe, niż sobie samym szkody
wyrządzały roje większego i drobniejszego zwierza,

jako to zajęcy, kun, łasic, wydr, ludziom i polom. Snując się gromadnie po całym kraju, pustoszyły one rok w rok zasiewy i zbiory. Zabezpieczenie się od nich należało do głównych trosk gospodarstwa. Niekiedy rzucał się zwierz tłumnie na ludzi, ginących pod jego kłami. Głodnych wilków nie odstraszała nawet kusza napięta. Kto nie chciał, bywał myśliwym. Takie dorywcze polowania były zazwyczaj każdemu wolne. Tylko gruby zwierz w kniei poczytywał się wyłączną własnością pańską, t. j. króla w dobrach koronnych, biskupa w duchownych, szlachty dziedzicznej w ziemskich. Ci utrzymywali wojska myśliwych. Urząd przewodniczących im „łowczych” wszedł później w liczbę dostojenstw ziemskich. Gronem łowczych rządził jeden łowczy jenerał. Cała ludność musiała dopomagać myśliwym. Nie doliczyć się gminnych w tej mierze powinności. Rzeźnicy dostarczali łbów bydłych dla psów, wątrób dla sokołów. Każda wieś „polska” miała obowiązek żywić psy, sokoły, podejmować wędrownych łowców, albo opłacać „psiarskie.” Całe osady szły z prawa na obławę, czyli „przełaję.” Tak wszędzie wspierani, wszędzie podejmowani, przeciągali myśliwi z psami, z mnogim przyborem sieci, pęt, sideł, z arsenałem oszczepów, łuków, kusz, z jakąś myśliwską kłodą, tu z samotna po dwóch, tam liczną książęcych i biskupich łowców czeredą, kilkudziesięciomilowe puszcze, „łowiska.” Odrębność stanu i wciskanie się do niego wielu nieupoważnionych natrętów wykształciły pomiędzy prawdziwymi łowcami osobny język myśliwski, przekazywany pod tajemnicą młodszym wychowankom zawodu. Po stosownem haśle, po trafnej odpowiedzi, rozeznawali się w zielonej pustyni borów rzetelni łowcy od frantów, przyjaciele od nieprzyjaciół.

Było to życie swobodne, pełne przygód i napiętnego powabu. Uczeni biskupowie udowodniali przykładami z historyi i komentarzem moralnym zba-

wienność zabaw myśliwskich. Uciekano z roli kmiecej w służbę myśliwską, jako pod tarczę wolności. Okazana przy uczcie mniejsza lub większa liczba zdobytych rogów turzych stanowiła chwałę puszczonego łowcy, spoglądającego z pogardą na dojeżdźaczyw zajęcy w polu. Owoce trudów myśliwskich przynosiły wieloraki pożytek. Solona w beczkach lub wędzona zwierzyna płynęła okrętami w handel zamorski. Czasu wojny wożono te mięsiwa za wojskiem, jako główny zapas żywności. Szyunki pobierano nieraz daniną. Futra należały do najulubieńszych skarbów, strojów, przedmiotów handlu. Niektóre opłaty sądowe działały się tylko w kozuchach, czyli łupieżach grono-stajowych, łasicznych, kunich i lisich. W Nowogrodzie do ostatnich lat panowania Witolda, oprócz rąbanych sztuk srebra, nie znano innej monety krajowej, jak główki popielicze i kunie, czyli tak zwane „łebki i mordki.” Przed upowszechnieniem się groszy praskich dopuszczano się na targowli krakowskiej, z braku brzęczącej monety, wielkich podobnemiż łebkami i mordkami nadużyć. Nareszcie stały się kuny coraz rzadszemi, a takiż sam ubytek łasic, popielic, wiewiórek i tym podobnych zwierząt, czyni dziś wzmiankę o nieskończeniu upowszechnionej niegdyś odzieży z ich futer prawie niezrozumiałą.

Łatwiej pojmiemy dalszą wynikłość ówczesnej lesistości — obfitość łąk i pastwisk. Z nią łączył się zamożniejszy chów bydła. W wiekach kwitnienia rybołówstwa i myśliwstwa kwitnęło także życie pasterskie. Łąka znaczyła więcej niż rola. Jeszcze za czasów Zygmuntońskich szacowano ją na równi z polem ornym. W tym samym stosunku, w jakim jej wartość spada w latach późniejszych, rośnie taż sama wartość wstecz. Przed spojeniem ziem naddniestrzańskich z Koroną słyneły najgłośniej pastwiska małopolskie. Zwłaszcza okolice Opatkowic nad Wilgą zjednały sobie chlubną w tym względzie pamięć. Liczne nazwy Koninów, Koniusz, Koniuch, Koniuszek, Końskich wól,

są tylko zabytkiem osad oddanych pierwiastkowo wyłączeniemu dozorowaniu stadnin. Znaczne stada przebiegały samopas łągi ówczesne. Jedno np. przybłąkało się w one czasy do Srzeniawity Przybysławowa, zamieszkującego samotną górę w pobliżu Proszowic. Sprowadził mu je koń, który sprzedany przezeń przed kilku laty do Węgier, zatęsknił za dawnym domem i z całą zgrają kłaczy i źrebiąt wrócił napowrót ku Proszowicom. Srzeniawicie Przybysławowi stał się koń w ten sposób źródłem znacznej fortuny; Toporczykowi Żegocie, który po niespodzianym powrocie z długiej w obcych krajach gościny, znalazł ojcowiznę swoją rozszarpaną przez braci, a u tych braci, zamiast radosnego przyjęcia, zaparcie się wszelkiego z sobą braterstwa, pozostał koń podróżny jedyną spuścizną i miłością, uwiecznioną później nowym herbem „Stary koń”, czyli Zaprzaniec.

Niemalęm bogactwem były podobnie owce. Nie masz prawie kronikarza dawnego, któryby nie wspomniał „owiec wełnistych” jako jednego z głównych skarbów ziemi polskiej—„niepośledniej trzody owczej”, jako zwykłego mienia ubogich. Zamożniejsi gospodarze, biskupowie, byli tak bogaci w tej mierze, że im nieraz dorywczą grabieżą uprowadzano z folwarków trzy, cztery tysiące owiec i tyleż koni i wołów. Przy złupieniu dóbr biskupstwa wrocławskiego szło dwieście owiec po trzy kwartniki w targu. Materye wełniane były powszechniejsze od płócien. O gęstym po wsiach i miastach wyrobie sukien w Polsce wypadnie nam mówić później. Szły one, jak ów koń Przybysławów, w daleki handel za granicę.

Ale jeszcze dalej, niż sprzedany do Węgier koń, niż wyprawiane do Nowogrodu tkaniny z runa owczego, szedł trzeci towar tamtoczesnego pasterstwa. Było nim mięsiwo trzody bezrogiej. Na obfitej żołądzi wypasała się ona w rzadką dorodność. Słynniejsze tego rodzaju żerowiska żołądne dawały początek znacznym później osadom. Jak z koniuszych szałasów wiele Koninów

powstało, tak i dzisiejszy Żywiec, niemiecka *Seybusch* czyli właściwie *Saubusch*, był pierwotnie tylko żerowiskiem, czyli żywcem wstrętne go Żydom zwierza. Temci korzystniej handlowali najstynniejsi gospodarze polscy za pomocą własnych okrętów szynkami i potściami słoniny aż do Flandryi dalekiej. Z godziwą też bezstronnością rozciąga statut Wiślicki swoją pieczołowitość zarówno na „świerzepice albo kobyły”, jakoteż na woły i trzodę chlewną.

Tak rozlicznemi zajęciami około trzody, stada, pasieki, z kuszą myśliwską w kniei, z włokiem lub wędą na wodach, z młotkiem w szachcie podziemnym, urozmaicało się życie ludzkie pod wpływem odmiennego oblicza ziemi. W ogólności miała ona dzikszą, surowszą postać. Bagna z osłaniającym słońce całunem wilgotnej mgły, lasy z długoleżącym śniegiem i gęstym powszędy cieniem, zaostrzały o wiele klimat. Dłuższe niż dziś pory zimowe srożyły się nadzwyczaj tęgiemi mrozy. Dziejopisarze poświęcają osobne ustępy opisom srogich owego czasu zim. Jeden z zachodnich rycerzy, gość Jagiełły i Witolda, zappełnia w opisie swojej podróży cztery rozdziały opowiadaniem dziwów zimy bałtyckiej. Myśliwi usypiali na stanowisku wieczystym snem zamrożenia. Co żyło, chodziło zimą i latem w futrach najrozmaitszego rodzaju. Futra były potrzebą, były przepychem. Prosty to lub stanowił zwykłą odzież Jagiełły. Zagraniczni wybrednie uskarżali się, że Polacy kożuchem śmierzdzą.

Nadto dęły zimą i latem jakieś gwałtowne wiatry. Burze ówczesne obalały raz poraz nowe budynki, wykorzeniały pnie starożytne, gruchotały do razu po 60 okrętów w porcie gdańskim, po 37 wież w mieście, unosiły na kilkadziesiąt kroków dzwonnice wraz z dzwonami. Dodajmyż jeszcze dwa dziwne przeciwieństwa ówczesnej natury: wylewy i posuchy. O wylewach mówiliśmy już wyżej. Od posuchy znikwały wody w strumieniach, paliło się zboże na pniu. Powstawał ztąd głód i mór. W kilkuletnim nieraz głodzie

zabijali i pożerali rodzice swoich synów, synowie rodzonych ojców. Morowi z głodu towarzyszyły częste powietrza morowe. I bez dżumy nękały różne choroby mieszkańców bagnisk. Najpowszechniejszą była choroba oczu. Wszyscy prawie głośniejsi mężowie onego czasu: Jagiełło, Witold, arcybiskup gnieźnieński Dobrogost, od czerwonych powiek Wydrzeoko nazwany, cierpią na oczy. Biskupa władysławskiego Macieja, krakowskiego Bodzantę, arcybiskupa Jarosława, znamy całkowitymi ślepcami.

Mokra zima podwajała wszelkie cierpienia. Wtedy jako jedyne ratunku pragniono mrozów. Bo też zwywszy wszelkie następstwa ówczesnej błotności, nie było większego dobrodziejstwa nad tęgą zimą. Ona oczyszczała powietrze, wytępiła naprzykrzone roje owadów, mościła lodem jeziora i bagniska. Niektóre okolice otwierały tylko zimą znośny do siebie przystęp. Krzyżacy, Jagiełło, handlarze niemieccy, chcąc Litwę nawiedzić, musieli czekać mrozów. Kupców podróżnych nie zwano pospolicie inaczej, jak „gośćmi zimowymi”. Kto zaś trzaskające mrozy uważał za najdogodniejszy ciału swojemu żywioł, temu i duch mimowolnie hartował się. Ciągła walka z wodą, z leśną naturą, wychowała sobie nadmiar krzepki, przedsiębiorczy, ruchliwy ród. Nieustającą pracą zmieniła też walka nakoniec powierzchnię ziemi.

Nie pojąć nam pracowitości ówczesnej. Od najdawniejszych wieków słynęło z niej plemię słowiańskie. Nigdy się Słowianin nie wykupywał od pracy. Ztąd czynsze rzadko u nas długiem cieszyły się powodzeniem. Mamy przykłady dobrowolnej zamiany danin na robociznę. Czynszujący kolonista był zwykle źle widzianym. Nawet kupiectwo tylko dlatego odstręczało, iż je poczytywano za rodzaj włóczęgi i lenistwa. Przeciwnie, praca, zwłaszcza praca około ziemi, czyniła zaszczyt. Uprawa roli pańskiej miała być właśnie tą cechą, którą się wolny odróżniał kmieć. Wyrazów „robota”, „robotny”, nie szpeciło bynajmniej

niewolnicze znaczenie, do jakiego nowsze wyobrażenia je naginają. Ściągały się one zarówno do pracy kmecej około roli pańskiej, jak do pracy szlacheckiej około własnego gospodarstwa. „Robili” wszyscy popołu, własnoręcznie plug wiodąc, rów kopiąc, las karczując. W ocenieniu owoców ich „robotności” należy przedewszystkiem uwzględnić szczupłość zaludnienia ówczesnego. Przy tej rzadkiej ludności niezmierna ilość ówczesnych mostów, grobli, przekopów, wałów, stanie za olbrzymie ruiny pogańskiej starożytności. O dwóch pierwszych rodzajach budowli słyszeliśmy już poprzednio. Z nimi spółzawodniczyło budowanie warownych grodów na grzeskim gruncie. „Porosłe dziś dzikim lasem wały i kopce niegdyś zamkowe, kościołki odwieczne z kubicznie ciosanych kamieni polnych, ruiny zameczków w lesie, możnaby — opowiada mieszkaniec poniżej Wisły — przyrównać do dzieł dawnych Cyklopów... Takie kopce składały się z grubych szychł nawiezionej ziemi, węgla i kamieni. Z podobnym kosztem i pracą zakładane były wszystkie zamki na bagnistych równinach.”

Pod ziemią, owszem pod jeziorami, wśród których stały te zamki, ciągnęły się, według upewnienia dzisiejszych mieszkańców, długie, kamienne sklepienia, prowadzące do gęstych zarośli za jeziorem. Ku ich obronie, ku osuszeniu moczarów, rżnięto szerokie rowy półmilowej długości. Rozległe przestrzenie umiano w krótkiej chwili utwierdzić siedmiomilowym wałem i olbrzymim łańcuchem rowów, spajających jeziora odległe. Co Polacy koło Drezdenka naturalnem ramieniem Noteci zwali, to było tylko ogromnym ówierćmilowym przekopem. Osobliwie Wisła podlegała upustom. Z Krakowa do Bochni prowadził kanał. Starodawnym łożyskom rzek nadawano dogodniejszy kierunek, obracając dawne koryta w rybnią „niecieczę”. Okoliczne nieciece łączono szerokimi fosami. Każda wieś, każda łąka była widownią nadmiar żywej skrętności z rydlem w ręku. Cała ludność słowiańska

nietylko w Polsce, lecz i w nadelbańskich Niemczech i w krzyżackiem Pomorzu okazywała się nieskończenie czynną w tej mierze. Wiekopomnym tego zabytkiem są dzisiejsze żuławy gdańskie. „Do XIII wieku prawie całkowicie wodami morza bałtyckiego zalane”, stały się one przez założenie niezliczonych grobli, tam i kanałów jedną z najżyźniejszych w świecie okolic.

Nad Bałtykiem osuszano w ten sposób żyzne wśród morza wyspy, w Małopolsce karczowano orne wyspy wśród lasów. Jak daleko rozciągała się cała kraina lubelska, sandomierska, łukowska, jak całe Podgórze, wszędzie pasował się różnoraki oręż rolniczy z ziemią leśną. „Za dni króla Kazimierza—mówi świadek tych czasów—powstało w lasach, puszczech, dąbrowach i krzaczach prawie drugie tyle wsi i miasteczek, ile było przedtem w Królestwie Polskiem”. Wszelka nawet „wolność” — jak nas upewnia statut Warteński — została tylko na to wynaleziona przez mędrce, aby lasy a puszcze, z których małe użytki przychodzą, mogły być wykarczowane, a w szersze obrócone pożytki”. Zdobyte w walce z puszczą „nowiny” rozszerzały się z każdym rokiem pod nieustanną pracą pługów, półpługów, radeł i motyk. Pracując zaś nad przerzedzeniem drzew leśnych, zaszczipiano troskliwie owocowe. Cała Małopolska napełniała się wonnemi sady. W strzeżonych tam statutami ogrodach kwitnęły wiśnie, śliwy, jabłonie. Samotno rosnące grusze służyły zwyczajnie za oznaki graniczne.

W tę właśnie porę weszło w zwyczaj szczepienie winnic. Nie wiedziano jeszcze, jaki one los będą miały. Te, które niedawno zaprowadził w Czechach zięć Kazimierza W., cesarz Karol IV, przyjęły się szczęśliwie. I Polska miała od czasów Kazimierza W. nie tylko „murowanym”, lecz oraz winogrodowym stać się krajem. We wszystkich zakątkach ówczesnej Polski, na Szlązku, około Pyzdr, Kalisza, Torunia, Uniejowa, Melsztyna, sadzono szczepy winne. Ślady Piastowskich i Jagiellońskich winnic przecho-

wały się do naszych czasów. Dzisiejszy widok Wolztyńskich winiarzy i winiarek w kosmatych kożuchach może przedstawić nam obraz winobrania za Piastów „śród ostrych wiatrów, które właśnie w tym czasie pędzą od północy najgęstsze chmury śniegowe. Wszakże zebrane wtedy grona, nie tylko, że w jedzeniu smak mają przyjemny, ale nawet wydają wino, które pokup znajduje”. Temci żywiej zachęcały one do pracy wówczas, kiedy jeszcze nie znano tyle win zagranicznych, ani gorzałki.

Kto uprawą wina parać się nie chciał, pracował w gęstych onego czasu chmielnikach około rośliny piwnej. Kogo żadne z wymienionych nie bawiło zatrudnień, temu wszechstronność tamtoczesnej skrzętności ludzkiej mnogie inne zawody działania otwierała. Nie przestając na przetworzeniu powierzchni ziemi, przedzierała się ta skrzętność aż do jej wnętrza kruszcowych. Wiek rozkrzewiania się winnic był także wiekiem wybujałych nadziei górniczych. Do czasów Łokietkowych słynęła ziemia Małopolska głównie z kopalni solnych. Rozróżniano ich dwie: wielicką i bocheńską. Tamtej, wielickiej, t. j. Wielkiej-soli początki sięgają niepamiętnej starożytności. Bocheńska twarda pochodzi, według podań gmionych i poważnych świadectw społecznych, z czasów Bolesława Wstydlivego. Znano już wprawdzie wtedy i ołowiowe kopalnie w Olkuszu, lecz ogół „pieców” kruszcowych rozmnożył się dopiero w wieku Kazimierzowskim. Wówczas po pierwszym przez zięcia Łokietkowego wzorowem urządzeniu kopalni i sprawy menniczej w Węgrzech nastął i w Polsce namiętny ruch górniczy. Kopano wszelkie rodzaje srebrnej, ołowiowej, miedzianej rudy w Olkuszu, w Chęcinach, w Sławkowie, w Kielcach, w Trzebini, w Jaworzni, w Miedzianej-górze. Niespodziane wyczerpięcie niektórych skarbców podziemnych wynagradzało się odkryciem świeżych. Zajmowano się też nader gorliwie wszechstronem, przez najmożliwszych panów podejmowa-

nem, a od królów bardzo wdzięcznie cenionem, szukaniem podobnych skarbców nowych. Cała Mała Polska była tego mniemania, że stąpa po soli, srebrze i miedzi. Owszem, wydobywano nawet „wielkie bryły złota” w górach małopolskich, w okolicach wsi Łącka. Posiadacze rozległych włości, jak np. Spytek, kasztelan krakowski z czasów Kazimierza W., poszukiwali nadmiar starannie wszelkiego rodzaju kruszców w swych ziemiach. Pracownie górnicze stały się osobliwym przedmiotem królewskiej troskliwości, wyposażanym nadaniami najrozciąglejszych swobód. Blizkie sobie lata przed i po śmierci Kazimierza W. zajęły się ułożeniem statutów dla żup wielickich i olkuskich. Górnicze prawa polskie, uczczone za granicą pierwszeństwem przed czeskiemi i angielskiemi, służyły za wzór francuskim. Polacy otrzymywali w kopalniach czeskich pierwsze miejsce pomiędzy „gośćmi” górniczymi. Handel solą, ołowiem, miedzią, był walecznym źródłem bogactwa.

Najwszechstronniejszą pracowitością ubogacone plemię musiało pomyśleć o wygodzie i ozdobności. Do tylu rozmaitych zatrudnień przybyło budownictwo ceglane. Kazimierz W. „murował” Polskę. Za przykładem króla szli świeccy i duchowni panowie. Każdy z ówczesnych biskupów zostawił po sobie pamięć założyciela wsi, miast, zamków, pałaców. Wszystkich ogarnął szal murowania. Pozbawione wzroku kaleki chciały bogdaj w duchu widzieć swoją rodzimą wioskę „uszlachconą” murowanym kasztelam. „Ślepemu biskupowi” Bodzancie nie żał było ogromnych sum, składanych co chwila w ręce brata Zawiszy, byle mu tylko wspaniały w Jankowskiej ojcowiznie zmurował zamek. Ale marnotrawny Zawisza trwonił na co innego pieniądze nakładowe, a brata okłamywał, że fabryka nieba dosięga. Po kilku latach ciągłego szafowania złota postanowił biskup udać się osobiście do Jankowa, aby przynajmniej omacać mury budowy. Na szczęście, śmierć nagła zaoszczędziła mu zgryzotę nie-

znalezienia tego zamku w namacalnej rzeczywistości. Gdzie na prawdę budowano, tam po kilkaset ludzi, po kilkadziesiąt par wołów przez wiele lat pracowało. Możemy sobie wyobrazić, w jakim ruchu musiało być pokolenie, które samemu Kazimierzowi W. mogło nastarczyć rąk dla kilkuset takich fabryk, a do iluż dopiero nastarczyło całemu tłumowi jego duchownych i rycerskich wielmożów?

Skutków tylorakiej skrzętności i robotności doznały jednocześnie charakter ludu robotnego i ziemia. Lud wykształcił w sobie dziwną rzeźkość, ruchliwość, przedsiębiorczość. Z równą łatwością zakładano i opuszczano osady. Lada głód, lada wojna rozganiały na zawsze osadników. Po spustoszeniu wsi ogniem albo powodzią odbudowywano ją zwyczajnie w innem, dogodniejszym położeniu, czasem pod inną nazwą. Nawet miasta zmieniały w podobnym razie miejsce. Ztąd wiele nieistniejących dziś wsi, nieznanych wcale nazw. Ztąd też, zwłaszcza w pospólstwie, dziwna skorość do tłumnych ruchów, pielgrzymek. W niej to powtórnie teraz pojawiająca się sekta wędrownych biczowników znalazła główną podniętę.

Co do ziemi, ta przybrała wreszcie o wiele świetniejszy i ozdobniejszy widok. Osobliwie Małopolska przeobraziła się w piękną, żyzną, zdrową krajną. Słodycz nieba krakowskiego była swoim i cudzym znaną. W rozkosznych sadach między Wisłą i Odrą kwitnęły róże po dwa razy do roku. Miłośnicy kwiatów upajali się na śmierć ich wonią. Miłośnikom brogów polnych uśmiechała się cudownie żyzna gleba. Tłustą ziemię okolic Proszowickich ceniono później nad bryłki ziemi świętej. Niewielki folwarek ziemi małopolskiej wydawał po 7,000 kóp żyta. Zamożni jej mieszkańcy, „zwłaszcza trzeźwi”, dochodzili często lat stu i więcej, nie wiedząc, co to choroba. W powszechności plemię ówczesne było, mimo tylu klęsk klimatycznych, dziwnie czerstwe i zdrowe. Sie-

demdziesięcioletni ojcowie piastowali nowonarodzonych synaczków na swoich rękach. Siostra Kazimierza W. Elżbieta „tańce stroiła, wesola była, chociaż babie było już przez 80 lat”. W tymże samym czasie ślepy arcybiskup Jarosław kończył setny rok życia. Trzeci ich współczesnik, Stanisław Śrzeński, wojewoda mazowiecki, nazwany Grad, przyszedłszy na świat w roku zabicia króla Przemysława, t. j. przed laty 80, miał jeszcze żyć lat 60. Naliczył ich razem 140, „jako to napis w Śrzeńsku na grobie jego opowiada”. Przesłuchywany w ważnych procesach świadkom, mającym dać wiadomość o dawno minionych czasach, przyznawano sądownie po 150 lat życia.

Tak dobroczynna natura przywiązywała całym sercem do ziemi. Już sama długa walka z dzikszą przyrodą czyniła ludziom drogą tę ziemię. Jednym i drugim rosła miłość narodu ku niej. Coraz bliżej z pokochaną zapoznając się, mianował naród każdą jej ustroń pewnym własnym imieniem. Wszelkie jeziora, lasy, łąki, bagna, drzewa pojedyncze, miały osobne nazwy. Tam przez „Ostre kąty”, albo „Reścinę” wiodła „droga biskupia”, za kopcem „Pieńiądz” leżało trzęsawisko „Śmietana”, a przy „Niewieściej drodze” rosła „lipa królewska”.

Za umiłowaniem, umianowaniem, szło ściśle odgraniczenie każdego kęsa dziedziny. Nauczyciele innych narodów w rzeczy pojmowania granic własności ziemskiej, obfitowali Słowianie we wszelkie rodzaje znaków granicznych. Nawet żelazne słupy Chrobrego nie są zmyśleniem. Wbijano je jeszcze w XIII i XIV wieku w rzeki graniczne. Wiemy to od świadków naocznych, którzy jeszcze sami pływali dokoła takich słupów żelaznych. Po żelazie używano dużych kamieni do oznaczenia miedz. Na takich wkopanych głazach wyciosywano albo wizerunek Ukrzyżowanego, albo początkowe głoski imienia. Najczęściej sypał

lud „kopce” lub „wągielnice”, co znaczy narożniki. Po kilkanaście takich wzgórków strzegło granic wsi jednej. Niekiedy sadzono na nich umyślnie wierzby. Wreszcie wszelkiego rodzaju drzewa, osobliwie grusze o wciosanym krzyżu, albo innem „piętnie” lub „ciośnie” stanowiły granicę. Jej gwałtowników, jak już wiemy, wieszano.

A podczas, gdy pola różnorakimi znaki granicznymi napełniały się, wszelki rodzaj mieszkań ludzkich opasywał się warowniami. I pod tym względem różniła się Polska ówczesna od tegoczesnej. Powszechnym średnich wieków zwyczajem, stawały podróżnikowi powszędy mury, „parkany”, wały, okopy, rogatki, przeszkodą w drodze. Nie dziwią warownie miejskie, nie dziwią zamki, któremi wieś każda, jak owo biskupie Jakowo, „uszlachcić się” pragnęła. Ależ każda obszerniejsza budowa chciała być twierdzą. Kłasztory miały przed wszystkim obronność miejsca na celu. Na wieży Tynieckiej czuwała dniem i nocą straż zbrojna, wiodąca baczne okiem po okolicy. W Wielko i Małopolsce widziałeś mnóstwo inkasztelowanych kościołów. Wielkiej podówczas ważności młyny otaczały się murem i turmami, które niekiedy główną wartość im nadawały. Zamykanych łańcuchami mostów broniły baszty. Pograniczne mosty sterczały nieraz po obudwóch końcach łańcuchowemi warowniami, strzeżonemi z obu stron przez sąsiadów. O inkasztelowaniu drzew była już mowa. Lada bagno zmieniało się za pomocą szanica w miejsce warowne. Owszem, każdy dom poczytywał się w statutach za twierdzą, obronną orężem i zbroją gospodarza, której nie wolno było pod żadnym pozorem za próg wydalać.

Ta wszechstronna warowność, oczekująca wciąż burdy, dopełnia obrazu zwadliwej, szorstkiej, prostaczej wieśniaczości, jaka się nam wydaje główną cechą zewnętrznego oblicza ówczesnej Polski. Zanosiło się wprawdzie coraz szerzej na mурową budowność,

na ogrodową ozdobność i wytworność, lecz w ogólności, mimo wszelkie porządki wielkiego murarza Kazimierza, przeważał jeszcze zawsze charakter „drewnianej, błotnej, nieschludnej wsi”. Kazimierzowskie budowy tem głównie uderzały, że świeciły na sielskoponurem tle lasów i błot. Jeszcze za Jagiellończyków w stołecznej dyecezyi krakowskiej murowany kościół bywał rzadkością. Zwyczajnie wznosiła się stara, bizantyńskimi kopułkami zgarbiona cerkiew, jak jeszcze do 15-go stulecia łacińskie zwano kościoły. Jaśniejacy pomiędzy temi ciemnymi modrzewiowemi świątynkami „biały kościół” nadawał całej wsi chlubną nazwę. Temci niewątpliwiej były wszelkie „dwory” stawiane z drzewa. Przyczepiona do drewnianego budynku baszta murowana zwracała na się uwagę. Śród brunatnych, drewnianych ścian dworca o małych oknach panował ustawicznie chaty wieśniaczej mrok. Nie rozświetlało go nawet wnijscie gospodarza-rycerza w zbroi, gdyż jak dom, tak i zbroja była pospolicie „ciemna”, skórzana. Jeszcze wieśniaczej wyglądał tenże gospodarz, gdy, zdjawszy zbroję, przywdział kożuch domowy, ściśnięty pasem rzemiennym. A wieśniaczemu strojowi odpowiadała wieśniacza narzeczowość języka, przemawiająca tu z kujawska, tam z krakowska, owdzie z mazurska. I odpowiadała tym wszystkim znamionom wieśniaczości zwyczajna także sielska zdrobniałość imion. Jaśko (z Tęczyna) kasztelanił w Wojniczu; na województwie poznańskiem siedział Maćko (Borkowic); na księstwie szczecińskiem Kaźko. Mazowiecki Ziemowit zwał się w mowie powszechniej Semko albo Siemaszko. Ci wszyscy z chłopska nazywani i odziani panowie żyli wogólności skromnie, ubogo. Jeszcze w 100 lat później, po szczęśliwej unii Korony z Litwą, uchodziła Polska w porównaniu ze świetnemi, bogatemi Węgrami za kraj chudopacholski. O ileż słuszniej da się to samo powiedzieć o wieśniaczem króla chłopków królestwie!

A przecież w tej mrocznej, zamierchłej staroświeczczyźnie było daleko więcej polskości, dzisiejszości, niż zwykle wnosim. Okaze się ona zbliżka wczynach i wypadkach społecznych, które na skreślonym tu tle obrazu wystąpią wkrótce na widok. Tymczasem wystawmy sobie, że nie wszedłszy jeszcze we wrota dziejów właściwych, przypatrujemy się i przysłuchujemy z oddali, o szarym zmroku wieczora, w obliczu jakiejś rozpostartej przed nami okolicy, odległemu widokowi i gwarowi życia tamtoczesnego. Wtedy przed okiem naszym mkną postacie i ruchy nader blizkie pamięci czasów dzisiejszych, a uszu naszych dolatują głosy pokrewne, ni to dziś wyrzeczone, niweczające wszelką różnicę wieków, odległość czasu. I jakby nie półtysiąca lat temu, możemy tam na *folwarku klucza ksiąskiego* dostrzedz *włodarza* czyli *wojskiego* lub *zprosta ekonomę*, ładującego *szkuty łasztami jarzyny i oziminy*, aby je spławić do Gdańska. Nad Wisłą, tu *wielkim smugiem* ciągną łowcowie i zwołują osadę na przelaję. Tam pod oną lipką wójt albo sołtys z gromadą i *ławnikami kmiecymi, przysiężnikami*, na wiejskie zasiadł sądy. Owdzie rybak brodzi z węcierzem po jeziorze, żegnając się od topielców. W pobliżkiem miastku, w gospodzie, marnotrawny *wojewodzie* igra w kostki z *chlebojedzami pana krakowskiego*, a rozpustne żaki klasztorne *śród facecyj i dykteryek* z *łacińska* przyspiewują sobie przy kuflu: *Est bona vox Nalej! — melior Pij! — optima Wypij!* Tymczasem Żyd Lewko siedzi u króla Kazimierza *arędą* na żupie wielickiej, a dla jego potomków wyraz *karczma* już w zwyczaj wchodzi. Osławionemu sromoceniem się w niej szlachcicowi *rybattowi*, zgorszeni mieszczanie *Ząbek, Glinka i Pępek* razem z *przyjaciółtmi Wątróbką i Małpą* zadają nieszlachectwo, lecz *stryjcowie* obżałowanego przysięgają przed sądem: *Tako nam Bóg dopomóż i święty jego krzyż, jako Mikołaj nasz brat i nasz szczyt i naszego klejnota, a brat Mikołaj — uniewinniony.* W tymże samym czasie gdzieś na Sę-

dziszowej niwie Podkomorzy rozmierza morgi sąsiednie, a zwołana osada wygłasza przysięgę graniczną: Z ziemiśmy poszli a ziemią mamy być. Tak nam Bóg dopomóż i święty jego krzyż, jako widzimy prawą granicę między miastem Siewierzem a między wsią Tulikowem... Wielmożni zaś panowie a rycerstwo z książęty sporzą. Już nawet wyraz rokosz — nie obcy. W gwarnych sejmikowych rozprawach brzmi ustawicznie wyraz Panowie bracia! rozpoczynający każdą przemowę. Pomiedzy podpisami konfederacyi z czasów przedjagiellowych roi się mnogość dzisiejszych panów „Sośnickich, Borzukowskich, Granowskich, Popczyców, Jarogłowskich”. Pomimo niesforną różnonarzczość ówczesnej mowy, dzisiejszemi prawie słowami modli się smutna Jagienka w przedjutrze swoich obłóczyn: Jako żąda jelen k' studniom wód, tako żąda dusza moja k'tobie, Boże. I miło, jakby dziś brzmi w kościele gromadna kwietnej niedzieli pieśń: Chwała! sława! wszelka cześć! Bądź Tobie o królu gospodynie! Któremu dziecięcy głos pieje — Pozdrowienie bądź Twoje!

Za tym chórem wprost nam już w tłum i gwar historycznego życia i społeczeństwa, a w tem społeczeństwie dwie stanowczo różne gałęzie — Wielka i Mała Polska.

Majątek Tawczuny

peczęta Kłojdany.

II. NARÓD.

Wielkopolska.—Drobna szlachta.—„Szlacheć chodackowy”. — Surowsze rządy i sądy. — Większa ludność i oświata.—Zapaśnictwo między Wielką i Małą Polską.—Upadek Wielkiej Polski. — Małopolska — Rozległość posiadłości. — Swobody. — Pańskość. — Łagodność ustaw i obyczajów.—Wspólna Wielkiej i Małej Polsce ludzkość, prostota umysłu, śmiałość.—K r ó l L o i s.—Administratorstwo.—Przychylność dla niemieczech.—Związki z domami Rakuzkim i Luksemburskim. — Spółzawodnictwo tych

domów.—Plany królewskie.—Los córek Kazimierza W.—
 Starsza królowa polska.—Wyprawa wołoska.—
 Czynności w Polsce.—Przywilej z r. 1355.—Ważność do-
 kumentów.—kanclerz Zawisza.—Znaczenie i roj-
 ność duchowieństwa.—Duchowny król obyczajów.—Zawi-
 sza i Mikołaj z Kurnika.—Pieczęć.—Herby.—Płochosć
 kanclerza.—Przekupstwo.—Pierwszy zjazd koszy-
 cki.—Potrzeba nowych zabiegów.

Przez długie czasy nie było innej Polski, jak Wielkopolska. Reszta była Krakowem, Mazowszem, Sandomierzem — nie Polską. Do czasów Bolesława Wstydliwego wyrażano się: „Sandomierzanie, Mazury, Kujawici i Polacy”. Jeszcze za czasów Jadwigi „spostzegają się Krakowianie na podszeptach Polaków”. Król nieposiadający Wielkopolski, był tylko „krakowskim królem”. Dawano Łokietkowi ten tytuł nie w żarcie i z szyderstwa, lecz w poważnych stosunkach dyplomatycznych, w traktatach z życzliwymi sprzymierzeńcami. Można było nawzajem tylko „Wielkopolskim być królem”. W latach po Kazimierzu W. nie przyjmowano w Wielkopolsce na urzędy obywateli małopolskich, jako nie ziemianinów, cudzoziemców. Jeszcze za Jagiełły zwał się tam każdy Małopolanin średniowiecznym wyrazem „gość”, t. j. tyle, co cudzoziemiec.

Gospodarze pierwotnej Polski — *Polanie*, jak ich za Leszka Białego, *Polszczanie*, jak ich za Warneńczyka i później zwano — Wielcy Polacy, stanowili nie-szeroką, lecz tłumną, krzepką i przedsiębiorczą kupkę szlachty miernego mienia. Ta mierność fortuny sta-nowiła niejako główną cechę wielkopolskiego szlachectwa. Już statut wiślicki głośno orzeka, iż „szlachetność nie na majątku i dostojenstwie, lecz na pochodzeniu, jednorodności polega.” Rzadko kiedy czytamy w kronikach o wielkich panach wśród Wielkopolan, a co chwila nderzają wyrazy: „szlachcic z rodu, lecz nie z fortuny,” „uboga szlachta,” chudy pacholek i t. p. Siedziało oddawna po dwóch, trzech, czterech takiej ubogiej szlachty na jednym łanie. Całe

Mazowsze, jak rój pszczelny, wrzało jej gwarem. „Jest u nas—opowiada społecznik wnuków Jagiełłowych — wiele domów szlacheckich tak wielce rozrodzonych, że się w stanie swym ledwie trzymać mogą, a wyprawie wojennej przez ubóstwo, jakoby przystało, dosyć czynić nie mogą.” Ztąd tłumne wychodźstwo Mazurów w ziemię przyległą, zaludnienie nimi Podlasia, Rusi Czerwonej. Takim to chudopacholskiej szlachty rojem był, według słów przedjagiełłowego Wielkopolanina, ów niezliczony tłum *Polszczan*, o którym mowa. W tem gwarnem zbiorowisku „szlchetnych panów braci,” jak już za ojca Jadwigi mawiano, słyhać ustawicznie imiona „Bernartowiczów, Kaczkowskich, Włoczejowskich, Bolechowiców, Sośnickich” i niezliczonych innych *wiców* i *skich*, mających toż nazwiskowe zakończenie już za czasów Kazimierza Sprawiedliwego. Każdy z tych panów braci—niezawisły i hardy, i lubo w wielu z takich chodaczkowo-szlacheckich osad po kilkunastu dziedziców na ojczystrych siedzi udziałach, lubo wszystkim zwyczajnie jakiś możniejszy sąsiad zagraża, żaden z nich niema się za gorszego od „pana krakowskiego,” a jeden z czterestu współdziedziców Brzuchani od częstego używania przypowieści, że „wojewoda sobie, a on sobie jest panem,” ma nawet przydomek Jakób Sobie-pan.

Była to, jednym słowem, dzisiejsza szlachta dworskowa i chodaczkowa, już nawet wówczas tem samem zwana mianem. Bo wyraz „szlachcie chodaczkowy,” podobnie jak zarówno starodawne przysłowie o szlachcicu na zagrodzie i wojewodzie, nie jest wcale wymysłem późniejszych czasów. Słyszymy ten wyraz z ust biskupa, Wincentego Kadłubka, społecznika synów Krzywoustego. W stosunku do coraz większego rozszerzania się granic starodawnej rzeczywospolitej szlacheckiej, nie przybywało z czasem szlachty, lecz z wielu różnych powodów ubywało. Przybyło

panów — liczba szlachty tylko przez rozrodzenie się wzrosła.

W obecnym jednak czasie swego kwitnięcia wiązała się „bracia wielkopolska węzłem najściślejszej jedności.” Znana jest starodawna wspólność majątkowa. Mimo uprawnionych już działów rodzinnych, nie czynił nikt sprzedaży, ani zapisu, nie uzyskawszy zezwolenia najodleglejszych bratników, czyli, jak ich właściwie nazywano, „stryjców herbowych,” Podobnaż spólność zachodziła także co do win i do kar. Jakkolwiek statut uchwalił, aby „ojciec za złego syna, a także syn przez ojca nie cierpiał,” przecież skutkiem dawnego zwyczaju, syn przekonanego zdrajcy narodu, Bernard, razem z ojcem i całą rodziną aż do trzeciego pokolenia banita, nie mógł, lubo niewinny, lubo nawet papież za nim się wstawiał, dostąpić biskupstwa w Płocku. Gdy Wielkopolanom Małopolanina na wielkorządcę narzucić chciano i kilku przeniwierców już go nawet przyjęło za takiego w Poznaniu, ogół „braci szlachetnych” odmawiał mu jednomyślnie tak długo wszelkiej pomocy w gromadnem owego czasu dopełnianiu wyroków, aż mu narazcie z niczem do domu powrócić przyszło. Cały żywot Wielkopolan był jedną nieustającą konfederacją. Jakoż jeszcze z czasów Kazimierzowych pozostał nam akt formalnej konfederacyi, pełen wyrazów jak „bratni związek,” „braterstwo” i t. p. W gorącej potrzebie wiązano się jeszcze ściślej, bo groźbą „utrąty gardła i czci.” Niekiedy czyniono wspólnie ślub: „nie spocząć pierwej pod dachem,” t. j. dobijając się bez przerwy celu zamierzonego, aż póki go się całkiem nie dopnie.

Tak spójne, tak jędrne społeczeństwo wymagało sprężystej władzy rządowej. Zbliżał się też rząd Wielkopolski do samowładztwa. Prawa ogłaszał sam panujący, bez wzmianki o przyzwoleniu panów, bez usprawiedliwienia się z powodów. Ogłoszone „nie wdrygały się nazwiska edyktu,” rozkazania. Rządził

Wielkopolską w imieniu księcia, nie jak Małopolską zbiór możnowładnych wojewodów i kasztelanów, lecz jeden sprężysty wielkorządca, pan siedmiu sądowych grodów królewskich, tak zwany jenerał-starosta, „wielki sędzia.” Ten, znając tylko różnicę pomiędzy szlachtą a nieszlachtą, nie znał żadnej w samymże stanie szlacheckim. Głowa każdego szlachcica, czy to „chodackowego, czy najwyższego,” kosztowała zarówno 30 grzywien. Zresztą musiał jenerał jednocześnie surowość z wyrozumieniem. Miał bowiem do czynienia z rodem nadmiar porywczym. Zasada społeczna i kształt rządu rozwinęły w nim dziwną rzutność, gwałtowność charakteru. Miarkowała ją tylko część religijna. Bez względu na wielką władzę panującego, odbierał arcybiskup gnieźnieński pierwszy przed księciem pokłon. O dziesięciny, o przywileje eksemcyjne, szła z duchowieństwem uporna walka, lecz obecność arcybiskupa była świętszą, niż obecność monarchy. „Ktokolwiek przed królem kord wyjął, albo miecz, ale rany nikomu nie zadał, doznawał przebaczenia... Ale kiedy przed księdzem arcybiskupem ten uczynek się przygodził, to jest iżby miecz, albo kord kto wyciągnął, lubo uranił kogo, lubo nie uranił, winę siedemnadszęścia zapłacić miał temu to księdzu arcybiskupowi. A byle kto szkaradne słowa przed nim mówił, winę temu to księdzu arcybiskupowi rzezoną pięćnadszęścia zapłacić miał.”

A często, nierównie częściej niż Małopolanie, porywała się bracia wielkopolska do „słów szkaradnych” i korda. Ztąd, chcąc nie chcąc, musiało ustawodawstwo karne za głowę i rany mniejszą niż w Małopolsee, bo częstszą naznaczać karę. Każda pojedyncza głowa z pomiędzy tłumu szlachectwa wielkopolskiego była o połowę tańszą od głowy możnych szlachciców małopolskich. Lecz tylko przewinieniom orężnym okazywano pobłażliwość. Inne przestępstwa czekała surowsza, niż gdzieindziej, z dawnych wieków i obyczajów przechowana kara ucięcia ucha,

przekłucia ręki. Całe starodawne „prawo polskie,” właściwe Wielkopolsce, musi w każdym nadaniu nowych teutońskich, czyli magdeburgskich swobód i praw znosić przyganę „srogiego, uciążliwego.” Większa zaś surowość prawa i kar zastrzegła w Wielkopolsce skuteczniej niż gdzieindziej powagę wszelkiego zwierzchnictwa społecznego. Większa była powaga sędziego nad winowajcą. Kto „naganiał” wyrok sędziego, t. j. apelował do księcia, ten w razie przegrania sprawy płacił sędziemu, prócz małopolskich kożuchów, pieniężną jeszcze karę. Większa była powaga pana nad kmieciem. Podczas gdy w Małopolsce dziedzic za głowę kmiecią nie brał nie od zabójcy, w Wielkopolsce dziedzic, poczytując kmiecia niejako za własność swoją, dzielił się główszczyzną z rodziną zabitego. Większa była powaga mężczyzny nad niewiastą. Ilekroć do jakiegokolwiek spuścizny ziemskiej, mającej w braku mężkich spadkobierców przejść na niewiastę, zgłosił się choćby najdalszy bratanek, albo stryjec herbowy, ustępowała dziedziczka, czy to córka, czy siostra, czy też wdowa, a mężczyzna, spłaciwszy wydziedziczoną, posiadał ziemię.

W niektórych jednakże wypadkach różniły się ówczesne wyobrażenia o powadze od wyobrażeń późniejszych. I tak, nie znano powagi ojca nad dorosłym synem. W wieku uwzględniania przed wszystkim siły fizycznej, kobieta zostawała przez całe życie w opiece męskiej, lecz młodo podrastający syn przemagał starego ojca, i acz małoletni, wymuszał na nim wydanie sobie macierzystego majątku po śmierci matki. „Bądź wpływem kultury chrześcijańskiej, bądź wpływem prawa rzymskiego, władza ojcowska nad synami nawet dorosłymi dopiero później podrosła.” Również niekoniecznie potrzebną zdała się zbytnia przesada w pojęciach o honorze. Można było dwukrotnie o złoczyństwo być przekonanym, a nie stracić prawa do piastowania dygnitarstw i otrzymania honorowych oznak łaski królewskiej. Kłamliwy oskarżyciel, prze-

konany o potwarz, płacił karę — i koniec. Grzywny zastępowały pojedynek, a „od policzka — pięć kóp groszy.” „Pakliby szlachcic szlachcica — ciągnie dalej statut Wiślicki — w szalonej śmiałości wielą policzków policzkował, taki gwałtownik od każdego policzka po pięć kóp groszy zapłaci, a także nam — mówi książęcy prawodawca — jako też namiestnikom i cześnikom naszym, po pięciorej winie przerzeczonej zapłaci, to jest podług obyczaju starego od każdego palca po jednej winie.” Stary obyczaj nie trefił ani ciała, ani umysłu. Ciało przestawało na łaźni, a umysł na grubej strawie prostaczego rozumu.

Tym to przecież prostodusznym surowym trybem życia zrobiła drobna szlachta wielkopolska swoją błotną krainę jądrem wielkiego państwa. Toż we wszystkich przyszłych porządkach tegoż państwa celowała mu wzorem Wielkopolska. Ona była naprzód luddniejszą. Ileż to chodackowego rycerstwa wyruszało już za Chrobrego z jej licznych grodów! Sama tańszość głowy szlacheckiej w Wielkopolsce dowodzi większego jej zaludnienia i gorętszych zwad. Wielkopolska była dalej uczęszaną, odczytańszą. Każdemu obżałowanemu Wielkopolaninowi musiał woźny okazać pozew na piśmie, gdy tymczasem w Małopolsce woźny ustnie rzecz zbywał. Wielkopolska miała prawdopodobnie na sto kilkadziesiąt lat przed Wiślicą swój własny statut. Przynajmniej książę, który samego Kazimierza W. sławą ustawodawcy wyprzedził, Henryk Brodaty, był księciem Wielkopolskim. Wielkopolska, jak czytamy, ubiegła również Małopolskę całym stuleciem w ustanowieniu najwyższego trybunału teutońskiego w Poznaniu. Złożony z rajców siedmiu miast wielkopolskich, posłużył on później za wzór trybunałowi krakowskiemu, złożonemu podobnie z rajców samych miast małopolskich. Wielkopolska nareszcie, jeszcze od czasów króla Przemysława w kamienne gmachy bogata, może się pochlubić, że Kazimierz W. już murowaną ją znalazł.

Ale wykształcenie się tej dojrzałości, tego pierwszeństwa Wielkopolski, potrzebowało stuleci. W tej porze wzmogły się także inne dzielnice Polski. Zmiany czasu okazały się im przychylniejsze, niż Wielkopolsce. Wszczęło się uporczywe zapaśnictwo między Polską nową a starą, Małą a Wielką. W wieloletniej walce Mała zwyciężyła, Wielka upadła. Długa to powieść! Sięga ona swoim początkiem wieku Mieczysława Starego, a rozstrzygnęła się za Łokietka. Jego koronacja w Krakowie ustaliła przewagę nowej Polski. Odtąd z obywatelskiego wieńca Wielkopolski opada liść po liściu. Przeniesieniem korony z Gniezna do Krakowa utraciła ona świetność i powagę stołeczności. Koronowanych w Krakowie panów całej Polshczy nie zwano już królami polskimi, to jest wielkopolskimi, lecz krakowskimi. W wiślickim porównaniu praw i zwyczajów Wielkiej i Małej Polski uniżyły się prawa i zwyczaje wielkopolskie przewadze małopolskich. „Księga Wiślicka była jedynie Małopolskiej rozprzestrzenieniem a Wielkopolskiej zniszczeniem.” Z dawnymi prawami niknęły dawne dostojęstwa, umniejszała się liczba województw. W kilka lat po sejmie wiślickim ustało stołeczne niegdyś województwo gnieźnieńskie. W końcu chciano nawet biskupowi krakowskiemu dać pierwszeństwo przed arcybiskupem gnieźnieńskim — aby tym sposobem — mówi sam małopolski Długosz z niejakim żalem — Wielkopolan, którzy niegdyś we wszystkim jako star si pierwszy krok mieli, z ostatniej, jaka im pozostała, obnażyć dostojności.”

Punure tedy milczenie panowało w Wielkopolsce. Tylko okoliczne niebezpieczeństwa nie dozwalały zerwać związku z Krakowem. Zresztą w samym zanadru Wielkopolski rozgnieżdżał się coraz szerzej wrogi wielkopolszczyźnie wstręt ku dawnemu trybowi życia społeczeńskiego, pochop do swobodniejszej małopolszczyzny. Jednakże ogół wielkopolski, ów niezliczony tłum braci szlachetnej, trwał ciągle w nie-

chęci ku Krakowowi, w zamiłowaniu dawnego obyczaju. Chociaż znaną była wiślicka ustawa, Wielkopolska przecież zawzięcie swojego trzymała się statutu. W takim składzie rzeczy — lada nowy zamach, lada wypadek mógł powszechną burzę wywołać.

Tymczasem Małopolska kwitnęła szczęściem nowego wieku. Małopolska, to kraj świeżo wykorcowanych „nowin,” kraj „wolności” czynszowej, kraj swobody. Znamy już zdrowsze jego powietrze, piękniejsze niebo, bogatą ziemię. Znamy oraz jego pierwiastkową leśną bezludność. Utrzymywały ją ciągle napady nieprzyjacielskie. Bo podczas gdy bagnista Wielkopolska jaką taką w swoich moczarach miała obronę, piękniejsza Małopolska swoim łatwym przystępem mnogich oddawna wabiła pustoszcycieli. Naj-sroższym i stali się dla niej Litwini i Tatarzy. Pod ich ustawicznymi pożogi ścieliły się wszędzie zgliszcza i pustki. Nieprzejrane bezludne obszary, własność publiczna, czekały rozporządzenia królewskiego. Opustoszałość zniewalała do zwoływania nowej ludności. Przysługująca królom wolność rozrzadzania pustkowiec dozwalała obdarzać zagranicznych osadników, zasłużonych w Polsce panów cudzoziemskich, nadzwyczaj rozległemi włościami. Kazimierza Sprawiedliwego przyjaciel, *graf* Wichfyrd, posiadał całą krainę od Oświęcima, z Siewierzem, aż po za Sącz. Bolesława Pudyka stronnicy, Radwanicy, osaczają swoim myśliwstwem całą leśną przestrzeń od Myślinic aż po góry węgierskie. Kazimierza Wielkiego wojownik, Wielkopolaun, Pakosław ze Stożyszcz, „za różne znakomite *pro bono communi* wysługi, i zato, że się nie lękał nawiedzić ziemie tatarskie, mając sobie za nic niebezpieczeństwa zdrowia i życia dla sławy i pożytku królestwa” — otrzymał w darze Rzeszów z całym powiatem od granic sędomirskich z Dąbrową, aż po zajarostawskie granice Rusi.

W tak szerokich posiadłościach służyła panom małopolskim prawie książęca samowładza. Najuboż-

szy osadnik uzyskiwał z prawem teutońskim uwolnienie od ciężarów prawa polskiego. Nadto różnorakie inne swobody zlewały pomyślność na Małopolskę. Kto w niewolę tatarską poszedł, ten nie podlegał zwyczajnemu prawu zadawnienia. Najechanym od Tatarów okolicom udzielano kilkudziesięcioletniej wolności od dziesięcin. Dzięki tylorakim względom i staraniom, zaludniła, osiedliła się Małopolska. Zasiewając się zaś osadami, porastała oraz kwiatem wszystkich wymienionych tu swobód. Wielkopolanie patrzyli od najdawniejszych czasów niechętnem okiem na te swobody, mieniając je cudzoziemskimi. Lecz skoro niegdyś wielkopolski Mieczysław Stary zaczął wprowadzać w Krakowie powinności i surowość dawnego „prawa polskiego,” osławiono go po wszystkie czasy charakterem cięższy, wygnano z całej Polski. A o monarsze krakowskim, Kazimierzu Sprawiedliwym, słynie we wszystkich starych kronikach głos, że od niego, że z Małopolski wyszło na cały kraj „zerwanie pęt służebnictwa, zdjęcie jarzma danniczego, ulżenie, owszem, zupełne uchylenie brzemienia.” Żaden z małopolskich następców Kazimierza nie zdołał urzeczywistnić samowładczych zamiarów Mieczysława Starego. Małopolska pozostała krajem „woli,” swobody.

Ztąd wcale odmienny skład i widok społeczeństwa małopolskiego. W miejscu starodawnej, surowej wielkopolszczyzny—nowocześniejszy, na wzór zagranicy umodelowany, miększy obyczaj. W miejscu prostackiej równości szlacheckiego ubóstwa Wielkopolan—wykwintna dystynkcyja różnorakich przywilejów i stanów. Naprzeciw niezliczonego mnóstwa chodackowej braci w Wielkopolsce — nieliczni szerokich ziem możnowładcy. Drobną, ubogą szlachtą była wprawdzie tak właściwą ówczesnemu stanowi społeczeństwa, że i w Małopolsce gęste jej ślady znachodzimy. Główną atoli małopolską osobą był — „pan”. Skromna obok niego szlachta drobna zostawała w stosunku podrzę-

dności. Rycerski „pan” przybierał zagraniczną dostojność *komesa*, rozniesioną w XII wieku z Małopolski do Wielkiej. W łaskach i poważaniu u księcia wpływał on radą i przyzwoleniem na postanowienia rządowe. Ztąd władza królewska w Małopolsce mniejsza, niż w Wielkopolsce. Proste wielkopolskie edykty są tu ustawami konstytucyjnymi, uchwalanymi wspólnie z rycerstwem. Nietrudno tedy pojąć, że ci panowie małopolscy życzyli sobie, aby ich godność nie pospolitowała się przez nieumiarkowane pomnażanie ich liczby. Stało się temu zadość przez prawne odstrychnięcie „panów” od niższej szlachty. Ta podrzędna szlachta stopniowała się znów w dwa dalsze stany. Po rycerskim, *komesowym* szlachcicu następował stan pospolitego szlachectwa, a jeszcze niżej stan ścierzatek, czyli skartabellów i „szlachty uczynionej z sołtysów, albo kmieciów.” Stosownie do tej trojakości szlachectwa, różniła się cena głowy szlacheckiej. Gdy w Wielkopolsce wszelka głowa szlachecka miała bez różnicy tęż samą wartość 30 grzywien, w Małopolsce za głowę rycerza płacono dwa razy tyle, t. j. 60, za głowę pospolitego szlachcica połowę tego, t. j. 30, a za głowę świeżo uszlachconego sołtysa tylko 15.

Lecz o ile w Małopolsce traciła wielkopolska równość szlachecka, o tyle zyskiwał kміeć. Przywilejem prawa magdeburskiego od ciężarów i służebności polskich uwolnion, tylko do czynszu względem pana obowiązany, był on mu zresztą równien w obliczu prawa. Nawet głowa kміecia małopolskiego nie była tańszą od szlacheckiej. Płacił za nią winowajca, jak za głowę szlachcica trzeciego rzędu 15 grzywien. A należąc według ustaw wielkopolskich w pewnej części do pana, należała głowszczyzna w Małej Polsce całkowicie rodzinie zabitego. Pan, nie mający żadnego do głowy kміeciej prawa, nie pobierał żadnej części opłaty krwawej. Takichże samych względów doznawała pleć słabsza. Wykluczona w Wielkopolsce

od posiadania ziemi, mogła ona w Małopolsce w niedostatku braci odzierać ją dziedzictwem. „Czulsze” ustawy małopolskie nie dopnszczały nawet osobistego trudzenia się kobiet przed ławy trybunału. Sędzia musiał wyprawić urzędnika sądowego wraz ze stroną przeciwną do ich mieszkania. Jeszcze czulszym okazywał się statnt małopolski na obrazę honoru. Oszczerca niewiasty odszczekiwał przewinę. Potwareca czi szlacheckiej płacił 60 grzywien, „jakoby zabił szlachcica.” Tylko synom nie sprzyjał obyczaj małopolski. „Bądź wpływem kultury chrześcijańskiej, bądź wpływem prawa rzymskiego”, a zatem zawsze skutkiem postępu w cywilizacji europejskiej, posiadli ojcowie małopolscy surowszą, niż wielkopolscy, nad synami przewagę. Chyba w razie powtórnych ślubów mógł ojciec w Małopolsce ujrzeć się zniewolonym do wydania synom majątku zmarłej matki. Zresztą były ustawy małopolskie we wszystkim łagodniejsze. Nie słychać w nich o wielkopolskich karach kaleczenia ręki, ucięcia ucha. Zadawnienie nie zapadało tak prędko, jak w Wielkopolsce. Winy za niesłuszne wyroków sądowych „naganianie” były tańsze od wielkopolskich. W przypuszczaniu świadków powodowało się sądownictwo małopolskie nowoczesną liberalnością, nie wykluczając nawet wyklętych. Wszystko jednym słowem oddychało tu wolniej, wszystko kwitnęło młodszem, swobodniejszym, zieleńszem życiem. Jedyłą chmurą na tem wiosennem niebie była bezprze-stanna obawa litewskich i tatarskich napadów. Toż jak serca mieszkańców Wielkopolski zasepiał ponury żal za dawnem pierwszeństwem i obyczajem, tak piersi ludności małopolskiej tchnęły pragnieniem zabezpieczenia się w jakikolwiek sposób od Litwy i Tatarów.

Jak wspólna zaś o budwom narodowym gałęziom cecha odznaczała zarówno Wielką jak Małą Polskę taż sama ludzkość, prostota, śmiałość. Wszystkie starożytne kroniki pełne są świadectw o domo-

wych cnotach, słodyczy serca, naiwności umysłu pierwotnych Słowian. Nie odrodził się od nich naród Kazimierzowski. Kto chce poznać jego serdeczną względem swoich i cudzych miłość braterską, niech u niemieckiego autora kroniki Opatów Żegańskich dowie się o braciszka Mikołaja z Kalisza, współczesnika naszej powieści. Nieoswojeni z braterskością słowiańską towarzysze niemieccy, żartowali sobie z ciągłego przezeń używania wyrazu „Bracia kochani”, i przewalili go nawet „braciszek *Bracia*.” „Kochał on tak gorąco swój naród — opowiada świątły kronikarz opat Ludolf — że lubo chorowitego ciała, wstawał ochoczo z łoża boleści, aby słuchać spowiedzi, ile razy jaki Polak go wezwał... Często wypraszał sobie licencyę u przełożonych i chodził po wsiach polskich, uczając swoich ziomków w domach, na gumnach i w polu...”

Kto chce poznać dawną prostotę narodu, niech porówna wstęp społecznych sobie statutów, niemieckiego Złotą Bułą zwanego i polskiego z Wiślicy. Podczas gdy prolog niemiecki w mistyczno-alegorycznym zachwycie prawi jednym tchem o Adamie, o piekle, Troi, Helenie, Pompejuszu, Cezarze, siedmiu świecznikach apokalipsy, siedmiu grzechach śmiertelnych i t. d. i t. d.—skromny prawodawca Wiślicki zagaja ustawę polską niezrównanie pięknemi słowy starożytnej prostoty a mądrości: „Nie ma to ani naganną ani dziwną rzeczą zdawać się ludziom, że podług zmiany czasów także i obyczaje a dzieje ludzkie zmieniają się. A gdy każdemu z mężów nie dość jest zabezpieczyć się mocą ciała albo harnasza świećć cudnością, nie będąc nauką i obyczajami okraszonym, przeto my Kazimierz z bożej miłości i t. d.” Chcesz wreszcie poznać dawną śmiałość myśli i ręki narodowej, odczytaj list o pośle Kazimierza W. na dworze cesarskim w Pradze, pisany przez Niemca do Niemca, przez kanclerza cesarskiego do W. mistrza

Krzyżaków, a opiewający między innymi: „Polacy gardzą powagą cesarską i nie chcą mieć cesarza swoim rozjemcą. Należą oni do tych barbarzyńskich narodów, które nie uznają majestatu cesarzów, ani prawa rzymskiego. Ambasador króla Kazimierza unieważnia wszystko, o cokolwiek błogiej pamięci cesarz Fryderyk i inni wyświadczyli zakonowi waszemu. Czemże wasz cesarz? prawi ten nędznik. Nam — sąsiad, a królowi naszemu — rówień. Gdyśmy przed nim wykładali prawo monarchiczne o pełności władzy cesarskiej, przypominając mu związki z cesarstwem i wyświadczone Polsce dobrodziejstwa przebłogiej pamięci cesarza Ottona, odparł zuchwale: Gdzież Rzym! W czyich jest ręku? Odpowiedz. Wasz cesarz niższym jest od papieża. Składa przed nim przysięgę. Nasz król ma od Boga swoją koronę i miecz swój, a własne prawa i obyczaj przodków przenosi nad wszelkie prawa cesarskie. Przebóg! — kończy kanclerz cesarski. — Cóż dla nich świętem!”

Cóż dla nich było straszem? możnaby dodać. Bo wiemyż co zaludniło Podole? Oto napady tatarskie. Zamiast odstraszać, nęciły one późniejszemi laty połączoną już wielko i małopolską szlachtę do osiedlania się tamże. „W południowej Rusi — opowiada prostoduszny świadek Zygmunrowskiego wieku — już prawie powszechniejszem jest narzecze polskie, niż ruskie. Gdyż dla żyzności gleby i harców z Tatarami chętnie tam osiadają Polacy.”

Taż śmiałość i wyniosłość charakteru, nie dopuszczająca żadnego nad sobą zwierzchnictwa zagranicznego, nie cierpiała też we własnej ojczyźnie żadnego wywyższania się jednych nad drugich. Okazało się to najwidoczniej w niefortunnej przygodzie, jaka padła pod ten czas tytułowi hrabiowskiemu czyli *komesowemu*. Skoro niektórzy magnaci naprzód w Małej, a potem w Wielkiej Polsce przybierać go zaczęli, zaraz i ogół szlachty zażądał równego udziału w ko-

mesostwie, i powszechnie przywłaszczył sobie ten tytuł, który przez to oczywiście wcale spowszedniał. Nakoniec zmuszono panów stanowczo zaniechać nie-miłego ogółowi zaszczytu. Gdy bowiem za króla Kazimierza W. „przyszła potrzeba z Wołochy na pospolitem ruszeniu — opowiada wielki znawca podobnych spraw szlacheckich — rycerstwo polskie bardzo tem obrażone, gdy przed nimi ci hrabiowie pierwszymi u królów na dworze być chcieli i indziej, posłało do panów, aby się potykali pierwej. Oni wskazali do nich, iż to chętnie uczynimy, tylko nam naznaczcie prędki posiłek, albo ratunek. Szlachta na to odpowiedzieli, że tego nie uczynią. Na was wszystko zwycięstwo, jako na paniech należy. Macie przed nami przodek wszędzie, doma i u króla, miejcież i na wojnie. A tak się żadnego ratunku od nas nie spodziewajcie. Gdy was zbiją, my dopiero o krzywdy ojczyzny swej zastawiać się będziemy, o żony i dziatki nasze. Nadto, aby im więcej serca potrwożyli, posłali insze z pośrodku siebie, którzy wołali, aby każdy, kto się mieni poczciwym szlachcicem, do braci przejechał do gromady. Wszyscy zatem słudzy od panów odjechali, tylko sami z masztalerzami zostali, i ci inszy, co nie byli stauu rycerskiego. Takowy upadek a zginienie prędkie swe widząc panowie hrabiowie, przyjechali między rycerstwo, a przyrzekli iż sami wiecznie i potomkowie ich między nimi przodkować nie chcą, ani będą, tytułów hrabskich zaniechają, tylko teraz w tej potrzebie, aby spólna obrona i ratunek był ojczyźnie, prosili. A tę potrzebę odprawiwszy z gromady się nie rozjeżdżając, uścić się sobie rzekli, i tak uczynili.”

Miały też obiedwie połowy Polski monarchę, który pragnął wydobyć na jaw coraz więcej podobnych cech spólności i powinowactwa, mogących porównać obiedwie i zjednoczyć. Otwierający się nam teraz widok tych usiłowań okazuje się tem ciekawszym, ile że jak między Wielką i Małą Polską z oso-

buca, tak między niemi obiema społem, a panującym w obudwóch królem, zachodziła również niemala różnorodność i sprzeczność. Rzuciwszy okiem na ogół narodu ówczesnego, spojrzymy na jego głowę w koronie.

W wieśniaczej Polsce Kazimierza Wielkiego nastąpił po nim wychowanek najświetniejszej, najwykwintniejszej w Europie rodziny. Dom andegaweński, gniazdo naszego króla Ludwika, czyli jak go wówczas powszechnie zwano, Loisa, słynny już swoim braterstwem z kapetyngskim świętego Ludwika rodem, zasłynął jeszcze głośniej swoim oddzieleniem się odeń. Stało się to wskutek łaskawego przez stolicę papieżką zawezwania brata św. Ludwika, Karola Andegaweńskiego, na tron neapolitański, opróżniony upadkiem wrogich papieżom Hohensztaufów. Odtąd miała stolica apostolska Andegaweńczyków neapolitańskich za ród wybrany. Jak Neapol, tak i królestwo węgierskie winni byli Andegaweńczykowie głównie opiece i najusilniejszym trudom dworu rzymskiego. Podnosząc zaś polityczną ich wielkość, zwiększali papieżowie również i religijną ich sławę. Pomnożyła ją niedawna kanonizacya nowego św. Ludwika, biskupa tolozańskiego. W każdym też papieżkiem odezwanii się do przodków Jadwigi powtarza się chwała dziedzicznej w ich domu świątobliwości.

Obok palmy niebieskiej, zdołał ich także wieńiec sławy światowej. Brat biskupa tolozańskiego, a dziad naszego króla Loisa, król Neapolu, Robert, władca jednego z najrozkoszniejszych państw świata, uchodził za najpierwszego w swych czasach mędrca, powiernika najskrytszych tajemnic przyrody, wspieracza nauk. Toż jak stolica apostolska, tak i wszyscy sławni ludzie onego czasu kochali Andegaweńczyków. Po dziś dzień rozmawia Dante w Boskiej Komedyi, w Raju na planecie Venus, ze swoim królewskim przyjacielem Karolem Robertem, dziadem Jadwigi. Po dziś dzień płonie Boccaccio w swojej elegii pod

napisem *Fiametta* najgorętszą miłością ku przyrodzonej córce onego króla-mędrca Fiamecie, czyli Maryi. Petrarka lamentuje szumnemi słowy nad zamordowaniem stryja Jadwigi, królewicza Andrzeja, męża i ofiary Joanny neapolitańskiej, a głośny trybun rzymski, Cola Rienzi, szuka przytułku u brata Andzejowego, Loisa, ojca Jadwigi.

Zwłaszcza też król Lois wzbudzał cześć ludzką. Jako pan Polski i Węgier, zdobywca Dalmacyi, zwierzchnik wielu pomniejszych państw naddunajskich i prawy dziedzic Neapolu, liczył on w swojej intytulacyi królewskiej sam jeden tyle poddanych sobie królestw, ile wszyscy królowie europejscy pospołu. Samego królestwa węgierskiego kopalnie czyniły go tak bogatym, że ubytek dochodów wielu rozszaflowanych ziem polskich mógł za nic ważyć. Przed tyłą potęgi i dostatków nie wahali się sami cesarze bizantyńscy ukorzyć czoła, błagając pomocy przeciwko Turkom. Papieże nie mogli dość pochlebnych znaleźć dlań słów. Według ich pieszczot jest on „najsświętobliwszym, najukochańszym księżciem, *pierworodnym* świętego kościoła Bożego, prawdziwym synem łaski, chrześcijańskim nad wszystkich królem (*christianissimus*).” Uradowany zaś zapowiedzianą przez Ludwika przeciw heretyckim Bośniakom wojną, obdarza go Innocenty VI tytułem „chorążego kościoła.” A Ludwikże cóż na to? Ludwik pozwala wyrządzać sobie wszelką cześć, nadawać wszelkie tytuły, modli się za to w skrusze do św. Pawła i Matki Boskiej, lecz ani dla swojej pobożności, ani dla owej czci nie zaniedbywa na chwilę swojego ziemskiego dobra, swojego interesu, swojej chciwości. Zwiódłszy świat zapowiedzianą krucyatą bośniacką, uderza „chorąży kościoła” swoim wojskiem krzyżowem na wenecką Istrię i *Dalmacyę*, dodając do politycznego podstępu wielką w onych czasach nieprzystojność rycerską, gdyż uderzył bez wypowiedzenia wojny. Tym obłudnym i samolubnym rozsądkiem stał Ludwik w zupełnej sprze-

czności ze swoim naiwnym nadwiślańskim narodem i całym dawnym jego książąt szeregiem.

Cała też powierzchowność odróżniała go od nich. Król Lois, mężczyzna słusznego wzrostu, nosił przeciw ówczesnemu obyczajowi Polaków gęstą brodę, miał wydęte wargi, wypukłe oczy, ramiona nieco z ukosa, a od postrzału pod Awersą chromał na jedną nogę. W umyśle przyrodzona porywczosć walczyła z przyswojoną rozmyślnością. Gdy jednego razu we Włoszech koniuszy królewski na uporczywy rozkaz Ludwika puścił się z koniem w głęboką wodę i tonąć zaczął, rzucił się młody król za nim w rzekę. Lecz na uczynione sobie tamże przez Ludwika z Tarentu wezwanie na pojedynek rycerski odpowiedział Ludwik nieśmiałą trudnością w wyborze miejsca walki, czem cała sprawa rozchwiała się. Syn ojca, który ślubem zobowiązał się odmawiać codziennie po kilkadziesiąt, niekiedy po dwieście *Ojczenaszów* i *Zdrowaś Marya*, a który popadłszy w znaczne tych modlitw zaległości, poszukiwał pokornie absolucyi papieżkiej i umniejszenia ślubu do codziennej liczby piętnastu pacierzy, nie dał Ludwik lada komu wyprzedzić się w pobożności. Wszakże religijność jego ograniczała się na zawieszonym u szyi relikwiarzu, na wymownych dyplomatach ku czci Najświętszej Panny, na nienawiści ku żydom i zupełnem wypędzeniu ich z kraju, wreszcie na prześladowaniu Słowian wschodniego obrządku, a w najlepszym razie na sprowadzeniu ciała świętego Pawła eremity z Wenecyi i zbudowania kilku monasterów ulubionym mnichom Paulinom.

Aby zaś w prostodusznej szczerocie pobożność swoją czynem słowiańskiej hojności, a nawet rozrzutności w życie wprowadzić, na to był Ludwik nadto rozsądnym. Owszem, pomimo osobistej dewocyi króla, mimo rodową sławę świątobliwości, biadało duchowieństwo na ciężkie, najcięższe za króla Loisa czasy. Niewolno było nikomu ani darem, ani testamentem

zapisywać dóbr ziemskich na rzecz kościoła. Wszystkie prałactwa, dostojenstwa i beneficya duchowne rozdawał Ludwik po swej samowolności, znieważając wszelkie prawa zwierzchnictwa kościelnego. Jak na pobożnego ojca Roberta, tak i na syna Ludwika musiało duchowieństwo węgierskie płaczliwe u papieża rozwodzić skargi, a zakłopotany papież upraszał dopiero pobożniejszą matkę królewską, Polkę Elżbietę o zarządzenie temu „tyraństwu”, jak list papieżki opiewa. W Polsce nie ustawały swary między królem a duchowieństwem o podatki z włości duchownych, a roczniki miechowskie narzekają, iż pono żaden z królów onego wieku nie zadał tyle klęsk klasztorom, co król Ludwik. Za to zjednał on sobie pospólu ze zdziwczym zakonem Krzyżaków sławę doskonałego administratora. Żadnemu królowi polskiemu „nie wpływały podatki i dochody tak regularnie i tak nieuszczerplone, jak Ludwikowi.” To wzorowe administratorstwo zwracało wszelkie jego spótczucie ku stanowi kupieckiemu, mieszczaństwu. Śród najsroższej wojny utrzymywał Ludwik bezpieczeństwo dróg i handlu. Krzyżacy nie mogą w listach do Jadwigi nachwalić się złotego dla kupców wieku w Polsce za panowania jej ojca. Taż żyłka handlowa i towarzysząca jej zwykle zazdrość kupiecka zapalały go dziwną w tak bogobojnym królu, bo wcale bezbożną wściekłością przeciw kupieckiej Rzplitej weneckiej. „Sprzymierzyliśmy się — mówi sam Ludwik — z szlachečnym ksiąźciem rakuzkim, Albertem, ku zgubie, pohańbieniu, sromocie, wysączeniu ostatniej kropli krwi i zupełnej zagładzie miasta Wenecyi.” Również gorąco „kochał i wywyższał Ludwik”, jak niegdys jego ojciec, miasta własnego państwa. W ogólności jako raczej administrator, niż rycerz, sprzyjał on głównie wszelkiej nieszlachcie. Przez co ze stanu kmiecego, „z dworskiego słuźebnictwa”, albo „z pod strzechy wiejskiej” wybierał najchętniej swoich ulubieńców i urzędników, rozbijając nimi

potęgę szlachty. Dla tej to nowej klasy, dla mieszczan założył Ludwik akademię w Pięciu-kościółach.

Wszystko to było rzeczą bardzo chwalebną, gdyby nie okoliczność, że czy to w Węgrzech, czy w Polsce, przeważenie się serca królewskiego na stronę miast i kupiectwa było przeważeniem się na stronę cudzoziemczyzny, która głównie przeto groziła za niego niebezpieczeństwem, iż cudzoziemskość samegoż króla nie przejmowała go, jak naprzykład Kazimierza Wielkiego, chęcią zespolenia jej z żywiołem narodowym. Bez tej chęci był Ludwik w Węgrzech i w Polsce raczej niemieckim, niż narodowym królem. Jakoż ta na francuskim pniu zaszczerpiona germańska cudzoziemczyzna stanowi najznamienitszą cechę jego charakterystyki. Przez trzydzieści lat czekania na tron Piastów (1339—1370) nie dbał Ludwik o nauczenie się mowy polskiej, a rozmawiał rad po niemiecku. Obojętny dla szlachty krajowej, „kochał się w Niemcach”, którzy wzajemnie pisywali poemata pochwalne o jego czynach. Skąpy dla duchowieństwa, okazywał się hojnym dla swoich Niemców, a oni też tłumnie do niego zbiegali się”. Zamiast, jak jego poprzednicy w Polsce, starać się o związki z Litwą, bratał się Ludwik chętnie to faworami handlowymi, to własnoręczną w młodszych latach pomocą zbrojną z czyhającym na zgubę polską niemieckim zakonem Krzyżaków. Ku niemieckim też domom książąt rakuskich i królów czeskich brała wagę cała jego polityka dynastyczna.

Brak męskiego potomstwa zniewalał go szukać zdolnych do berła zięciów, a tych pragnął on znaleźć w pomienionych rodzinach. Ztąd ciągnęła pomiędzy te miż dwoma niemieckimi domami zazdrość, ciągnęło spółubieganie się o pozyskanie większej spuścizny łask Ludwikowych. Przemagał w tej walce nasamprzód dom rakuski. Położenie geograficzne, wiążące Rakuzy i Węgry spólnym Dunajem, wymagało odda-

wna ścisłego pomiędzy obydwoma dynastjami sojuszu. Jakoż oddawna wiązały się obie nadmiar częstemi traktatami. Historia i dyplomacya przechowały nam świadectwa takich zapewnień przyjaźni i obopólnej pomocy z lat 1345, 1349, 1353, 1356, 1357, 1358, 1359, 1361, 1362. Przyszło nawet do wyraźnego przez Ludwika przyrzeczenia domowi habsburskiemu korony węgierskiej wraz z ręką jednej z córek. To ubodło spółzawodniczących królów czeskich z krwi luxemburskiej, mianowicie cesarza Karola IV. Chcąc mieć także jakąkolwiek stawkę w rakuskiej grze fortuny, uwikłał on w roku 1364 braci habsburskich, Albrechta i Leopolda, w traktat sukcesyjny z Czechami. Kto z książąt rakuskich lub czeskich przeżyje przeciwną stronę, ten miał odziedziczyć jej państwa. Owszem, w coraz dalszem przechylaniu się szali fortuny na stronę Czechów, przeinaoczył Ludwik owo Rakuszanom uczynione przyrzeczenie sukcesyjne w ten sposób, iż przy obecnej jednoistności Czechów z domem rakuskim zaręczona została tej stronie sukcesya w Węgrzech, którą sam Ludwik później wybierze. W końcu wypadli książęta rakuscy zupełnie z łaski Andegaweńczyka Loisa. Na trzy lata przed śmiercią Kazimierza Wielkiego w r. 1367 zerwały się formalnie wszelkie między nimi a królem węgierskim węzły. Lubo w tej porze i dla rodziny Luxemburskiej przychylność Ludwika nieco oziębła, pozostał przecież plac zawodnictwa na chwilę przy domu luxemburskim. Z nim też, gdy wkrótce dawna przyjaźń wróciła, odnawiają się najpierw traktaty sukcesyjne. Rozpoczęte w roku 1372 układy o małżeństwo między królowną węgierską Maryą a królewiczem czeskim Zygmuntem, czem zmartwieni książęta rakuscy rzucają się do wzajemnego teraz podkopania fortuny Luxemburczyków, a przynajmniej do wyrównania im w zabiegach o spuściznę węgierską. Nim dwa lata upłyną, obaczmy także same układy, jak względem Maryi i Zygmunta, zawiązane

między Habsburgami a Ludwikiem o drugą jego córkę Jadwigę i Leopoldowego syna Wilhelma. I znowuż oba domy niemieckie zbliżyły się ku sercu Ludwikowemu, a Polska, polskie stosunki i korzyści pozostały jak dawniej w zapomnieniu.

Jak Ludwik dla Polski, tak też Polska dla Ludwika była zupełnie obcą. Mowa narodu brzmiała niezrozumiale jego uszom. „Aura Polski” szkodziła jego piersiom. Dawne prowincye Polski, krainy szląskie, wbrew zaprzysiężeniu starań o odzyskanie utraconych ziem polskich, służyły mu tylko za myto, którem sobie przekupował uległość Luxemburezyków. Koronę i królewskie insygnia polskie włożył Ludwik po koronacyi w Krakowie jako sprzęt na wóz i wprowadził z sobą do Budy. Pozbawiona korony i obecności królewskiej Polska, musiała się tem pocieszać, iż za górami ma króla, który ją pierwszy słowem i pojęciem „majestat królewski” udostojnił. Jednak, mimo tego nowego zaszczytu, nie osiągnąć było prostym umysłem polskim polotu majestatycznych planów króla Ludwika. Niezwyczajna fortunność rodu, prowadząc Andegaweńczyków wokrag Europy z tronu na tron, ośmielała fantazyę królewską do najbujniejszych marzeń. Rad też rozkoszował się w nich ojciec Jadwigi. Przy wszelkich bowiem talentach administratorskich, posiadał on także namiętuy pociąg do życia kontemplacyjnego, zadumczywości. Przyczyniło się do tego powszechne onych czasów zamiłowanie w wróżbiarstwie astrologicznem. Nie masz prawie księżęcia, któryby wtedy nie hołdował tej manii, sławny król francuski, Karol V Mądry, stryj Wilhelma Rakuskiego książę Albrecht, wielki mistrz krzyżacki Henryk de Plauen i mnodzy inni, albo sami ze znaków niebieskich wróżyli, albo opłacali wróżbitów. Najgłośniejszym mistrzem tej umiejętności tajemniczej znano i sławiono krewniaka Ludwikowego, mądrego króla Neapolu, Roberta. W czasie długoletnich wojen między Anglią a Francją „rzucał on wielokrotnie wró-

żebne losy względem przyszłości obudwóch królestw i dochodził wszystkiego astrologią". Za przykładem mędrca bratanka, „pracował i Ludwik z najgorętszą chciwością w sztuce gwiazdziarskiej”.

Poznawszy więc główne rysy jego charakteru, udajmy się za nim do ponocnej pracowni jego marzeń. Tam napoły w mistycznych dumaniach pogrążony, snuł on dalej nie tych dumnych zamysłów, jakie już jego ojca Karola zaprzętały. Ojciec Karol-Robert marzył o założeniu pobratniej rzeszy królestw, z których jednemu — Węgrom, panowałyby jeden syn Szczepan, drugiemu — Polsce, Ludwik, trzeciemu — Neapolowi trzeci [syn Andrzej. Złowrogi los zawiódł krwawo plany ojcowskie. Szczepan umarł w młodości bez korony, a jeszcze młodszy Andrzej padł pod ciosami neapolitańskich morderców. Odmiennie położenie trzeciego pozostałego syna Ludwika, dziedzica wszystkich trzech koron, w odmienną postać kształtowało dzisiejsze jego zamysły. W oczach Ludwika wszystkie jego królestwa miały tylko wartość jako posagi jedynych jego dziedziczek, trzech córek: Katarzyny, Maryi i Jadwigi. Każda z nich miała otrzymać po koronie. Która jednak którą weźmie koronę, kryło się właśnie w mroku przyszłości. Rozstrzygnięcie tej zagadki zależało od przyszłych zięciów. Na dwóch, Zygmunta Luxemburskiego i Habsburskiego Wilhelma, rzucił już Ludwik, jakeśmy nadmienili, wzrok wyboru. Teraz zajmowała go myśl o trzecim. Zapragnął on go daleko, w rodzinnej Francyi, z pokrewnego szczepu królów francuskich, z pomiędzy synów króla Karola V Mędrca. Temu przeznaczył Ludwik najbliższy Francyi Neapol, a jako najdostojniejszemu ze wszystkich zięciów, pozostawił mu wolność wybrania którejkolwiek z trzech córek. Francuski zatem oblubieniec miał wyborem swoim stanowić ostatecznie o rozdzieleniu trzech królestw pomiędzy trzy królowny. Na Ludwiku ciążyła tylko troska, aby każdej z córek po koronie w posagu stało.

Ale spełnienie tego życzenia tamowały różne przeszkody. Łatwiej było marzyć o trzech posagowych koronach, jak to Ludwik czynił istotnie w dyplomatycznej korespondencji z dworem paryżkim, niż te korony rzeczywiście zięciom dać w posiadanie. Królestwo neapolitańskie miał oblubieniec francuski wydrzeć dopiero z rąk posiadającej je obecnie królowej Joanny. W Węgrzech, nie przyznających córkom prawa do dziedzictwa po ojcu, chyba tylko wzgląd na zasługi Ludwika około Węgier mógł zapewnić córce następstwo. Największe atoli trudności groziły ze strony Polski. Względem tej jeszcze na piętnaście lat przed śmiercią Kazimierza Wielkiego obowiązał się być Ludwik wyraźnym paktem pisemnym z roku 1355 nie myśleć o przekazaniu córce tronu polskiego. „Jeśliby—prawi wyraźnie jeden z warunków tego dokumentu—przygodziło się, iż, co uchowaj Boże, albo my (Ludwik), albo ksiązę Jan, nasz synowiec (jedyne wówczas męski spadkobierca Ludwików), zeszlibyśmy z tego świata bez potomka płci męskiej, natenczas wszelkie pakta, umowy, rozrządzenia, ordynacye, tudzież przysięgi wierności i hołdu, wreszcie wszelkie zobowiązania się (narodu względem Ludwika) mają być tem samem zniweczone, unieważnione i bezskuteczne.” Jeśliby zaś przypuszczono nawet płeć niewieścią do berła, toć miała Polska w pozostałych dwóch córkach *Kazimierza Wielkiego*, Annie i Jadwidze, bliższe od córek Ludwikowych dziedziczki. Owóż te obiedwie przeszkody, ów złowrogi dokument i niebezpieczeństwo ze strony sierot Kazimierzowych, zagradzały córkom Ludwikowym drogę do Polski. Chcąc ją zostawić posagiem dla jednej z córek, należało wprzód usunąć te dwie przeszkody. Uporczywy Ludwik nie uląkł się dzieła trudnego. Powszechna bezskrupulatność ówczesnego świata nie przebierała w środkach. Sam Ludwik nie słynął z rzetelności. Ciężka przeto krzywda padła sierotom Kazimierzowym, gdy Ludwik naprzód do uwolnienia się od nich przystąpił.

Skoro koronacja Ludwika w Krakowie się odbyła, zostały Anna i Jadwiga uwieszone do Węgier. Tam w obczyźnie odsądzono je od wszelkich praw do tronu ojczyzstego. Złożony w tym celu z duchownych i świeckich sędziów trybunał, zważywszy, iż zmarły ojciec Kazimierz pojął ich matkę, swoją trzecią małżonkę, jeszcze za żywota odprawionej do Niemiec drugiej, uznał obiedwie dziewczeczki potomstwem ślubów nieprawych. Mimo dopełnionego jednocześnie ulegitymowania, ogłoszono je niegodnymi korony. Nadto potrzeba było uwięzić sieroty Kazimierzowe w podłym małżeństwie, będącem dla nich strażą przeciw wszelkim do dziedzictwa ojczyzstego zamysłom. Uległa temu losowi głównie starsza Kazimierzówna Anna. Wtrącił ją król Lois w istne piekło zepsucia. Był tem styryjski dom hrabiów Cyllejskich. „Jakieś osobliwsze zbrodniarstwo przechodziło w tym rodzie spadkiem z ojca na syna” — mówi dzisiejszy ich dziejopis. Niedawnymi czasy od cesarza Karola IV do godności udzielnych hrabiów cesarstwa wyniesieni, uwielmożyli się oni głównie wystugami u dworu węgierskiego. Było ich obecnie dwóch: stary stryj Herman, głowa rodu, i synowiec Wilhelm. Córka Hermana, Barbara, małżonka króla niemieckiego Zygmunta Luxemburczyka, liczy się do najsprośniejszych grzesznic, jakie znane są w dziejach. Nie śmiemy powtarzać tu szpetnych rysów, jakimi jeden z najznakomitszych pisarzy onego czasu, późniejszy papież Pius, kreśli jej obraz...

Nie mniej ohydny był także brat jej, graf Frydryk. „Srogi, nieużyty, krwi żądny, okrutnik, skąpiec, wróg duchowieństwa, niecierpiący obrzędów kościelnych, zły pan, zły sąsiad, żarłok, rozpustnik — są to słowa tegoż samego pisarza — udusił on własną żonę, zapaliwszy się namiętnością ku jakiejś ulubienicy, którą jego ojciec, graf Herman, jako o czary przekonaną, utopić kazał. Wnuk Hermanów, a syn tegoż Frydryka, graf Ulryk, znalazł się później w po-

dobnem położeniu. Rozmiłowawszy się w cudzej żonie, kazał dziki Cyllejczyk zabić jej męża. O czem słyszając ojciec żonobójca, u boku nowej tymczasem „Herodyady” pocieszający się po stracie onej czarownicy utopionej, postanowił skarcić syna grzesznego. Posyła mu tedy rozkaz, aby się stawił przed nim. Zatrwożony wezwaniem syn, wyprawia naprzód swą przyjaciółkę, wdowę po owym mężu zamordowanym, mającą widokiem swoim rozbroić ojca. I owo w stuleciu, które nawykliśmy uważać za porę szczególnej bogobojności, w łonie rodziny połączonej wielą stosunków z najdostojniejszymi rodami owego wieku, odgrywa się scena godna czasów i obyczajów Sardanapala. Naprzeciw „Herodyady” synowskiej wychodzi na rozkaz pana nowa Herodyada ojcowska. Otoczone świetnym dworem frejlin i edelknechtów, oddają sobie obiedwie grzesznice, wśród uroczystych ceremoniałów, wzajemną cześć. Dopiero po ich przywitaniu się, spotyka się zgrzybiały rodzic-karciciel z pięćdziesięcioletnim synem występny. Ojciec wyrzuca synowi zabójstwo małżonka niewinnego; syn przypomina ojcu zamordowanie własnej małżonki. Tą wzmianką zamienia się winowajca w oskarżyciela. Skruszony wymową synowską, przyznaje ojciec sobie samemu winę wszystkiego. Z żalu w rozczulenie przechodząc, otwiera synowi uścisk przebaczenia i pojednania. — „Naprawdę! — woła. — Nie omyć cegły z czerwieni; nie odstrychnąć się synowi od rodzica. Żyj nadal, jak ci serce twe każe.”

W taki to dom wtracił Ludwik sierotę Kazimierzową. Pojął Annę w małżeństwo stryjeczny brat owego łożobójcy, graf Wilhelm. W jego rodzie zdała się Ludwikowi krew Kazimierza Wielkiego na wieki osławioną i zapomnianą. Dla zapewnienia tronu polskiego krwi Ludwikowej, pozostawało jeszcze tylko unieważnić ów przeciwny następstwu niewieściemu dekument z roku 1355. Troskę o to podzielała z Lu-

dwikiem jego matka, Elżbieta, pozostawiona przezeń jako rządczyni Polski w Krakowie.

Rola królowej Elżbiety w Polsce była nieskończenie świetniejszą, niż obecna jej pamięć. Po rozstąpieniu okolicznościowych uprzedzeń, poznajemy w babce Jadwigi, a siostrze Kazimierza Wielkiego, znamienitą niewiastę. Pobożna, fundatorka mnogich przybytków franciszkańskich w Aradzie, Szatmar-Nemethi, Szaz-Varoz i innych miejscach, posiadała ona w Węgrzech odrazu tak stanowcze uczestnictwo w rządach syna Ludwika, że podziśdzeń pozostały jej tam urzędowy tytuł i godność współrządczyni, „korrejentki” królestwa. Żadne prawie z rozporządzeń „Wielkiego”, jak on u Węgrów słynie, króla Ludwika, nie obeszło się bez wyraźnej wzmianki o przyzwoleniu „naszej najukochańszej matki, królowej Elżbiety”. Ilekroć jakie trudniejsze dzieło umiejętnego żądało rozwikłania, zawsze tam rękę Elżbiety w ruchu widzimy. A miała tylko jedną, gdyż drugą odrąbał jej przed laty trzydziestu rozjuszony wróg ojca Ludwikowego a jej małżonka, króla Karola, stary Felicyan Zach, napadłszy z dobytym mieczem na siedzące przy obiedzie królestwo. Nieodgadnionej dotąd przyczyny tego szalonego, a niebawem na całej rodzinie Felicyanowej okropnie pomszczonego zamachu, nie kładziono w Węgrzech nigdy na karb onotliwej i powszechnie czczonej królowej.

Owóż taką trudną do rozwikłania sprawę znalazł Ludwik u samego wstępu panowania w utwierdzeniu swego młodszego brata Andrzeja na tronie neapolitańskim, zaprzeczanym mu przez młodą żonę Joannę. Zaraz tedy pospiesza matka Elżbieta osobiście do Włoch, aby wyjednać synowi koronację. Dla okazania w obliczu Europy świetności korony węgierskiej, towarzyszy tej podróży bajeczny prawdziwie przepych. Nie było liczby dworskiemu orszakowi niewiast, panien, urzędników, rycerstwa. Kilka okrętów weneckich przewoziło podróżny dwór królowej przez Adryatyk. Oprócz

bitej monety do codziennego użytku, znajdowało się w skarbcu wędrownym najczystsze złota i srebra w sztabach i bryłach przeszło ośm milionów złotych węgierskich. Wkrótce też po przybyciu królowej do Neapolu wypogodziło się niebo nad młodzieńczym królewiczem Andrzejem. Równie młodzieńcza, bo dopiero czternastoletnia Joanna, zdawała mu się przychylną. Wyprawione do Awinionu węgiersko neapolitańskie poselstwo wróżyło rychłe ze strony papieża Klemensa przyzwolenie na koronację Andrzeja.

Tymczasem pobożna siostra Kazimierza Wielkiego postanowiła zwiedzić pobliskie progi apostolskie, stolicę św. Piotra, tak niegdyś przyjaźną jej ojcu Łokietkowi. Podjętą z całym dworem pielgrzymkę malują społeczne kroniki jako ciągły pochód tryumfalny. „A słysząc ludzie—opowiada kanclerz jej syna, Ludwika—że królowa Elżbieta przystojnością obyczajów i niezwykłą pobożnością jak światła zorza jaśnieje, i że dwór jej skromnie a spokojnie podróż odbywa, wybiegali wszędy na gościńce i ulice, aby się jej przypatrzeć. A napoiwszy się jej widokiem chwalili wszyscy Boga, iż tak zaona pani i pobożna królowa, opuściwszy dom i królestwo, przybyła z końca świata, jako druga królowa Saba błagać o łaskę Zbawiciela.” Owóz gdy po kilku dniach drogi zbliżano się do Rzymu, poruszyła się cała okolica. Wyszli naprzeciw królowej po jednej stronie Tybery, Kolumnowie, po drugiej Ursyni i powitali królowę z czcią niezmierną. A pospólstwo i reszta Rzymian, wielcy i mali, niewiasty i dziewczki, cisnęli się kędy tylko przejeżdżała królowa, wołając w głos: „Niech żyje pani węgierska!” I trzęsła się ziemia od tych okrzyków. A u bramy kościoła św. Piotra przyjęło królowę całe kolegium rzymskie z procesją i wielką solennością i czcią. Ofiarowała zaś królowa ołtarzowi św. Piotra bogate upominki w kielichach i ornatach i brzęczącej monecie według wielmożności królewskiej. Potem zwiedziła mnogie klasztory, ko-

ścioły i przybytki świętych, które podobnież hojnemi udarowała ofiary. Pozwolono jej także przypatrzyć się zblizka wizerunkowi twarzy Chrystusa Pana, czyli Weronice, którą dwa razy, po stopniach wstępując w wielkiej skrusze i pokorze, adorowała. Co wszystko sprawiwszy, wróciła w oktawę św. Franciszka z radością i tryumfem do Neapolu.”

Pamięć odwiedzin Polki, Elżbiety, została na długie lata drogą Rzymianom. W oznakę wdzięczności za jej kosztowne dary, pomiędzy którymi celował osobliwie duży srebrny obraz z rzeźbą św. Piotra, ustanowili kardynałowie na cześć tej królewskiej pielgrzymki coroczne święto pod nazwą „niwersarz królowej.” Wróciwszy do Neapolu, zabawiła Elżbieta jeszcze pół roku na dworze swojej synowej. W tym przeciągu po przebyciu różnych trudności, dojrzały negocyacye awiniońskie do pożądanego nareszcie skutku. Dnia 2-go lutego 1344 roku podpisał Klemens VI bullę koronacyjną. Zadowolona królowa mogła pełna otuchy pożegnać królewicza. Przy ostatniem jednak rozstaniu się matki z synem ustąpiła odwaga królowej lękliwemu przecuciu serca macierzyńskiego, światło rozumu—zabobonowi miłości. Wisząc na szyi Andrzeja wsuwała mu na palec pierścień cudowny, zapewne jakieś świętości zawierający, nieomylny amulet od zabójczości żelaza i trucizny.

Nie śmiać targnąć się na niego sztyletem, ani trucizną, uduśili go Włosi. Po tym okropnym wypadku, dokonanym dopiero w rok po odjeździe Elżbiety, poświęcała ona całą pieczołowitość synowi i państwu węgierskiemu. O ważności spółrządztwa Elżbiety w Węgrzech świadczy rozciągłość jej stosunków dyplomatycznych. Nie obce jej były sprawy najwyższej wagi, nie obce stosunki z najodleglejszemi dworami. Sławny angielski król Edward III pociesza królowę po śmierci syna Andrzeja listem wielce przyjaznym. Każdy z następujących po sobie papieżyw

przesyła jej wyrazy czci, dziękczynień i prośb. Jan XXII wychwala ją jako „córę błogosławieństwa i łaski,” zasłużoną dziełami pobożności, jak np. wspomnionem powyżej fundowaniem przybytków franciszkańskich. Klemens VI przyrzeka załatwić sprawę neapolitańską, „według jej rad roztropnych.” Grzegorz XI poleca zagrożone duchowieństwo węgierskie potężnej opiece królowej. Była tedy Elżbieta skończoną już mistrzynią ówczesnej polityki, była głośną u wszystkich dworów zagranicznych, gdy Ludwik Polskę objął. Aby to nowe królestwo, pomimo niewielkiej dlań gorliwości Ludwika utrzymać niezachwianie berła węgierskiemu, aby co więcej zniewolić Polaków nieznacznie do uznania następstwa płci żeńskiej, potrzeba było równej, jak w Neapolu, staranności. Przeto, jak niegdyś za morze Adryatyckie, tak teraz po śmierci brata Kazimierza Wielkiego pośpiesza Elżbieta do Krakowa. Osiadła ona tam nie tylko jako namiestniczka syna Ludwika, lecz, owszem, jako „starsza królowa polska.” Lubo nieukoronowanej w Polsce, ani małżonce króla polskiego, dawano jej ten tytuł w aktach publicznych. Miał on, według życzenia króla Ludwika, uświęcić publicznie jej wpływ na rządy w Polsce, co tem łatwiej pojąć możemy, ile że w nieoswojonym z władzą niewiast narodzie panowanie matki królewskiej miało widocznie przysposobić umysły do powolności względem przyszłego panowania niewiasty, przyszłych rządów jednej z córek królewskich.

Uprzedzenia miejscowe rzuciły niezasłużony cień na czynności Elżbiety w Polsce. Przecież żadnemu z jej kroków w nowym królestwie nie można odmówić rozsądnego zamiaru. Najprzód dla złagodzenia sprzeczności między Wielką a Małą Polską doradziła królowa Ludwikowi pokusić się o poruczenie wielkorządztwa w pierwszej, małopolanińowi Ottonowi z Pilcy, herbu Topór. Niepomysłny skutek tego postanowienia, t. j. zmuszenie Ottona przez wielkopolanina,

jako nieziemianina, do ustąpienia wielkopolaninowi Sędziwojowi z Szubina, dowodzi tylko tem naglejszej potrzeby podobnych kroków pośredniczenia obudwóch spornych prowincyj. Również trudno mieć za złe, że Elżbieta następnie usunęła ze starostwa kujawskiego dwóch bratanków, Bartosza z Sokołowa i zacnego zresztą Bartosza z Wissemburga, którzy za dzierżawę dochodów ziem kujawskich płacili tylko 800 grzywien, a wypuściła też dzierżawę Pietraszowi Małosze z Małachowa, który za nią z mniejszą dla siebie, z większą jednak dla skarbu publicznego korzyścią, ofiarował 2,000 grzywien co roku. Dalszą względem podniesienia skarbowych i krajowych bogactw ustawą wyświadczyła Elżbieta znamienite odczynnie swej dobrodziejstwo. Jest niem pierwszy statut dla żup kruszcowych, w szczególności dla żup Olkuskich. Zapewnia on Elżbiecie czestne miejsce obok brata Kazimierza Wielkiego, urządziela żup solnych. Głównem wszakże jej zadaniem było przeprowadzenie sukcesyi żeńskiej. Pomyślnemu rozwiązaniu onego zawdzięcza Polska swoją późniejszą wielkość. Zważając zaś wszelkie okoliczności, musimy niemały udział w zasłudze tego dzieła przyznać matce Elżbiecie, przybyłej do Polski głównie w zamiarze poparcia sprawy królewien, odjeżdżającej z Polski, skoro ta sprawa do skutku przyszła, spotwarzonej wreszcie dla niej na wieki.

Przeszkadzał córkom Ludwikowym, jak już wiemy, najbardziej ów niewczesny dokument z r. 1355. Wypadało jakimkolwiek sposobem wydobyć go z rąk narodu. Ale wydrzeć komu przywilej, było wówczas rzeczą niełatwą. Przywilej, to najkosztowniejszy skarb onych wieków. Po relikwii uderzał pierwszy pokłon—pergaminowi. Nierozmnożony licznemi, jak dziś, przeróżnych kancelaryj odpisami, nierozsiany po świecie drogą urzędowego dziennikarstwa, częstokroć w jedynym istniejący egzemplarzu, stanowił ówczesny dokument nierzadko jedyny tytuł jakiegokolwiek własno-

ści. Udzielenie komuś przywilejowego poświadczenia tej lub owej użytej mu łaski poczytywało się za dobrodzieństwo, równające się podwojeniu tej samej łaski. Toż nadzwyczajnie drogo, niekiedy dziesięciną odniesionej przywilejem korzyści, opłacano to cenne dobrodzieństwo. Uzyskany dokument spoczywał pod obroną grubych murów, straży, zamków, w najskrytszym schowku, czyli, jak wtedy mówiono, „w komorze.” Kilku właścicielom wspólny, kilka osób wzajemnie obowiązujący, dokument szedł w kilkoro rozkrojony w podział pomiędzy strony. Jeśli właściciel podejmował podróż daleką, pergaminowy skarb, nikomu niepowierzony, misternie w suknię zaszyty, towarzyszył mu nieodstępnie na piersiach, podczas gdy w domu tylko uroczyste sporządzony odpis zostawał. Umierający przykazywali na łożu śmiertelnym, aby ich umiłowane za życia, wygasające z nimi pergami-ny, kładziono im do grobu w ręce skostniałe. Fałszerze dokumentów równali się, według słów bulli papieża Marcina V, „poganom, kacerzom, żydom i antypapieżowi Benedyktowi XIII.” Czekał ich stos nieochybny, „pamięć przeklęta.” Nie łatwo tedy było targnąć się na przywilej prawdziwy, niełatwo było królowi i królowej zniweczyć pergaminową świętość narodu, spoczywającą od lat blisko dwudziestu w skarbcu krakowskim. Podjął się tego młody archidyakon i kanclerz krakowski Zawisza, syn wojewody krakowskiego, Dobiesława.

Mając mówić o przeistoczeniu się losów narodu, przychodzi zaraz po królu i królowej mówić obszer-niej o duchownym. Bo w porze opowiadanych tu zdarzeń cała budowa świata społeczeńskiego przeważnie z duchownych wznosiła się podwalin. Wszystko, co się działo natenczas, działo się głównie przez księży, w znacznej części dla księży. Rzecz to ogółowo wiadoma, lecz któż uobecni sobie dokładnie wszystkie rysy jej szczegółowe? Umiemyż wyobrazić sobie, jak dalece całe życie ówczesne ze swoim

strojem, językiem, obyczajem, stanem każdym, każdą chwilą istnienia, duchowną miało barwę? Cóż za różnica między skromnym widokiem dzisiejszego, tak nielicznego, w powszechności cnotliwego duchowieństwa, a widokiem jaskrawym, jakiby nas zadziwił, gdybyśmy się znaleźli naraz wśród duchownego świata średnich stuleci!

Papież ówczesny, to — jak najuczęszcze umysły wieku wyrażają się — „Bóg na ziemi,” „pan świata.” Jeden z kronikarzy francuskich za dni Jadwigi mówi o najwyższem zwierzchnictwie władzy papieskiej: „Jak tylko jeden Pan Bóg na niebie, tak też i na ziemi może i powinien być tylko jeden Pan Bóg” — następca św. Piotra. Arcybiskup praski z tegoż samego czasu nazywa papieża Urbana VI w jednym z pism urzędowych „najwyższym monarchą świata,” a siebie jego zastępcą. Sam też Bonifacy VIII oznajmił światu, iż „wszelkie stworzenie ludzkie poddane jest papieżowi rzymskiemu i że nie można zbawionym być, nie wierząc w to.” Ztąd pierwiastkowa biała mycka papieska otoczyła się teraz trzema w wysokość dzisiejszej tyary, wznoszącemi się koronami. A wszelka uwaga paziów napięta się ku temu, aby całą schyzmatyczną resztę świata chrześcijańskiego poddać rozpoczynającym się teraz szeregiem unij kościelnych wszechwładztwu stolicy rzymskiej. Jakoż cała w cieniu skrzydeł „gołębiczy watykańskiej” spoczywająca ludzkość, dzieli się statecznie tylko na dwie połowy: na duchownych i nieduchownych, kleryków i laików. Był to inaczej podział na oświeconych i nieoświeconych, gdyż wyraz „kleryk” obejmuje zarazem wszelką uczoneść wieku.

Przy takim podziale rodu ludzkiego o ileż duchowna jego połowa była wówczas nieobliczenie obfitszą od dzisiejszej! W jednym mieście, w jedynej cudzoziemczej części ludności tegoż miasta, parochowało po trzydziestu proboszczów z przełożonym. Uwiadamiając nas o tem, nie śmie zdziwiony pisarz dzi-

siejszy rozstrzygnąć, czy ludzie byli pobożniejsi, czy miasto było ludniejsze. Oprócz urzędujących sług Kościoła, snuły się wszędzie chmary kleryków bez obowiązku, tak zwanych kleryków wędrownych. Gdy papież Klemens VI przy wstąpieniu na stolicę św. Piotra, przyrzekł ubogiemu duchowieństwu powszechną z papieskich skarbów jałmużnę, zbiegło się sto tysięcy takich duchownych wędrowców do Awinionu. A cóż za tłumy mnichów w każdym klasztorze! co za namietność zakładania coraz nowych zakonów! Któż, obeznany z nazwami głównych zgromadzeń duchownych, zna dziś ówczesnych braci świętego Antoniego, braci z Fontevraud, braci Męki Pańskiej, czyli Pozdrowienia Anielskiego, Jezuatów, różnorakich eremitów świętego Hieronima, Celestynów, Oliwetanów, Lollhardów, Beghardów i bezmiar innych męzkich i żeńskich zgromadzeń! Sami zakonnicy bronili się od nawału przybyszów ustanawianiem pieniężnego okupu za przyjęcie do klasztoru. Papieże zakazywali wymyślać nowe zakony, „aby przez zbytnią onych rozmaitość nie stało się zamieszanie w Kościele Bożym.”

Wszystko napróżno! Każdy beżżenny, czy żonaty, świeckiem żyjący życiem, pragnął bogdaj pozaklasztornym, wolno po świecie zatrudnionym zostać tercyarzem. Owe głośnie w XIII i XIV wieku roje wędrownych „Braciszków” (*Fratricelli*), Pastuszków (*Pastorelli*) i biczowników, praktykujących jakieś własne uliczne nabożeństwo, były w znacznej części tylko potępionemi odroślami zakonów żebrzących, wybujałością powszechnej namietności duchownej. A nawet ludzie, nieczujący jej wcale, obojętni dla swojego zbawienia, z niemłą korzyścią udawali, że są księżmi. Lecz takie samozwaństwo groziło smutnem następstwem. Niemieckiego Begharda za twierdzenie, iż człowiek świecki może rozumieć prawdy wiary tak dobrze, jak kleryk, spalono żywcem. Ludziom świeckim, którzy święcenia przyjąć nie chcieli, nie wolno było pobierać nauk wraz z klerykami. Duchowień-

stwo strzegło zazdrośnie wyłączności swojego wykształcenia, lubo samo mieszało się we wszystkie sprawy świeckie. Wsiąknąwszy w siebie wszelkie żywsze umysły wieku, zalewał stan duchowny wzajemnym odpiływem każdą czynności ludzkiej dziedzinę. Sama burzliwość czasu zamieniała biskupów w wojowników, często w wodzów wyprawy. Nie naliczyć przykładów księży rycerskich. Księża, pełniący urząd ambasadorski, stanowili prawie jedyny rodzaj ambasadorów. Czy to idzie o rokoszowe sprowadzenie Karola małego z Neapolu przeciw matce naszej Jadwigi, do Węgier, czy w kilkanaście lat później o przywołanie Henryka IV przeciw Ryszardowi II z Francyi do Anglii, w każdym razie biskup głównym posłem i sprawcą.

Księża gospodarze byli najlepszymi gospodarzami. Sam Kazimierz Wielki nie mógł dla dóbr królewskich w ziemi krakowskiej znaleźć lepszego zarządcy nad późniejszego biskupa Bodzantę. A gdzież handlownik nad arcybiskupa Mikołaja, który własnymi okrętami prowadził nadzwyczajnie korzystny handel mąką i słoniną aż do wybrzeży flandryjskich. W ogólności wszelki handel wzrósł na ręku Kościoła. Uroczystości kościelne ze swoim napływem pobożnych zewsząd gości bywały zwyczajnie zarazem jarmarkami. Klasztory trudniły się wyrobem sukien. Mnich, według powszechnego podania, wynalazł proch. Długo też po większej części mnisi go przyrzadzali. Poza tem z celi alchemicznej w klasztorze św. Trójcy gorzał raz Kraków. Księdza znajdujemy budowniczym zamku włodzimirskiego, ksiądz dzierżawi żupy wielickie. Niższego rzędu duchowni, wierni starodawnemu obyczajowi, zachowywanemu zarówno na wschodzie, jak i zachodzie, parali się do niedawna kramarstwem i wszelkiego rodzaju rzemiosłami. Prałaci, biskupowie, dążyli później do osiągnięcia dostojenstwa udzielnych książąt świeckich. Niedosć, że biskup

wrocławski kupnem ziemi grotkowskiej, a biskup krakowski uksiążęcił się kupnem siewierskiej, alez nawet proboszcz z Sielunia urościł sobie prawo do mitry świeckiej i dopóżna, jako ksiązę sieluński *directum dominium* nad okoliczną szlachtą wywierał.

Osobliwież w tę wyższą szlachecką sferę świeckiego społeczeństwa cisnął się wpływ duchowny. Najpoważniejsze głosy owego czasu wmawiały w szlachtę, „że jak w jajku żółtko nie może istnieć bez białka, ani też białko bez żółtka, tak nie mogą istnieć księża i panowie bez siebie. Bo księża rządzą szlachtą, a szlachta nie mogłaby żyć bez księży i byłaby właśnie jak bezrozumne stworzenia, gdyby nie duchowieństwo, które panom doradza i przykazuje wszystko, co tylko czynią.” Ztąd każdego pana otaczała óma księży, kapelanów, kleryków. Oni to z nim się modlili, oni mu listy pisali, oni go śpiewaniem przeróżnych piosnek świeckich, czytaniem starych romanśów, opowiadaniem przygód rozweselali. W każdej chwili, w każdym miejscu, witał cię ksiądz, natrącał ci się ksiądz. Czuli to ciężko społeczeńsi. Konstanckieński przeciwnik Hussa, sławny kanclerz akademii paryzkiej, Gerson, uskarża się gorzko na mnogość i rozmaitość zakonów, „które całemu społeczeństwu nieznośnym są ciężarem.” A sam Huss sarka: „Patrzcie! burgrabią—ksiądz; przełożonym tabuli krajowej—ksiądz; najwyższym sędzią — ksiądz; podkomorzym — ksiądz; królewskim kuchmistrem — ksiądz; pisarzem ziemskim — ksiądz.” A dzisiejszy dziejopis owych czasów wtóruje: „mógł jeszcze dodać: wodzem naczelnym — ksiądz; najwyższym kanclerzem — ksiądz.” Było to w jedynym kraju, w jedynej Pradze, pod królem nieprzychylnym duchowieństwu. A jak Czechy, tak też cała ludzkość świecka, według słów sekretarza u dworu szwagra Jagiellowego, cesarza Zygmunta Luksemburczyka: „była przydluszona od duchowieństwa.”

W takim stanie wszelka krew życia biła niena-

turalnie w duchowną część ciała narodowego. Ona to wniosła ofiarami pobożnemi trzecią część Węgier w posiadanie duchowieństwa. Królowie czescy musieli wzbraniać dalszych zapisów dóbr Kościołowi. Nawet w Polsce uciekał się obyczaj ziemski do podobnego środka. Mimo to, płynęły ziemie i złoto nie-pohamowanym prądem w morze duchowne. Nikt nie wychodził z kościoła, nie zostawiwszy brzęczącej ofiary na ołtarzu. Takie jałmużny stanowiły znaczną część dochodów parafialnych. Plebanowie ustronnych kościołów znachodzili u stopni sielskich ołtarzy znaczne majątki, pozwalające im opuścić swoją zaciszę domową, udać się na wieloletnią naukę za granicę, wyjść na biskupów, na panów. Nuż złote góry, rosnące z jałmużn odpustowych, z ofiar miłościwego lata! Bez względu na straszną dżumę, która grasowała po świecie, bez względu na trudność podróżowania, wysyła nieludna podówczas Europa, w jednym roku 1350 wraz z naszym Ludwikiem, w zimie 1 milion i 120,000, na wiosnę dalszych 800,000, z końcem lata jeszcze 100,000 pielgrzymów do stolicy św. Piotra. A każdy przynosił datek ofiarny, który w książęcych albo królewskich ręku ważył tysiące. Toż gdy nieco później najwyższy poborca sum odpustowych składał komornikowi papieża Bonifacego IV w domu bolońskiego bankiera liczbę z uzbieranych pieniędzy odpustowych, trwały rachunki przez dni 16. Było więc z czego zostawiać przy śmierci, jak papież Jan XXII, jeśli rozrzutność nie strwoniła, po 28 milionów, na dzisiejszą stopę rachunkową prawie dziewięćkroć tyle, gotowizną i kosztownościami w komorze apostolskiej. Ale i podrzędne stolice duchowne nie biedowały. Biskup wrocławski zwał się powszechnie „złotym biskupem.” W spisie skarbów i kosztowności jedyne kościoła gnieźnieńskiego, chowanych czasu wojny w twierdzy chęcińskiej, pomiędzy mnogością innych naczyń, krzyżów i obrazów kruszcowych liczono samych kielichów złotych 400.

Jnkoż potrzeba było wistocie tak licznych skar-
 bów, tak zapaśnej zbrojowni kościelnej. Nadmiarowi
 bowiem ofiarniczej, jałmużniczącej nabożności ludzkiej
 odpowiadał nadmiar najrozmaitszego nabożeństwa ko-
 ścielnego. W czasie, kiedy cała ludzkość w kościel-
 nych spoczywała pieluchach, cała też życie było nię-
 stającą uroczystością, niedzielną. Ileż to coraz no-
 wych, coraz okazalszych świąt i obrzędów! W prze-
 ciągu lat dwudziestu weszły w powszechniejszy zwy-
 czaj trzy nowe święta, jako to: uroczystość św. Trój-
 cy, uroczystość włóczni i gwoździ krzyżowych, i naj-
 solenniejsza ze wszystkich, uroczystość Bożego Ciała.
 Dla uzupełnienia siedmiu świąt Matki Boskiej, dodano
 w tych czasach do dawnych pięciu dwa nowe, to jest
 upowszechnione przez papieża Urbana VI święto Na-
 wiedzenia, a przez Grzegorza XI święto Matki Boskiej
 Gromniczej. Dawne i nowe uroczystości tworzyły ra-
 zem nieprzerwany prawie łańcuch świąteczny. Wszyst-
 kie pomniejsze święta Chrystusa Pana, jako to święto
 Obrzezania, Trzech Króli, Wniebowstąpienia, Bożego
 Ciała i Zmartwychwstania, obchodziły się z równą
 solennością, jak dzisiejsze święta Bożego Narodzenia,
 Wielkiej Nocy i Zielonych Świątek; to jest Kościół
 przepisywał im trzydniowy przeciąg, a pobożność
 chrześcijańska czciła niektóre po cztery, po osiem
 dni. Prócz tych zalecały statuty kościelne aż nazbyt
 skorej ochocie ludzkiej 37 świąt powszechnych, tu-
 dzież kilka miejscowych, jako to: święto patrona dye-
 cezyi, patrona każdej parafii i t. d. Dodajmyż do te-
 go uroczystości patronów różnych klas społeczeństwa.
 Miał go stan każdy: rycerze św. Jerzego, teologowie
 św. Jana, Tomasza i Augustyna, prawnicy św. Iwona,
 lekarze i aptekarze św. Kosmę i Damiana, filozofowie,
 mówcy, poeci św. Katarzynę, malarze św. Łukasza,
 muzycy św. Cecylię, kupcy św. Frumencyusza i Gui-
 dona, studenci św. Grzegorza, kochankowie św. Ju-
 liana. Od powietrza chronili: św. Antoni, Roch, Seba-
 styan, Adryan i Krzysztofor, od epilepsyi św. Walen-

ty, od febry św. Petronela, od bólu zębów św. Apolonia, od kamienia św. Liboryusz i t. d. Każdy człowiek miewał jakiegoś szczególnie wielbionego orędownika w niebiesiech, a każdego patrona święto doznawało ze strony zwolenników nie cichej, jak dziś, lecz głośnej, obrzędowej, procesyjnej czci.

Zliczywszy wszystkie święta urzędowe w liczbie sześćdziesiąt, wszystkie niedziele, święta patronów, wigilie i oktawy, i liczbę onych z liczbą dni w roku porównawszy, znajdziemy wistocie każdy dzień świętem, całe życie ówczesne nieustającym obrzędem religijnym. Wreszcie nawet *anti-religijne* uniesienia, wszelkie objawy uczucia, wychodziły w duchownej sukience na świat. „Na pięć ran boskich!”, „na krew Pańską!”, „na mykę św. Antoniego!”, brzmiały zwyczajne przekleństwa. „W Imię Boże!” bywało co trzeci wyraz powtarzanem przysłowiem. Najpolerowniejszy rycerz, uderzając na hufiec nieprzyjacielski, zakreślał orężem albo kopią krzyż przed sobą w powietrzu. Kochanek, witający po długim niewidzeniu kochankę swoją, zdumiewał się znakiem krzyża św. nad jej pięknnością. Tenże sam kochanek upraszał ją przy rozstaniu o „benedykcyę” pobożną, a czyniąc przyrzeczenie wierności, składał przysięgę na kłęczkach przed Ewangelią. „Trzy polewki w imię Trójcy Przenajświętszej” uchodziły za jado, pozwolone każdemu rycerzowi przy najsurowszym ślubie poszczenia. Niektóre wyrazy dzisiejsze mogą tylko wyjaśnieniem swego duchownego pochodzenia nabyć zrozumiałości. „*Sine cura*” naprzykład, była niegdyś wyłączną duchowieństwa przyjemnością, oznaczając prebendę „bez obowiązku”, w sprzeczności z prebendą „*cum cura*”, z obowiązkiem. Gdyż, jak wiadomo, pożywano bardzo wiele duchownego chleba, nieobciążonego żadną wzajemną wysługą. Możliwość korzystania zeń nie wymagała koniecznie wyższych święceń kapłańskich. Owszem, niezmierne rozprzestrzenienie się

wielostopniowej hierarchii duchownej dopuszczało, iż nawet wyższe dostojęstwa kościelne stały otworem niewyświęconym, niekiedy świeckim wcale osobom. Opat, nie będący zgoła kapłanem, jest pospolitym owego wieku charakterem. Nawzajem kapłani, żyjący z synekury, zajmowali się sprawami świeckimi, *polityką*. I takiego to świeckiego, głównie interesom rządowym oddanego męża stanu, poznamy w młodym księdzu Zawiszy, ambitnym kanclerzu krakowskim, którego królowa Elżbieta użyła do unieważnienia dokumentu królewskiego z r. 1355.

Należał on do jednej z możliwych rodzin, które w Małopolsce rej wiodły. Gniazdem jej było miasteczko Kurozwęki, w województwie sandomierskim, po lewym brzegu Wisły, w blizkiem sąsiedztwie z Oleśnicą, gniazdem Oleśnickich, herbu Dębno. Kurozwęccy mieli w herbie Różę, a zwoływali się pod chorągiew hasłem Poraj, brzmiałem także w ich wsiach rodzinnych, gdy czasu gwałtów kmieci zgromadzić chciano. Ojciec rodu, Dobiesław, siedział od lat kilku na województwie krakowskim. Jeden z synów, Krzesław, kasztelanił w grodzie sandeckim; drugi, Zawisza, bystrogo umysłu młodzian, obrał zawód naukowy. Synom rodzin możnowładnych poczytywano to czasem za złe. W uczości dzieci królewskich i własnych synów upatrywała rubaszna wielmożność szlachecka zagrożenie obyczajów starodawnych, skazę równości w narodzie. Gdy atoli młody Zawisza oddał się raz pracy umysłowej, chodziło już tylko o to, aby mu potęgą rodu jak najprędzej dopomódz do zaszczytów. Potęgę familijną składali wówczas nie tylko bliżsi krewni. Cała rzesza najodleglejszych bratanków, cały orszak ich „chlebojedźców” i popleczników, cała społeczność jedno-herbowa, stały jako tak zwani „przyjaciele” za popieranym przez siebie „bratem i klejnotnikiem.” Poparcie Zawiszy wróżyło tem pomyslniejszy skutek, iż ówczesny biskup krakowski, Bodzanta, był spółnego z nim „szczytu”, czyli tarczy

herbowej Różycem. Innego możnego „przyjaciela”, acz nie spółklejnotnika, miał wojewodzie krakowski przez całe życie w późniejszym biskupie poznańskim, Mikołaju z Kurnika, „cechu” Łódzia. Nadzwyczajny rozum, jaki najzjadlejsi przeciwnicy przyznają Mikołajowi, każe nam w jego druhu, Zawiszy, godny przyjaciela wnioskować umysł. Sam Mikołaj chwalił się, iż Zawisza wszystko, czego później dostąpił, jemu zawdzięcza.

Rozpoczął nasz Zawisza swój zawód duchowno-polityczny od starań o archidyakoniat krakowski. Był to znakomity w hierarchii kościelnej urząd sędziego duchownego i wizytatora dyecezyi, wglądającego w uzdolnienie naukowe i obyczaje plebanów. Posiadał go już był ksiądz Jan z Buska, gdy wtem wojewoda Dobiesław, biskup Bodzanta i całe stronnictwo Zawiszowe, gwałtownie nań natarli, aby go ustąpił Zawiszy. Uczynił słabszy, co musiał. Zawisza został archidyakonem. Odtąd wraz z przyjacielem Mikołajem, obecnie proboszczem przy kościele Panny Maryi i kanclerzem wielkopolskim, bawił młody urzędnik kościelny u dworu Kazimierza Wielkiego. Lubo stary Kazimierz, jak łatwo pojąć, nie wielce zapewne cenił nieco lekkomyślnego archidyakona, bywał on przecież do poważnych prac używanym. Kazimierzowski statut żupniczy wymienia Zawiszę pomiędzy swymi najpierwszymi „kompilatorami.” Jakoż wszystkie jego późniejsze czynności polityczne przypominają szkołę Kazimierzowską, szkołę młodszego pokolenia. Panujący tam duch gorszył starą szlachtę i duchowieństwo. Przyczepione Kazimierzowi przez panów imionisko „król kmieci” płynęło goryczą żółci. Wspomnienie Kazimierzowskiej rady *krzesiwa* i *hubki*, jeśli wistocie dane kmieciom przeciw dziedzicom, słuszną przejmować mogło niechęcią. Książa przypominali sobie z oburzeniem zabójstwo Baryczki i zmuszenie poddanych biskupich we wsiach san-

domierskich z rozkazu królewskiego do danin i robocizny.

Z tem wszystkim tak opieka nad ludem, jak chęć pociągania uprzywilejowanych dóbr kościelnych do porównego udziału w ciężarach publicznych, miały sprawiedliwość, miały spólczenie całego nowszego pokolenia za sobą. Hołdował im Kazimierz, hołdowały im wszystkie jaśniejsze umysły wieku, a między temiż i nasi dwaj przyjaciele. Osiągnawszy później stolice biskupie, Mikołaj poznańską, a Zawisza krakowską, okazali się obaj nieprzyjaciółmi przywilejów kościelnych, obaj pierwsi ze wszystkich biskupów polskich kościelne dobra swych dyecezyj „pod jarzmo corocznych danin wtłoczyli.” Mikołaj „rozniecał nadto nieskończone między szlachtą wielkopolską a wiejskim gminem waśnie”, przywodzące na pamięć ową ogniową radę Kazimierza W., ile że „gęste pożary” z nich wyniknęły. Atoli takie postęпки, takie nowoczesne sympatyje, stawiły archidyakona Zawiszę i proboszcza Panny Maryi, Mikołaja, jako księży, w sprzeczności z własnym stanem; jako szlachtę w sprzeczności z surową dla kmieci wielkopańszczyzną starodawną. Ztąd u fanatycznych księży, u żarliwych Wielkopolan biada pamięci obudwóch, zwłaszcza, gdy nad sprawę duchownych i szlacheckich poddanych wyższa wytoczyła się sprawa, kwestya żeńskiej sukcesyi tronu. Dla jej uistoczenia należało dworowi zjednać przynajmniej głównych urzędników koronnych. Tymczasem podkanclerstwo krakowskie spoczywało w ręku namiętnego Wielkopolanina, archidyakona gnieźnieńskiego, kronikarza Janka z Czarnkowa. Po długich więc zatargach, w których królowa Elżbieta rzucić musiała banicyę na kronikarza Janka, a on, wbrew banicyi, do Wielkopolski wróciwszy, nawzajem wyklął królowę, wydarto wspólnemi całej rzeszy Różyców usiłowaniami podkanclerstwo Jankowi, a poruczono Zawiszy. Wreszcie postąpienie przyjaznego dworowi kanclerza Janusza na arcybiskupstwo gnieźnieńskie

posunęło Zawiszę na kanclerstwo. Podkanclerstwem zaś chciała królowa, jak się zdaje, ułagodzić rodzinę niespokojnego Janka, powierzając je pono jego bratu, Szymkowi.

Ambitny Zawisza stanął wpół drogi życzeń. Kanclerstwo ceniono oddawna jako jedno z najzaszczytniejszych dostojenstw. Pieczęć kanclerska, wogólności wszelka pieczęć, była przedmiotem czci bałwochwalczej. Mówiliśmy już o ówczesnej świętości dokumentów. Owóż główną rzeczą, niejako sercem dokumentu to jego pieczęć. Większa część ówczesnego niepiśmiennego świata umiała z całego dokumentu tylko jego pieczęć rozeznąć. Do podwładnego „rododzierzcy” przynosi oszust pierwszą lepszą kartę pergaminową, mieniając ją listem od pana. W tym liście ma być rozkaz poddania zamku dowództwu i orszakowi nieznanego. Rycerski „grodozierzca” „nie umiał wprawdzie czytać”—opowiada kronikarz—„lecz znał się na pieczęciach”, a u fałszywego szpargału wręku oszusta wisiała pańska wistocie pieczęć. Przypatruje się tedy ze znanstwem woskowemu godłu i każe sobie odczytać słowa rozkazu. Oszust wygłasza najdobitniejsze zlecenie otworzenia bram zamku; poczem rycerz, zaspokojony pieczęcią, poddaje zamek. A zaspakajając nieumiejętność czytania, służyły pieczęcie niepiśmiennemu za jedyny surogat pisma. „Kto by podpisać nie umiał, pieczęć przyłoży” stanowi prawodawca. Przypuszczano wtedy, że każdy może mieć swój znak pieczęciowy, swoje „piętno”, to jest swój herb. Nawet wyswieciana z miasta czarownica niemiecka, przyrzekając osobnym dokumentem nigdy więcej nie pojawić się w okolicy, przeprasza, iż w przypadkowym braku własnej pieczęci pozwala dwom sławetnym mieszczanom przyłożyć swoje za nią. Mieszczanom pieczęci odmówić nikt nie pomyślał.

Jak powszechna była nieumiejętność czytania, główne źródło tych znaków pieczęciowych, w ogólno-

ści „piątn” wszelkich, a w pewnej mierze i herbów, tak powszechne było ich używanie, tylko jeszcze nie ustalone. I tak na przykład, przed śmiercią ojca wzbraniało prawo synom używać innej, aniżeli ojciec pieczęci, po śmierci ojca mogli to czynić. Powszechna też pauowała niejednostajność, niepewność herbów, nawet krajowych. Jeszcze niebardzo dawnemi czasy książę Wielkopolski, Władysław Plwacz, używał orła, Przemysław trzech linii, jego brat Bolesław smoka pod stopami rycerza, zapewne świętego Jerzego; Przemysław I, czy II-gi naprzód lwa, potem na tarczy orła, na proporcju zaś lwa i linii. Podniesionego przez króla Przemysława dla całej Polski orła dopiero król Łokietek ustalił. Wszelako, jakkolwiek niestałe i zmienne, działały przecież te znaki na świeższą jeszcze fantazyę ludzką jakimś tajemniczym urokiem. Brała ona chętnie znak za rzecz, pieczęć za samą osobę. Ztąd też sama cześć dla pieczęci, co i dla osoby. Rzucenie jej o ziemię, łżące właściciela, podlegało surowej karze. „Hańbicie uczciwą pieczęć miejską” — pisze do rajców stolpeńskich znany światu z lichwiarstwa zakon krzyżacki, oburzany nieoddaniem w terminie zaciągnionego przez miasto długu. I też sama troskliwość o bezpieczeństwo pieczęci, jak o bezpieczeństwo osoby. Miano ją zawsze przed oczyma na palcu. Pierścieniowy kształt „sygnetu”, t. j. pieczęci, zamierzał ułatwienie trzymania jej ciągle w ręku. „Naszej wielkiej pieczęci — mówią Krzyżacy w liście — nie powierzamy żadnemu śmiertelnikowi, lecz kryjemy ją w dzień i w noc pod zamkami”.

Jakoż samemu sposobowi używania pieczęci towarzyszyły tysiączne względy i formalności. Zależało wiele na tem, czy pieczęć na zwykłym, białym, czy na czerwonym wybito wosku. Pozwolenie miastom wosku czerwonego oznaczało szczególną łaskę królewską. Bohaterskiem odzyskaniem utraconej w boju chorągwi dobiła się tej łaski cała szlachta sieradzka. Zresztą tylko magnaci i urzędnicy ziemscy śmieli pie-

czętować się znakiem czerwonym. Ową wielką pieczęć przykładali Krzyżacy tylko u listów do papieża i cesarza. Już od czasu królów Przemysława i Łokietka rozróżniano pieczęcie majestatyczne, wyobrażające całą osobę królewską na tronie, z berłem i jabłkiem w ręku, od mniejszych o samym herbie państwa. Wielkie pieczęcie, duże krążki wosku na jedwabnym sznurze lub pergaminowym rzemyku wiszące u dokumentu, niekiedy w blaszanej puszcze zamknięte, miały z obudwu stron wyciski, czyli tak zwaną kontrasygilację. Aby utrudnić fałszerstwo, kazała kancelarya królewska dawne przywileje potwierdzać drugą i trzecią pieczęcią. Wogólności, im więcej pieczęci, tem ważniejszy dokument. Sto dwanaście było niektórym aktom za mało. Soborowi konstancyjskiemu przesłali Czesi husycy okryte pismem „skóry ogromne, obramowane wokoło wieńcem pieczęci zdumiewających swoją mnogością”. Po śmierci każdego króla kruszono przy pogrzebie gipsowe modele jego pieczęci. Wyrzwanie nowych powierzano zaufanym osobom, nierzadko biegłym w sztuce złotniczej dostojnikom, wicekomesom lub kasztelanom. Zasługa sporządzenia pieczęci, równająca się w takim razie zachowaniu głównego grodu prowincyi, otrzymywała przynajmniej wieś w nagrodę. A trwało to rzezanie tak długo, iż niekiedy najważniejsze dokumenty, zamiast pieczęci, zawierały tylko przyrzeczenie nieochoybnego jej przywieszenia, skoro narzędzie sporządzeniem zostanie. Nowym pieczęciom zapewniano w osobnym dopisku takąż samą moc i powagę, jaką miały stare, stracone.

Gdy więc narzędziu, gdy sporządzicielowi narzędzia tak znamienite służyły względy, snadno zrozumieć, jak wysoka była dostojność urzędnika Zawiszy, który władał narzędziem, który, jak się zdarzało, mógł odmówić go temu lub owemu dokumentowi. Wszakże, mimo swoją znamienitość, nie zrzekał się

nowy kanclerz przywileju swoich lat młodych i usposobienia czasu swojego, to jest lekkiej, wesołej myśli, żądzy bawienia się. W tej mierze myliłby się każdy, ktoby płochą światowość, a nawet rozpustność którejkolwiek z ówczesnych postaci historycznych, kładł jedynie na karb indywidualnego zepsucia. Stosownie do przysłowia o blizkiem powinowactwie wszelkich ostateczności, było wspomniane tu usposobienie lekkomyślne przeważną cechą wieku wygórowanej pobożności. Owszem, samo duchowieństwo trzymało prym w powszechnej książąt, szlachty, miast, „kleryków i laików” wesołości. Przyjdzie o niej często jeszcze przemówić. Tu przypomnimy tylko znaną wesołość dworu Elżbiety. Bawiący przy nim Zawisza nie potrzebował mieć wrodzonej sobie namiętności do wszelkich uciesh światowych, aby zasłużyć na imię lekkomyślnika. Toć wszyscy jego spótcześnicy są zarówno płochymi światowcami, trzpiotami.

Najmilszą z niewinniejszych zabaw polskiego duchowieństwa, polskich owego czasu biskupów, była muzyka, były śpiewki światowe. Szli oni w tem za przykładem duchowieństwa krajów zachodnich. Tam w poczcie trubadurów francuskich, albo świeckich pieśniarzy niemieckich, nie jeden liczył się ksiądz. Biskup marsylski Folquet, biskup z Bazas, dominikański inkwizytor Izarn, niemiecki mnich Bosacki, mieli szeroką w tej mierze sławę. Jan Łodzia, biskup poznański, autor wielu hymnów pobożnych, nie znał chwil szczęśliwszych nad owe „gdy sobie doma gwoli wesołości przygrywał na cytarze”. Arcybiskupa Mikołaja nie zadawałniał jeden instrument muzyczny. Lubiący także cytarę, rozkoszował on najchętniej w gwarnem „luteń, trąb, piszczałek i reszty gędziebnych narzędzi chórze”. Nawet godnością opata udostojniony kantor klasztoru żegańskiego „wracał rad do pulpitu na chórze i na organach sobie przygrywając, wesołe często piosnki śpiewał w kole zebranych mnichów”. Jak ów biskup Jan Łodzia, składało wie-

lu biskupów, acz zresztą nieuczonych, łacińskie do śpiewu rymy. Celował w tem osobliwie biskup wrocławski, Konrad. Poznański biskup, Stanisław Ciołek, niewielkiego rozumu a żartowniś i krotofilnik, tylko swojej przyrodzonej poetyce zawdzięczał kanclerstwo. Przerwę między jedną a drugą nutą wesolą, brzmącą w kole godowem, wypełniały znane już pod tąż nazwą „facecye i dykteryjki” wesolych księży. Nie było końca żartom i śmiechom, gdy pretendent do arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, kujawski biskup Kropidło, pełen facecyj i dykteryek, jął w gronie książęcem przypowiadać w czasie uczty i baraszkować. Ani płasów nie wzdrygał się taki młody, wesoly biskup. Magdeburgskiemu arcybiskupowi pozostał od nich przydomek „Skoczek”. Potrzebny do płasów strój kusy, jaskrawy i różnobarwny, nadał znanemu biskupowi warmińskiemu Janowi przydomek „Pstrokaty”. Za kusym strojem i płasem szło zwyczajnem następstwem, zalotnictwem...

Owóż takim strojnym, śmiejącym się światowcem, ochoczym do śpiewki i facecyi, skorym do płasu i zalotów, w koniach i dworności rozmiłowanym, przedstawia kronika naszego kanclerza przy wesolym dworze Elżbiety. Lekkomysłność czasu zrobiła go chcąc nie chcąc płochym, a przyrodzona krewkość, namiętność rozplómiła wszelką płochość w rażący zbytek. Strojnisiostwo posuwało się u niego, jak to później zobaczymy, do bajecznego w onych czasach przepychu. Zalotniczość przekraczała granice ostrożnej przyzwoitości. Bo tylko tę przesadę i otwartość poczytują mu głównie za winę. Sam jego nieprzyjaciel zarzuca mu nietyłe istotę grzechu, ile, że „nieostrożnie” grzeszył. Swoją gorszącą nieprzezornością, swemi zbytami naprzykrzył się Zawisza nawet poblążliwej Elżbiecie. Strofowała go ona nieraz surowo, Pragnęła nawet szczerze pozbyć się jego obecności u dworu. Wszelako powierzony mu urząd kan-

clerski, potęga domu i przyjaciół, tak potrzebna w przeprowadzeniu zmian politycznych, przedewszystkiem zaś śmiałe, stanowcze przyrzeczenie Zawiszy, iż wy-
może u szlachty zwrócenie owego niepomyślnego cór-
kom Ludwikowym przywileju z r. 1355, kazały pa-
trzeć przez szpary. Co więcej, Elżbieta musiała co-
raz nowemi przywiązywać go sobie łaškami.

Jakoż był Zawisza mocen spełnić, co przyrzekł. Najniebezpieczniejszy opór następstwu kobiet stawiała Wielkopolska. Miększa, nowomyślna Małopolska, przy-
chylna wszelkim reformom, już w statucie wiślickim
możność dziedziczenia płci żeńskiej w braku męskiej
przyjąwszy, nie miała do bezwarunkowej opozycji
powodu. Wpływ całego możnowładczego rodu Kuro-
zwęckich mógł ją skłonić do reszty. A podczas gdy
ojciec wojewoda, gdy brat kasztelan, gdy bratanki
i przyjaciele mościli zamysłem dworskim drogę do
serc *Krakowian*, wierny druh i główny poplecznik Za-
wiszów, wielkopolski kanclerz Mikołaj, jednał im u *Pol-
laków* stronnictwo. Zrozumiałem więc okazuje się
zobowiązanie się Zawiszy. Lecz żadna wówczas przy-
sługa, żaden dług wdzięczności nie obszedł się bez
lichwiarskiej nagrody. W średniowiekowym społeczeń-
stwie chęć zysku nie znała granic. Jak żołądek dzie-
cinny, tak chciwość młodego w one czasy narodu
miała wilcze zęby, wilcze łakomstwo. Gwałtowniej-
szy ród Wielkopolan plądrował niekiedy po gościń-
cach; polerowniejsi panowie małopolscy wymuszali na
księżętach ogromne myto przekupstwa. Tylko sprze-
dajności małopolskich doradców Kazimierza Wielkie-
go, karmionych ustawicznemi darami zamków i posia-
dłości, corocznemi pensyami, winien był król Ludwik
osiągnięcie tronu polskiego. Przedajność elektorów
niemieckich, unieśmiertelniona pozostałemi kwitami,
wyniosła jego spótcześnika Wacława na tron cesar-
ski. Nawzajem Wacławów brat, cesarz Zygmunt, wy-
stawiał na targ przywileje, kraje, przymierza. W wie-

ku jawnego w Niemczech sprzedawania szlachectwa, w całej Europie odpustów i zbawienia, wszystko było sprzedajne.

Nie dziw zatem, że i Zawisza pomoc swoją skrzyścić pragnął. Kosztowała ona nadmiar drogo Elżbietę. Najmniejszą ofiarą były przyrzeczenia wyższych dostojęństw. Synowi kanclerzowi padła obietnica pierwszego opróżnionego biskupstwa, ojcu wojewodzie kasztelanii krakowskiej, innym panom innych urzędów. Nieufność sprzedajnego pokolenia żądała na każdą z obietnic—dokumentu. Oprócz których to pergaminowych zaręczeń płynęła na wszystkie strony brzęcząca gotowizna. „Wszystkim wielmożom sypał król Jegomość hojnie pieniądze”. Aż wreszcie tyła wspólnemi króla, królowej, Zawiszy, jego i przyjaciół zabiegami, przeparto zamiar. „Stało się — mówi z zwięzłością gniewu, niechętny tej wielkiej wiadomości — „iż pokrewieństwem, złotem i przyrzeczeniami uwiedzeni panowie, zezwolili na złamanie dawnego listu swobody”. Na zjeździe w Koszycach, *pierwszym* z dwóch w temże mieście odbytych zjazdów, mało zwyczajnie uwzględnianym, uznano wbrew dokumentowi z r. 1355, pierworodną córkę Ludwika, Katarzynę, dziedziczką korony polskiej.

Zawisza dopełnił dzieła. Ambicya króla Loisa i jego kanclerza pała się najpiękniejszymi widzeniami przyszłości. Królowi uśmiechało się ziszczenie jego marzeń o trzech posagowych koronach; kanclerz widział się w duchu biskupem, księciem kościoła. Wtem na kwiecistym obrazie ludzkich rojeń ukazał się palec Boży. Obrął on sobie rodzinę andegawęńską za widoczną igraszkę swoją. Nie było domu, na któryby losy zlały tyle łask i fortuny, nie było domu, któremuby one mieszały srożej wszystkie zamyśły. W cóż obróciły się plany Ludwikowego ojca, Karola, rojącego o trzech królestwach! Istną bajki gminnej nicością rozwiały się rojenia syna Ludwika,

o trzech córkach i trzech posagowych koronach. Gdy właśnie teraz, przyjęciem córki Katarzyny na tron polski, usunięta została główna przeszkoda ziszczenia się jego marzeń, zdarzył się wypadek, który je nagle zniweczył. Królowna Katarzyna umarła. Marzenie Ludwika ochromiało. Pozostały mu tylko dwie koronne głowy w rodzinie. Tem ci goręcej uderzyło serce ojcowskie chęcią zapewnienia im tronów. Atoli śmierć obranej przez Polaków następczyni Katarzyny wróciła im dawną swobodę. Zaszła tedy potrzeba nowych trudów. Wprawdzie dzieło Zawiszy odjęto przedsięwzięciu najprzeciwniejszą mu cechą—niewyczajności, złamało raz przeciwnika. Nadto mogło ono liczyć i nadal na pomoc stronnictwa Zawiszowego, na przychylność Małopolan. Lecz niespodziany powrót do pierwotnego stanowiska podniecał tem zapalczywą oporność przeciwnej strony. Pokonało ją dopiero na *drugim* zjeździe w Koszycach najgwałtowniejszych środków użycie.

Majątek Tawczuny

Poczta Kiejdany.

III. PAKT KOSZYCKI.

Pobór podatków. — Władysław Opoleczyk. — Poradlnie. — Daniny średniowieczne. — Spór o *królewszczyznę*. — Drugi zjazd koszycki. — Sprawa następstwa żeńskiego. — Uprzedzenia przeciw rządowi niewieścim. — Wjazd w mury koszyckie. — Strony przeciwne. — Dwa grosze. — Opór i przytrzymanie Wielkopolan. — Zgoda. — Dokument koszycki. — Zmiany społeczne. — W rodzinie rozerwanie domów. — W sądownictwie upadek sądów kasztelańskich, nastanie starościńskich. — W obronie kraju upadek „prawa rycerskiego,” ścieśnienie stanu szlacheckiego. — Krzywda drobnej szlachty. — Zadowolenie możnowładztwa. — Prawo książęce. — „Dziedzic.” — Szlacheckość nowoczesna. — Potwierdzenie ugody koszyckiej. — Wypadki w Węgrzech.

Powtórne przejednanie Polaków odbyło się z nadzwyczajnym pośpiechem. Jeszcze w połowie kwietnia

r. 1374 zamyślał Ludwik o wyswataniu obranej przez Polaków królowy Katarzyny, a w połowie września tegoż roku po świeżym zgonie tejże królowy był nowy pakt koszycki już podpisany. Wymógł go król tym razem na Polakach tak prędko nie szafowaniem, lecz żądaniem pieniędzy. Podszept niektórych wiernych doradził mu ogłosić powszechny pobór podatków. Między tymiż doradcami znachodził się znów Zawisza. Oddanego zdawna dworowi oskarżono później wyraźnie, iż przynajmniej duchowieństwu nałożone podatki są jego rad owocem. Drugim o toż samo winionym i, jak we wszystkich sprawach, tak zapewne i teraz, użytym przez króla pomocnikiem poufnym, był siostrzan Kazimierza W., Władysław książę Opolski. Zniemczyły Szlązak, blizki krewny Ludwików, ubogi, lecz wysoko, bo nawet z cesarzem Karolem IV, „swoim kochanym szwagrem,” skoligacony, należał on do liczby tych słuźalczych panków niemieckich, którzy, jak owe grafy cyllejskie, dworowali ustawicznie bogatemu królowi węgierskiemu. Jego powolny, przeciwny gwałtom umysł, nie wysunął go nigdy na przedscenę historyi, lecz podstępna nienawiść ku wszelkiej polszczyźnie, ku polskiej szlachcie i obyczajowi polskiemu, pobudzała go (jak obaczysz) do ciągłych podszeptów i knowań przeciwko narodowi. Owszem, coraz jadowitszą ku niemu jątrząc się złością, staje się Władysław Opolczyk nareszcie tem pamiętnem narzędziem Opatrzności, którem ona wszelkie pasma naszej powieści wikła w węzeł ostatecznej katastrofy. Będziemy tedy mieli sposobność zapoznać się z nim dokładniej. Obecnie mamy tylko przypomnieć, że Władysław Opolczyk piastował w Węgrzech najwyższą godność kraju, województwo, czyli palatynstwo. Nadto puścił mu król Lois niezwłocznie po swej koronacji krakowskiej w feudalne posiadanie ziemię Wieluńską z miastami i nader warownemi grodami: Wieluniem, Bolesławem, Brzeźnicą, Krzepicami, Olsztynem i Bobolicami. Wreszcie zostały mu poruczone rządy Rusi

Czerwonej z tytułem księcia Ruskiego. Jako palatyna węgierskiego, zwano go powszechnie w Polsce i u Krzyżaków z węgierską Naderspanem, t. j. na podobieństwo najwyższych w Polsce kasztelanów, czyli „panów” krakowskich, wielkim-panem, albo też wielkim-hrabią węgierskim. Sprawowanie Księstwa Ruskiego dało mu również powszechny przydomek „Ruski.” Tak wielorako utkwiał on w pamięci narodowej, do czego jednym z pierwszych powodów były udzielone teraz królewskiemu wujowi rady podatkowe. Zastosowując się do nich, przesłał Ludwik mało i wielkopolskim starostom rozkaz pobierania natychmiast danego poradnego.

Poradne, zwane tak od najstarożytniejszego zapewne narzędzia rolniczego radła, czyli pół-pluga, było jedną z najstarodawniejszych danin publicznych. Wyobrażenia wieku Jagiełłowego miały je za pierwotną Chrobrego Strożę, zrazu w samym ziarnie, później w ziarnie i w pieniądzech składaną. Jakoż najstarsze wzmianki mówią o niem, jako o najzwyczajniejszej, powszechnej, „główniej” daninie kraju. Służyły mu wszelako przeróżne miana. W XIII wieku nazywano je „poradnem, czyli powołowem.” Za czasów Kazimierza W. weszła w używanie nazwa „królewszczyzna,” „królestwo.” Później zastępowano ją nazwą „podymne.” Pochodzi to w największej części z niestałości terminologii średniowiekowej. Nigdzie ona nie zrządziła tyle zamieszania, co w dziedzinie średniowiekowych danin polskich, tak zwanego „prawa polskiego.”

Wszystkie te starodawne obowiązki i służebności polskie były właściwie nie-polskie. Wniknęły one do nas z całą organizacją polityczną z za granicy, z zachodu. Toć sama najstarsza „stroża zamkowa” jest tylko prostym tłumaczeniem staroniemieckiej, w Polsce pod spolszczoną, w Węgrzech zaś pod całeniemiecką nazwą opłacanej daniny *purch hut*. Podobnie starodawne polskie „pomocne” wywodzi swoje

źródło z powszechnie znanego na zachodzie *aide, hilf*. Czytając francuskie podania o uciemianiu ludu częstemi przejazdami królewskimi, mniemasz słyszeć skargi na podwodowe nadużycia w Polsce za Miecysława Starego. Nawet mniemane czysto słowiańskie obowiązki gromadne, np. tylokrotne wzmiankowane „ślad,” pogoń złodzieja, ściganie nieprzyjaciela, znajdujemy daleko na zachodzie, za morzem w Anglii. Nie inaczej miało się z całą resztą myśliwskich i wojennych ciężarów. Za granicą nastąpiła wcześniej przemiana większej części służb i danin rzeczowych, uiszczanych zbożem, bydłętami, albo robotą osobistą, w opłaty pieniężne, w czynsze. Uboższa Polska zachowała dłużej tryb pierwiastkowy. Osiadający przeto na czynszu osadnicy zachodni nazwali sposób podatkovania rzeczowego „prawem polskim.” Z czasem, acz bardzo ociężnie, wzięli się i Polacy przynajmniej gdzieś, przynajmniej przy niektórych daninach, do pieniędzy. Jednoczesne zaś współistnienie obudwóch „praw,” różnaitość nazw jednej i tej samej daniny w różnych stronach, wynikający ztąd zwyczaj zamieszczania w rozwlekłych przywilejach kilku mian jednej i tej samej daniny, branych później za miana różnych danin, to wszystko zagmatwało terminologię starego „prawa polskiego” w niepodobną do rozwikłania zawilość.

Snuje się w tym zamęcie rój dziwacznie brzmiących i jeszcze dziwaczniejszą pisownią spotworzonych wyrazów: powód, przewód, powóz, stroża, narzaz, sep, stan, opole, powołowe, posada, berna, obiedne, pomocne, dan, godne, podworowe, poradne, podymne, wojenne, kolęda, pobór, krowne, psarskie, przelaja, tudzież niektóre inne. Z tych, jak już nadmieniono, „stroża, powołowe, poradne, podymne,” zdają się oznaczać toż samo. Nawet „sep” jest tylko ziemio-płodową częścią tejże daniny „stroża,” składanej z czasem w ziarnie i groszach. „Powód, przewód, powóz, stan,” ściągają się do tego samego obowiązku

dostarczania przejeżdżającym książętom i przeciągającym wojsku podwód i przewodników. „Nierzaz, obiedne,” niekiedy „krowne i perne albo berno” obowiązują porówno do sprawiania podróznemu dworowi lub przybyłemu na roki sądowe książęciu, z dostawionych na rzeź (*na rzaz*) baranów, wieprzów i krów, jednego, dwóch lub trzech w każdym roku obiadów. „Krowne” najczęściej to samo, co „podworowe,” odnosi się także do daniny „opole,” czasami inaczej „osadą” zwanej. „Pomocne” odpowiada zwyczajnie tak za granicą, jak i w Polsce „wojennemu.” „Godne” równa się „kolędziel” „Berna” w czeskim znaczeniu „poboru,” jako też „pobor, dan” oznaczają zapewne przypadkowo nakładane podatki.

W ten sposób 23 różne nazwy spływają się w 7 różnemi wistocie daninami. W ogólności, chcąc gwarną wielosłowność bezładnej, dorywczej praktyki przywieść do orzeczenia pewnych fundamentalnych zasad, możemy cały pozorny ogrom ówczesnych obowiązków ludu względem panującego ograniczyć na pięć kardynalnych powinności, mianowicie powinność podejmowania księcia w przejeździe podczas wieców sądowych i na łowach; powtóre, powinność utrzymania i zaopatrzenia grodów książęcych różnoraką daniną „stroża;” potrzenie, przyczyniania się do kosztów wojennych; poczwarte, zasilania dworu, czyli raczej kuchni powiatową, „opólną” dostawą „podworowych” bydła, szynek, poćciów i tym podobnych zapasów, wreszcie składania niekiedy pomniejszych datków okolicznościowych. Jeszcze i z tych powinności tylko niektóre musiały być nieuchronnie co roku uiszczane. Ciężar innych zależał od przypadku. Nie było więc to „prawo polskie” tak straszne w rzeczywistości, jak ono wygląda w dziwotwornej terminologii dokumentów. Niezbyt też wielkie musiały płynąć z niego korzyści, gdy książęta powszechnie z największą łatwością pozbywali się tych danin na rzecz narodu. Od najdawniejszych bowiem czasów, mianowicie od

onego „oswobodziciela z pęt służebnictwa,” Małopolskiego Kazimierza Sprawiedliwego, daje się widzieć stopniowe przez książąt zrzekanie się prawa do wymienionych danin i obowiązków, zwanego pospolicie „prawem polskim,” albo „prawem książęcym.”

Uzyskują takowe od panujących naprzód możnowładcy duchowni, obdarzane eksemcyami klasztory i kościoły. Za przykładem duchowieństwa zaczęli także świeccy, zwłaszcza małopolscy panowie od XII i XIII wieku wymuszać też „prawo książęce” na panujących. Odjęte w znacznej części koronie, stawało się ono coraz wyłączniejszą własnością panów. Nabywała szlachta przez to z każdym rokiem rozciąglejszej władzy nad ludem. Nie mógł już książę wymagać od niego ani podwód, ani obiadów, ani służby myśliwskiej, ani dostawów kuchennych, ani jakichkolwiek przypadkowych danin i obowiązków. Miał on tę moc we własnych królewskich dobrach, miał on nad szlachtą i nad zamożniejszą częścią nieszlachetnej ludności wiejskiej, jako to nad sołtysami i wolnymi z starodawna kmieciami, tak zwane „prawo włodzi-cze,” prawo wojskowe, obowiązujące do służby wojennej, lecz od całej reszty ludu wiejskiego pozostało książęciu do żądania tylko starodawne ze „stroży” wywodzone—„poradlnie.” Jako jedynemu szczątkowi dawnych praw królewskich przyłgnęło mu już nawet w przeciwieństwie do czynszów pańskich zrowrogie nazwisko „czynsz królewski,” lub „królewszczyzna.” Nakoniec w ostatecznym następstwie usamowolniania się panów, zapragnęli oni nawet z tegoż ostatniego otrząść się szczątku. Zażądano od Kazimierza W. zniesienia królewszczyzny. Kazimierz musiał ustąpić. Według jednych, uwolnił on wistocie cały naród od poradlnego. Według innych, tylko przyrzekł uczynić to, lecz nigdy przyrzeczenia nie ziścił dokumentem. Na wszelki przypadek wyszło poradlnie przynajmniej przez pewien przeciąg lat z używania.

Wtem gruchnęła wieść, że król Lois „królew-

szczyzną” pobierać każe. Zdawało się to w obecnym stanie rzeczy zniewagą honoru szlacheckiego i niemałym uszczerbkiem materyalnym. Poradnie czyniło od każdego radła lub dymu sześć szkojców, czyli 12 groszy, tudzież miarę żyta i owsa, według dzisiejszej stopy pieniężnej, oprócz zboża, przeszło 12 złotych. Znaczyło to ująć tyleż niezbyt zapasnym w gotowiznę kieszeniom pańskim. Prócz tego ówczesny sposób egzekucyi podatków przyprawiał o różne szkody. Zwyczajny w średnich wiekach edykt podatkowy brzmiał jak następuje: „Pozwalamy wójtowi i ławnikom w razie potrzeby użyć przy poborze przymusu, t. j. wyłamywać drzwi, rozbijać skrzynie, okna i zamki, imać ludzi na targu, po ulicach i domach.” Wędrujący od miasta do miasta, od wsi do wsi poborcy podatkowi mieli prawo żądać w każdym miejscu osobnej nagrody za swoje trudy, a żądali nieraz więcej, niż się godziło. Z goryczą tedy przysłuchiwali się panowie, jak starostowie królewscy, zwyczajem onego czasu, po wszystkich miastach, wsiach, targach i nabożeństwach wywoływać kazali edykt poboru. „Zdało się im—mówi kronikarz— że to dżumę wytrębowano i niewolę wieczystą, która im wsie poniszczy.” Ogłoszenie takie poprzedzało powszechnie kilku tygodniami termin poboru. Jeśli panowie polscy chcieli zaradzić złemu, należało korzystać z czasu od świętego Marcina, jako zwykłego terminu składania królew-szczyzny.

Nie znaleziono innej rady, jak wyprawić posłów z protestacją do króla w Węgrzech. Ci przełożyli mu w Budzie niezwyyczajność podatku, już od Kazimierzowskich czasów zaniechanego. Król zasłonił się nieistnieniem rzeczywistego listu swobody, jakiego Kazimierz W. nigdy nie wydał, przez co koronie wciąż jeszcze służy prawo do poradnego. Dodał jednak, iż gotów jest rzec się większej części królew-szczyzny, jeśli naród nawzajem rzecze się wyłączenia płci żeńskiej od następstwa, a przypuści znów

jedną z pozostałych córek królewskich do tronu. Odpowiedź na to przechodziła upoważnienie posłów. Mogło ją tylko walne zgromadzenie dostojników narodu wyrzec. Zgodził się tedy król na zjazd przednich panów polskich w Koszycach w oktawę Narodzenia N. Panny. Z powracającymi do Polski posłami przybyły tam zaprosiny królewskie na zjazd obradny i wiadomość o powtórnem zażądaniu korony dla jednej z córek.

Jeszcze raz zawrzały namiętności przeciwnych stronnictw. Małopolan znamy już przychylnymi zmianie porządku sukcesyjnego. Od przewodzących obecnie pomiędzy nimi Różyców nie różnili się ani możni Toporczykowie Tęczyńscy, ani Leliwacy, jak Melszyńscy, albo Tarnowscy. Wtórzyło im także utworzone przez zabiegi dworu stronnictwo królewskie w Wielkopolsce. Jeden z najgorliwszych tamże zapasników dworskich, druh Zawiszów, Mikołaj, herbu Łodzia, został właśnie przed kilku miesiącami wyniesiony na biskupstwo poznańskie. Potężni Grzymałczykowie trzymali z Łodzią. Lecz ogół Wielkopolan nienawidził myśli o czepcu. Poddanie się rządowi niewieścim zdało mu się ostatnim stopniem tego sromu i poniżenia, w jakie oddawna popadł coraz niepowrotnie starodawny obyczaj, starodawny zaszczyt Wielkopolski. Z ostateczną więc żarliwością wypadło jeszcze raz ująć się za nim. Postanowiono bronić staropolszczyzny wszelkimi siłami na zapowiedzianym zjeździe w Koszycach. Nie możemy dojrzeć naczelników tego oporu. Wszelkie atoli okoliczności wzbudzają domysł, iż mu przewodniczyli licznie rozrodzeni Nałęczowie. Zresztą, ktokolwiek naczelniczył, skoro tylko zacięta wielkopolska bracia występowała do boju, uporny miał być bój.

Tak różne natchnienie ożywiało te podrózne grona panów i szlachty, które teraz w połowie lata starodawnym traktem tatrzańskim ciągnęły konno na Sącz po pod Czorsztyn do Węgier. Z Małopolanami

jechała dumna nadzieja uchylenia z siebie za względność dla królewien ostatniego zabytku służebności. Wielkopolanom towarzyszyła obawa powrócenia do domu ze sromem hołdownictwa niewieście. Małopolan nadzieję snadnie pojmujemy, bo w niej nowsze wieje powietrze. Aby pojąć wielkopolską obawę, należy starodawnych wyobrażeń, starodawnego zaczerpnąć tchnienia.

„Słowiańska rodzina była rodziną mężką.” „Biała mężom, którym władza niewiasta!” — narzekano już za czasów Libusy czeskiej. Jakkolwiek dla bezbronności niewieściej, głowa niewiasty drożej zwykle kosztowała zabójcę, niż głowa mężka, przecież wszelkie zresztą dobrodziejstwa społeczności płynęły tylko mężom. Niewieście — jarzmo i okrucieństwo. U Słowian pomorskich, u Prusaków, u Litwy, zabijano niegdys zbyteczną ilość nowonarodzonych niemowląt żeńskich. Wpływ germański usamowolnił późniejszymi czasy płęć żeńską w Litwie, bez polskich niewiast dola pozostała zawsze surową, mianowicie nierównie surowszą od losu sióstr litewskich. W Polsce nawet późniejszymi czasy były kobiety, „jako panny i mężatki w ustawicznej opiece, a będąc wdowami, potrzebowały kuratorów.” Wykluczone od dziedzictwa, liczyły one za nic w szlacheckości lub nieszlacheckości małżeństwa. Mąż szlachcic n a d a w a ł, mąż nieszlachcic odbierał szlachectwo żonie. Uznaną przez Małopolan w Wiślicy możność dziedziczenia żeńskiego odpychała nietylko Wielkopolska, lecz i cała reszta Polski, jak tylko mogła najdłużej, aż do Zygmun-tów. Co do dziedziczenia korony przez niewiastę, to poczytywano dotąd za niepodobieństwo. Dalekie kraje Europy brzmiały wstrętem Polaków ku panowaniu żeńskiemu. Mówi o nim cesarz Karol IV w opisie swego żywota, mówi papież Klemens VII w bulli dla Władysława Białego. Jeśli w dotychczasowej Polsce przypadek powołał niewiastę do zastępczych rządów w czasie małoletności, odmszczono to zazwy-

czaj srodze na jej pamięci. Według zdania pospolitego, nie było jędzy nad Ryksę, a wszystkich nieszczęść domowej wojny pomiędzy synami Krzywoustego winną była niewiasta, Władysława żona, Agnieszka.

Z tejże samej przyczyny spotwarzono tak nieśluszenie obecne rządy naszej zacnej Elżbiety. Za podżęciem starodawnych uprzedzeń rzucał każdy kamieniem na nią, obelgą na wszelki wpływ niewieści w sprawach światowych. Mędracy akademii krakowskiej dowodzili uczenie przyrodzonego zepsucia, jadowitości rodu żeńskiego. Tysiączne przysłowia i przypowieści wpajały gminowi wrogą niewiastom mądrość uczonych. Przejęci takimi wyobrażeniami Wielcy Polszczanie widzieli w rządzonej królową Polsce już naprzód one nieszczęścia, na jakie społeczeńsi i społeczeńsi w tej mierze Węgrzy użalali się przed Karolem Neapolitańskim, swoim z niechęci ku żeńskiemu monarsze obranym pretendentem. „Płocha płęć roznieca krwawe waśnie, których potem zaspokoić nie umie. Ową krainę węgierską, którą niegdyś widziałeś kwitnącą rozkosznym dostatkim wszelkich dóbr ziemskich, dziś furye wojenne szarpią.” Obawa podobnychże klęsk w Polsce nakazywała przyznać słusność gorzkim słowom onego Wielkopolanina, który w osobie królowej Elżbiety na wszelkie niewieście rządy kościelną rzuciwszy klątwę, napisał o niej: „Płacz narodzie lechicki, albowiem popadłeś w przekleństwo proroka: Niewiasta pochwyliła ster rządu i włada tobą.” Gdyby zresztą powiodło się nawet uniknąć takich nieszczęść, jak na Węgrzech, groziły inne nieuchronne niedogodności. Przypuszczenie królowej do tronu było właściwie przypuszczeniem jej przyszłego, samowolą ojcowską oznaczonego, może niemilego narodowi małżonka. Nadto połączone z tem uświęcenie prawa całej płci żeńskiej do spadkobierstwa po ojcu, pozwalając córkom wnosić dobra ojcyste posagiem w mężowskie domy i herby, rozrywało

dawną spólność rodzinną, dawną braterskość całoherbową. Tak wyobrażenia i codzienna praktyka życia walczyły przeciw niewiastom. Nie dziw tedy, że bolesna zniewaga ścisła serca wielkopolskie na samą myśl o córkach Ludwikowych.

Zbliżono się do Koszyc. Było to ulubione siedlisko królowej Elżbiety na Węgrzech. Rozmiłowana w niem dla przyjemności okolicy i pobliza ojezyny, założyła ona tu pyszny kościół, który, według znawców, dorównywa pięknością najstynniejszym tumom europejskim. Wysokie mury opasywały miasto. Zwyczajna w średnich wiekach nagość okolicznego obrębu miasta po za murami nadawała całemu grodowi smutny pozór martwości. Przy zamkniętych, jak zwykle, bramach, można było wiele godzin jeździć dokoła murów, nie widząc ludzkiej postaci na murach, nie słysząc głosu ludzkiego. Zamknięcie bram miejskich za wpuszczonym wewnątrz przybyszem zamykało go w tej gołem polem otoczonej cieśni murów, jakby w istnem więzieniu. Ileż razy zdarzyły się w wiekach średnich takie niespodziane przyaresztowania najdostojniejszych podróżnych! Przytrzymano w ten sposób cesarza Karola IV w polskim Kaliszu, francuskiego króla Ludwika XI w burgundzkim mieście Peronne. Ztąd wszelka gościna w grodzie pana nieprzyjaznego nabawiła tajemnej trwogi. Wjeżdżając w bramę jego panowania, doznawało się mimowolnie tego samego uczucia, jakie ogarnęło papieża Jana XXIII, gdy przed zgubnym dla siebie soborem w Konstancyum zbliżał się ku bramom tego miasta. „To niby jama na lisy!” zawołał przejęty wstrętem na widok murów miejskich — i toż samo mogli powtórzyć sobie wielkopolscy przeciwnicy planów króla Loisa, wjeżdżając w bramy jego węgierskich Koszyc.

Z tym samym pośpiechem, z jakim odbyła się cała sprawa powtórnego wyboru jednej z królewien, przystąpiono w Koszycach zaraz po przybyciu Mała i Wielkopolszczan do obrad. Jedyny sposób porozu-

miewania się króla Ludwika z Polakami przez tłómaczy skłaniał go do udzielania panom swych żądań i przyjmowania wzajem ich odpowiedzi—przez ciągle deputacje. Odrębność Wielkiej od Małej Polski, jeszcze przez dalszych sto kilkadziesiąt lat do osobnego sejmowania przyzwyczajonej, zniewalała i w Koszycach do rozdziału całego zgromadzenia na koło wielkopolskie i małopolskie. Tak rozerwany tryb obrad ułatwiał przeciwnym stronnictwom kopanie pod sobą „lisich dołków.”

Dla powzięcia wyobrażenia o pojedynczych przewodnikach tych stronnictw, jako też o całym wiekopomnym zjeździe w Koszycach, należy obeznać się z głównymi dostojnikami królestwa w roku 1374, jedynymi członkami ówczesnych zjazdów sejmowych. Słuszna zacząć od duchowieństwa i jego głowy, a tę właśnie zmienił był w tej porze kościół polski. Żył to teraz owszem jednocześnie dwóch arcybiskupów gnieźnieńskich, jeden na dewocyi w klasztorze łędzkim, drugi u steru spraw krajowych na zgromadzeniu w Koszycach. Tamtym był ociemniały staruszek Jarosław, herbu Bogorya, niegdys wraz z Kazimierzem W. pracowity gospodarz na niwie duchownej, jak i świeckiej, hojny oswobodziciel od danin dziesięcinnych, ustawodawca kościelny na synodzie kaliskim r. 1357 — tym uczony doktor dekretatów i niedawny dziekan krakowski Janusz, przezwiskiem Wilk, albo Suchywilk, herbu Grzymała, znany już za Kazimierza W. jako jeden z najmędrszych ludzi w koronie polskiej. Byli sobie obaj kapłani według ówczesnego wyrażenia „przyjaciółmi”, t. j. blizkimi krwią, a młodszy z nich, Janusz, winien był nawet całe wyniesienie swoje staremu wujowi Jarosławowi. Mając bowiem niezadługo skończyć setny rok życia, złożył sędziwy Jarosław dobrowolnie rządy arcybiskupie, powołując do nich swego na dziekanii w Krakowie siedzącego siostrzeńca. Tuż przed wyjazdem panów polskich na

zgromadzenie koszyckie nadeszło do Polski najwyższe potwierdzenie tej zmiany w arcybiskupstwie gnieźnieńskim, podpisane przez papieża Grzegorza XI w Awinionie pod koniec maja 1374. Zaczem usunął się ciemny Jarosław w zaciszę cysterskiego klasztoru w Łędzie, i używając za zezwoleniem papieżkiem dochodów z niektórych dóbr arcybiskupich w Koronie i na Pomorzu, trawił dni ostatnie w rozmyślaniach pokutnych. Te nareszcie natchnęły mu zamiar ukarania się publicznie w testamencie, aby ciało jego po śmierci wniesiono do kościoła gnieźnieńskiego nie drzwiami, lecz wybitą naprędce dziurą, ponieważ nie według kanonów, lecz bardzo dorywczeimi środkami osiągnął stolicę arcybiskupią.

Tymczasem nowy arcybiskup walczył w Koszycach z kłopotliwemi sprzecznościami położenia swojego. Rodem Sandomierzanin, należał on do szlachty małopolskiej, liczył się do przychylnego dworowi herbu Grzymała, i uchodził za jednego z najznamienitszych uczniów szkoły Kazimierzowskiej, a nawet za głównego przez jakiś czas doradcę tego króla. To wszystko czyniło go niejako zwolennikiem nowoczesnej oświaty i wolnomyślności małopolskiej, jako też zgodnych z nią zamysłów króla Ludwika. Z drugiej jednakże strony jego charakter duchowny, jego konieczna odtąd zażyłość ze szlachtą wielkopolską, a nadewszystko własne uprzedzenia przeciw spadkobierstwu żeńskiemu i wszelkim rządóm niewieścim, ciągnęły go przemożnie ku surowej staropolszczyźnie i nieprzyjaznym następstwu królewien zamiarom Wielkopolan. Pozostał po Januszu jeszcze z czasów Kazimierza W. zapis niektórych kupnem nabytych włości na rzecz kilku synowców, obdarzonych temi dobrami, z wyraźnem zastrzeżeniem, aby nigdy płeć żeńska nie mogła w nich dziedziczyć. Dodajmyż k'temu ganioną arcybiskupowi przez współczesnych niestałość charakteru, ulegającą lada natchnieniu chwili, a przyjdzie słusznie zawiązać, że pomoc Ja-

nuszowa niewielki pożytek wróżyła w Koszycach planom królewskim, niewielką krzywdę zamierzonemu oporowi Wielkopolan przeciw tym planom. Bo też z wielkopolską bracią, nie chcąc odrazu wszczynać orężem, nie łatwo i niebezpiecznie było różnić się w zdaniu. Z powodu tłumności równomyślnego szlachectwa ubogiego, groziła każdemu różnowiercy w zdaniu óma pojedynczych nieprzyjaciół. Każdy z nich gotów był pójść natychmiast za przykładem swoich nadodrzańskich przodków Lutyków, którzy niezgodnych z gromadnem zdaniem spółbraci zmuszali chłostą, pożogą włości i rozszarpaniem dobytku do zdania jednomyślnego. W jednej chwili przeciwny reszcie Wielkopolszczan biskup lub wielkorządca mógł widzieć wsie swoje w ogniu, trzody w łupieżkiem podziale, kmieci w rozsypce. Musiał więc, albo jak ów narzucony Wielkopolanom na generała małopolski Toporeczyk Otto, uciekać z Wielkopolski, albo zgadzać się z bracią.

W tem samym położeniu znajdowała się większa część reszty wielkopolskich dygnitarzy. Zręcznie przez dwór na urzędy wsunięci, sprzyjali oni w powszechności królowi. Możemy to wnosić o spótherbownikach małopolskiego stronnictwa dworu, t. j. o kujawskim biskupie Zbitucie i wielkorządcy Sędziwoju z Szubina Toporezykach, o przywiązanych dworowi Grzymałach, t. j. kasztelanie poznańskim, Domaracie, i rodzonym bracie Domaratowym, Derstawie z Iwna, kasztelanie gnieźnieńskim. Nie inaczej usposobieni byli spółklejnotnicy Zawiszowego spółnika, Mikołaja, nowego biskupa poznańskiego, bawiącego obecnie w stolicy rzymskiej, mianowicie wojewoda poznański Wincenty z Kupy i kasztelan kaliski Jaśko, obadwaj herbu Łozdia. Wszakże gdy i ci przyjaciele dworu, mimo swej wewnętrznej przychylności, napozór przecież trzymać musieli z przeciwnie myślącym ogółem szlachty, innych dostojników wielkopolskich, jak np. wojewodów kaliskiego, sieradzkiego, łęczyckiego i ku-

jawskiego, tudzież kasztelanów tych ostatnich trzech grodów, godzi się mieć za szczerych i głośnych zwolenników starodawnej wielkopolszczyzny.

Za tęż jawną nieprzyjaźń jednych, a nieśmiałą przyjaźń drugich z pomiędzy Wielkopolan, wynagradzała królowi sowicie powszechna małopolskich urzędników zgodność z planami dworu. Wszysey oni, jako to: kasztelan krakowski, Jaśko z Melsztyna Leliwak, kasztelan sandomierski, Jaśko z Tarnowa, spółherbownik Melsztyńskich, Toporczyk Jaśko z Tęczyna, kasztelan wojnicki, podskarbi koronny, Dymitr z Bożego Daru, nie mówiąc już o zaprzędanych dworowi Różycach, wojewodzie krakowskim Dobiesławie i jego synach, kanclerzu Zawiszy i sandeckim kasztelanie Krzesławie, okazali się później już to sami, już to przez swoich synów najgorliwszymi stronnikami rodziny królewskiej. Toż i teraz jeszcze od przeszłego roku „pokrewieństwem, złotem i przyrzeczeniami” z dworem związani, popierali wszyscy najgoręcej swoją małopolską wolnomyślność, swoją małopolską możnowładność przeciw grożącej z nad Warty staropolszczyźnie spadkobierstwa żeńskiego i równości z braćmi uboższą.

Pierwsze chwile obrad powtórzyły dawny rozgovor między królem a Polakami względem istnienia lub nieistnienia poradnego. Polacy mienili je zniesieniem obietnicą Kazimierza W., król, nauczony od swoich wiernych doradców, zaprzeczał temu brakiem dokumentnego stwierdzenia i zwyczajem ciągłego pobierania królewsczczyzny. Wkrótce wytoczyła się sprawa właściwa. Król wystąpił z gotowością zmniejszenia poradnego za uznanie jednej z córek dziedziczką tronu. Oświadczył przytem, iż zamiast zwykłych dwunastu groszy nie żąda więcej w znak najwyższego zwierzchnictwa, jak tylko dwa grosze z każdego łanu ziemi polskiej. W odwdzięczenie się zato mają Polacy nie tylko przyznać królownom prawo do tronu, lecz nadto zobowiązać się oddać koronę tej z króle-

wien, którą albo sam król, albo królowa babka lub królowa matka przeznaczą narodowi.

Przedłożenie królewskie zmieniało cały dotychczasowy porządek Polski. Podczas gdy dotąd tylko każdy łąn świecki dwanaście groszy płacił, duchowne zaś dobra powszechnie zupełnej używały swobody, miała teraz cała ziemia polska bez względu na duchowne lub świeckie właścicielstwo porównaną być jednostajnem zobowiązaniem dwóch groszy. Światlejsi członkowie duchowieństwa, sam mądry arcybiskup Janusz, oceniali sprawiedliwość zrównania. Małopolanie przyzwolili odrazu na cały wniosek królewski. Lecz gorliwsza część duchowieństwa wzdrygnęła się z oburzeniem na tak jawne naruszenie swobód kościelnych. A z nią pospołu oburzyła się także dawna przeciwniczka swobód duchownych teraz pospołu z Kościołem bolejąca rzesza drobniejszego szlachectwa wielkopolskiego. Obrady koszyckie wzięły niepomyślniejszy obrót, niż sami Wielkopolanie zrazu myśleli. Spodziewano się w najgorszym razie pozbyć się całego poradnego za króla w czepcu. Tymczasem żądanie dwóch groszy z każdego łąnu polskiego dotykało drobną szlachtę wielkopolską w dwójnasób. Mężniejsi bowiem panowie, zwłaszcza Małopolanie, żadnego własnoręcznie nie uprawiający łąnu, mający zwyczajem owego czasu wszystkie swoje łąny obsadzone kmieciami, mieli zezwolić teraz jedynie na opłacanie poradnego przez swoich kmieci, osobiście żadnemu podatkowi nie poddani. Przeciwnie, drobna szlachta, tak licznie w Wielkopolsce osiadła, nie mająca kmieci, a przeto własną ręką grzebiąca rolę ojczystą, ujrzała się obowiązkiem dwugroszowego podatku odstrychniętą od reszty niepodatkujących panów, do reszty kmiecemu przyrównaną stanowi. Nie tylkoż zagłada dawnego obyczaju, nie tylko wynikające ze spadkobierstwa niewiast rozerwanie herbowej braterskości, ale bezpośrednie, pieniężne niebezpieczeństwo zawisło teraz nad karkiem Wielkopolan.

W połączeniu więc z duchowieństwem, pod naczelnictwem samego arcybiskupa Janusza, oparła się Wielkopolska stanowczo wnioskowi królewskiemu. Nie mogąc zaś przeciw połączonym siłom Małopolan i dworu podołać radą i protestacją, miała szlachta wielkopolska tylko jeden nadal środek oporu. Było nim opuszczenie miejsca obrad, zerwanie sejmu. Wielkopoleanie postanowili ujechać z Koszyc.

Plan Ludwika, śmiercią królowny Katarzyny srodze już nadkruszony, był takim postanowieniem ostatecznemu rozbięciu blizki. Jak Wielkopolanom, tak i królowi szło o całą przyszłość rodziny. W walkach owego czasu nie powodowano się żadnymi skrupułami. Najśmielszy gwałt zdał się najlepszym środkiem. Dla tem pewniejszego skutku ostateczności, jakiej miano się chwycić, naradził się król z najwierniejszymi Małopolaninami. Wojewoda Dobiesław i jego krewni zezwolili na wszystko. Ujeżdżający z miasta Wielkopoleanie znaleźli bramy miejskie zamknięte. Staropolscy przeciwnicy królewskiego projektu następstwa córek ujrzeli się przytrzymanymi, jeńcami. Koszyce stali się im zaprawdę „jamą” zdradziecką.

Nie dziwił atoli przytrzymanych postępek króla. Pamięć onego przyaresztowania Karola VI przez Kaliszan, przypomnienie podobnegoż później uwięzienia zakładniczej młodzieży polskiej przez Ludwikową żonę Elżbietę na Węgrzech, wzgląd na nierównie zuchwalsze zamknięcie króla Zygmunta przez Węgrów w turmie Garów, króla Wacława przez Czechów w starej Pradze, odejmowały wszelką niezwyčajność gwałtowi koszyckiemu. Postrzegli tylko Wielkopoleanie—opowiada współczesny kronikarz wielkopolski—że „kuso z nimi”. Mógł ten stan niedogodny trwać przez miesiące i lata. Poddano się więc losowi. I „z niemałym sromem — ciągnie dalej ten sam kronikarz — hołd wierności królownom złożywszy, niewiastom nad sobą zawładnąć dali.” Pozostało

tylko spisać dokument tego zezwolenia przymusowego.

Dnia 17 września roku 1374 ułożono akt ugody koszyckiej. Nie szlachta więc, nie Polacy, jak późniejsze głosy wołają, wymogli ten akt na królu. Wymógł go król na Polakach. Bo przychylni mu Małopolanie, to w ówczesnem pojęciu nie Polacy. To na słowiańskim pniu starej Polski zaszczerpiony świat nowy. On to aktem koszyckim pognębił staropolszczyznę. Wynagrodziło się to poniekąd złotym wiekiem Zygmunów.

Rzadko kiedy kreśliła ręka ludzka tak obfite w wielkie następstwa słowa, jak te, które dnia onego śród wesela Krakowian, śród smutku Wielkopolszczan płynęły z ręki kanclerza Zawiszy lub jego pisarza na pergamin przywilejowy. Mimo historycznej dostojności tego aktu, nosi on zresztą wszelkie cechy tamtoczesnej prostoty, tak niezgrabnej w wyrazie, tak niedowierzającej w swoim zbytku orzeczeń i powtarzań. Czytając ten dokument, mniemamy słyszeć akt świeżo przez gromadę pisarzowi wiejskiemu w pióro włożony. Łaciński jego autentyk na pergaminie zginął od wieków dla oczu ludzkich, starodawny przekład jego w języku polskim ma brzmienie następujące:

„W imie boże Amen. Gdyż sprawy pańskie mają być dla wiekuistej pamięci potomnym ludziom bez wszelakiego zgwałcenia obwieszczane, i potwierdzenia wolności od podatków, swobody, także przywileje i ich spisania i tudzież konfirmacye albo umocnienia wiecznym czasem mają być podane, dlatego my Ludwik z łaski bożej Węgierski, Polski, Dalmacki etc. król, chcemy aby przyszło ku wszech tak niniejszych, jako przyszłych ludzi wiadomości: Iż my, szczerym umysłem i uprzejmą chęcią starając się, aby królestwo nasze Polskie w dobrym stanie mocno trwało, natośmy się obietnicami, spiski i przywilejami naszemi szlachcie królestwa Polskiego zobowiązali, że po zej-

ściu naszym z tego świata potomstwo nasze mężczyńskiej płci tylko, a nie białą głowę mają mieć i wziąć sobie za dziedzica i potomka na królestwo. Potem za zwoleniem rycerstwa i panów szlachty i innych wszystkich, która do tego przystąpiła wola, córki nasze gdyby nie była płeć mężczyńska sobie za pany i dziedzice królestwa Polskiego przyjęli, które chcieli i chcą otrzymać za potomki nasze i koronę królestwa Polskiego. Wszakże w tej mierze gdybyśmy z łaski bożej mieli syny i dziewczki, jednego z mężczyzn, a gdyby mężczyzn nie było, jedną z córek naszych, na ten czas narodzonych i będących, i które się na potem narodzą, którego albo którą my albo nazacniejsza pani królowa matka ich a żona nasza namilsza im naznaczymy albo naznaczy, onego albo onę niech mają za dziedzica i za potomka naszego i obywatela królestwa będą go powinni przyjąć i mieć. Jakoż tymże, to jest potomkom naszym przez pany szlachtę, przełożone i miasto, i inne, każdego z osobna w królestwie mieszkającego, stał się jest za wolą naszą pod przysięgą obowiązek i obietnica jest i stała się od tego czasu jako od tamtego, także od tamtego jako od tego wezmą za pana i dziedzica i wedle prawa potomka. A potym albo od tego czasu potomkowie ich, albo idący od nich miejsce panowania mają otrzymać w królestwie Polskiem przerwczonem. Ale iż korona królestwa przerwczonego przez tę sukcesję na królestwo mogłaby niekiedy być rozdzielona, rozerwana albo którym sposobem zgwałcona, obiecujemy pod dobrą wiarą, okrom wszelkiej chytrości i zdrady, pod przysięgą wiary naszej, iż będziemy zachowywać koronę królestwa Polskiego zawždy całą i nienaruszoną, i żadnych ziem i części od niej oddalać albo umniejszać nie będziemy, ale ją rozmnażać i jej dostawać, jako na koronacyi naszej jesteśmy i byliśmy obowiązani naszymi listy na to danemi. A iż przerwczona nasza szlachta mają przeciwko nam tak osobliwą chęć, że też i płeć białejgłowy potomstwa

naszego, jako i mężczyńską za księżę i za pana, jako rzeczono jest przyjęli, a przeto dla zasług i wiernych posług uczynionych, i dla dobrej woli wszystkich (którą nam i potomstwu naszemu obojej płci pod przysięgą pokazali, i napotem za czasem i miejscem są gotowi wierne służby za wolą Bożą pokazać), chcąc im to osobliwą łaską nagrodzić, miasta, zamki, dzierżawy, miasteczka i wsi, i poddane we wsiach wszystkiego królestwa Polskiego, którzy w niem mieszkają, panów i szlachty wszystkich czyniemy wolne, i wyjmujemy od składania wszystkich dani, albo podatków tak pospolitych, jako osobliwych, któremkolwiek imieniem byłyby zwane, i od wszystkich posług, robót, drażnienia, ucisków największych, któreby miały być w rzeczach i w osobach, szczerze i proście wolni, chcemy, aby wyswobodzeni i wyjęci byli, ale tylko chcemy mieć na tym dosyć, aby dwa grosza monety polskiej, których ośm a czterdzieście groszy grzywnę czynią polską, z każdego łanu, albo części łanu osiadłego, na każdy rok nam i potomkom naszym, na święto św. Marcina konfessora, na znak najwyższego panowania i na wyznanie korony królestwa Polskiego były płacone. To jedno wyraziwszy, iż gdzieby najazd nieprzyjacielski na rzeczono królestwo zkąd przypadł, tedy szlachta koronna ku odpędzeniu ich srogości ma się zastawić ze wszystką mocą. *Item*, jeśliby też za czasu panowania naszego albo potomków naszych, dla wojny za granice królestwa jechać nam było potrzeba, albo też szlachta przy bytności naszej z któremkolwiek nieprzyjacióły na wojnie potkanie uczyni, a niektórzy z nich w temże potkaniu będą pojmani albo zatrzymani, albo i szkody bądź małe, bądź wielkie podejmą w rzeczach i osobach, tedy im to dostatecznie nagrodzimy. *Item*, jeśli który zamek stary będzie potrzebował oprawy, tedy czasu pokoju burgrabia, albo dzierżawca, albo któremu jest poruczony, będzie powinien ji opravować. Ale gdy się zacznie wojna albo rozruch jaki, tedy zamki nasze na pogra-

niczu królestwa naszego położone i będące, ludzie onych powiatów, gdzie zamki są położone, będą powinni poprawować i budować. *Item* jeśli który zamek dla obrony i pożytku tego królestwa, za radą i zwoleniem panów zechcemy budować, tedy na budowanie onego ciż przełożeni w królestwie będą powinni pomagać. A jeśli krom wiadomości i zwolenia tejże szlachty i panów zechcemy budować, tedy to budowanie naszym kosztem i wydatki czynić będziemy. *Item*, obiecujemy, iż urzędów i dostojęństw, jako są województwa, kasztelanie, sądy, podkomorstwa i tym podobne, które do żywota zwykły być dawane i innym którymkolwiek ludziom obcym, przychodniom, nie będziemy dawać, oprócz samym synom koronnym i mieszczającym w tych ziemiach, w których takowe *dignitates* i urzędy są położone. Które to dostojęstwa i wszystkie i każde z osobna urzędy chcemy w ich prawiech, jako były za czasów najjaśniejszych książąt panów Władysława dziada i Kazimierza wuja naszego, królów polskich, w całe zachować. Obiecujemy też, iż żadnego pana, ani człowieka rycerskiego, ani szlachcica, albo innego któregokolwiek zawołania będącego, postronnego przychodnia cudzoziemca, jedno narodu starostą nie mamy uczynić, i któryby w tejże koronie z polskiego narodu się narodził, gdyby tylko nie szedł z rodzaju książęcego. Jeszcze obiecujemy, iż żadnego zamku, ani twierdze królestwa naszego żadnemu książęciu, albo z rodzaju książęcego idącemu, ku rządzeniu i dzierżeniu na czas, albo na wieki nie poruczymy. Obiecujemy też wiarę naszą obowiązującą, iż zamków i miast przerzeczonego królestwa, z których urzędy i stolice sądowe pochodzą jako Krakowa, Biecha, Sącza, Wiślice, Wojnicza w ziemi Krakowskiej, Zawichosta, Lublina, Sieciechowa, Łukowa, Radomia w ziemi Sędmierskiej, i zamku Łęczyckiego w ziemi Łęczyckiej, w ziemi Sieradzkiej Piotrkowa, w ziemi Kujawskiej Brześcia, Kruszwice, Włodławia, w Wielkiej Polsce Poznań, Międzyrzecza, Zbąszyna,

Kalisza, Nakła, Konina i Pzdr, żadnema jedno obywatelom albo starostom, którzy w tymże królestwie są, nie damy. Ale inne zamki przychodniom i innym, którymkolwiek będziemy chcieć, my mamy i potomkowie naszy mieć będą wolną moc dawać, skazując, iżby burgrabiowie albo sprawcy zamkowi i poddani ich pozwani będąc przed starostami, sędźmi, podsędkami królestwa naszego, którzy za czasem będą, stawali i odpowiadali tym, którzy się na nie skarżą, nieinaczej jeno jako insza szlachta i inszy ludzie królestwa naszego. Wyjawszy tylko rzecz, któraby pomsty krwi potrzebowała, której to rzeczy uznanie nam i potomkom naszym zachowamy osobliwie. *Item*, jeśli się któregokolwiek czasu nam i potomkom naszym przyda przez królestwo jechać, zstępowania żadnego do panów, szlachty, rycerstwa i ich ludu i kmieci nie będziemy czynić przeciwko ich wolej, ani żadnej rzeczy względem tego zstępowania nie każemy od nich wyciągać. A jeśli inaczejby nie mogło być, jedno żebyśmy musieli zstąpić, tedy za naszym nakładem i pieniądźmi każemy żywności i potrzeby inne sobie gotować. Nadto wszystkie pauny przełożone, szlachtę, rycerstwo, miasta, miasteczka, wsie, dzierżawy i ich lud i kmiecie w ich wolnościach obiecujemy zachować, ani one przeciwko ich wolnościom nie chcemy, ani każemy przez kogokolwiek uciskać. *Item*, wszystkie listy, konstytucye, umowy, spiski (które córkom naszym na księstwo albo na królestwo wstępowania w przerzeczonym królestwie zabraniały), także i obrony dane i pozwolone, tak przez nas i potomki uasze z jednej strony, jako przez przerzeczone pany, szlachtę królestwa namienionego z drugiej strony, za zezwoleniem tychże panów, rycerstwa i szlachty rzeczzonego królestwa psujemy, wyniszczamy, nikczemne czynimy, zepsowane, wyniszczone, nikczemne i próżne opowiadamy, chcąc aby one nie miały żadnej mocy, tylko aby ten niniejszy przywilej na wieczne czasy trwał. Na których wszystkich rzeczy

jaśniejsze świadectwo i wieczną moc na niniejszy list pozwalając onechmy zawieszoną i znaczną pieczęcią naszą prostą utwierdzili. Dan i działa się w Koszycach, siedmnastego dnia września roku pańskiego 1384-go.”

Dopiero po wykończeniu tego aktu rozwarły się bramy miejskie. „Ze wstydem” wyjechali niemi Wielkopolanie. Wespót zelżone duchowieństwo pocieszało się myślą, iż zdoła odmówić posłuszeństwa rozkazowi podatkowania. Świeckiej szlachcie wielkopolskiej było chyba uciec się do oręża. Atoli tylko jakaś nadzwyczajna okoliczność mogła wywołać ostateczność wojny domowej. Złożono bowiem hołd wierności królownom, a mimo wszelką lekkomyślność, bezskrupulatność czasu, zagnieżdżoną zwłaszcza w umysłach jego książęcych naczelników, prostoduszne rycerstwo poczytywało sobie za pierwszy z obowiązków moralnych wierność przysiędze. Pozostała więc tylko—rezygnacya. Pozostał żaloszny pogląd na cały obszar tych zmian, jakie już to skutkiem samego układu koszyckiego, już to z innych przyczyn, lecz w blizkiej koszyckiemu paktowi porze dotknęły staropolszczyznę. Wraz z powracającymi w smutku braćmi wielkopolskimi rzućmy także okiem po tym obszarze.

Od lat wielu przygotowując się, wstąpiła zmiana wielkopolska obecnie w swoją pełń historyczną. Nie było stosunku społecznego, któregooby ona nie naruszyła. Głównie jednakże doznały jej: skład rodziny, sądownictwo i obrona kraju. W składzie rodzin, koronne w Koszycach uświęcenie spadkobierstwa żeńskiego stało się, jak wiemy, powodem rozpadnięcia się dawnej męskiej spólności całego jednoherbowego, jakkolwiek szeroko rozgałęzionego rodu, czyli, jak mówiono, *narodu*, w mnogie pomniejsze *domy*, nie mające żadnych względem siebie obowiązków. Niegdyś przez wykluczenie niewiast od dziedziczenia dóbr rodowych, a tem samem przez ochronienie dóbr familijnych od przechodzenia posagiem w inne imiona i herby,

pozostawały te dobra zawsze w tymże samym rodzie i herbie. Wtedy *cech rycerski*, czyli herb, nadający prawo do własności jednoherbowej, był rzeczywistym „klejnotem”, posiadał znaczenie nader praktyczne. Przez to najodleglejsi członkowie rodu mieli zawsze baczne oko na jego ogół. Fortuna, los całego rodu, obchodziły każdego spółbratanka. Wszyscy byli gotowi, byli obowiązani wspierać, zastępować się wzajem. Przywiązanie familijne, miłość pokrewno-braterska, żyły w daleko szerszych niż później kołach. Późniejszy szlachecki zwyczaj uwzględniania najdalszego kuzynostwa jest tylko słabym odblaskiem pierwotkowej, realnej, tak wieloznacznej wspólności rodów jednoherbowych. Myliłby się każdy, ktoby ten rys charakterystyczny tylko polskiej szlachcie przywłaszczał. Służył on tak dalece wszelkiej równoukonstytuowanej szlachetczyźnie, wywodzi on się tak niewątpliwie ze starodawnej, na całym zachodzie widomej wspólności rodów jednoklejnotnych, że nawet najdalszych cudzoziemców, przed półtysiącem lat, słyszymy wyrażających się w tej mierze trybem polskich czcicieli koligacyj rodzinnych. „Był to jeden z moich kuzynów, kuzyn mego kuzyna”—mówi z wszelką powagą francuski kronikarz z czasów Jadwigi. A jeden z polskich biskupów, Paweł, uwzględniając szerokie rozrodzenie swojego herbu, jakoteż wzajemne dalej pochodzenie jednego herbu z drugiego, miał się nie w żarcie, jakby dziś kto mógł mniemać, lecz naprawdę kuzynem wszystkich Polaków, rozumie się herbowych. Tak dawną, tak powszechniejszą niż dziś, widzimy w starożytności powagę koligacji, będącą zabytkiem pierwotnej pospólności rodowej. I tęż drogocenną wspólność rozparł teraz klin spadkobierstwa żeńskiego. Możliwość posagowego przechodzenia dóbr w cudze rody i herby wyrzuciła całą ziemską, całą właściwą potęgę rodu. Już teraz żaden bratanek w okazaniu wspólnego herbu nie znalazł prawa do herbowego majątku. Herby straciły połowę swego znaczenia. Wspólnym inte-

resem zawarunkowana braterskość wszystkich członków jednego rodu, zamieniła się teraz w bezinteresowną oziębłość. Każdy z terażniejszych bratanków, wyrwany z dawnego tak szerokiego koła rodowego, zasklepiął się odtąd w ciasnym obrębie małej indywidualnej rodziny. Wszyscy czuli się osamotnieni. Wszystkich ogarnął sierocy smutek po stracie dawnej spoiwości rodowej, jak po stracie głowy ojcowskiej, jednoczącej liczne rodzeństwo.

Nie mniejsza zmiana utrwaliła się też czasy w sądownictwie, zwłaszcza karnem. Przeszło ono powszechnie z rąk kasztelanów w ręce starostów. Kasztelanowie, niegdyś głównie sędziowie, podniesieni teraz pospołu z wojewodami do obowiązku obradowania na coraz częstszych zjazdach sejmowych, zamienili się w senatorów. Ich pierwotny urząd sędziowski objęli dotychczasowi zastępcy kasztelańscy, burgrabio wie, starości. Aż dotąd stali ci zastępcowie w powszechności na równi z pańskimi włodarzami. Teraźniejsze postąpienie niektórych starostów na sądowych panów kasztelu, grodu, podzieliło ich wogólności na grodowych i niegrodowych, sędziów i prostych tenutaryuszów. Starości grodowi, a było ich razem, według przywileju koszyckiego, w Wielko i Małopolsce dwudziestu trzech, miesza li się zrazu do wszelkiego rodzaju spraw. Później ograniczono ich na tak zwane wyższe sądownictwo, obejmujące głównie cztery, niższemu sołtysiemu, czyli później pańskiemu sądownictwu odjęte sprawy gwałtu, podpalania, rozboju i napa dku. Połączone zaś z temi grodami dochody znaczne sprawiły, że i „panowie do starościńskich cisnęli się zaszczytów”. Nie zyskująca na tem szlachta uboga miała tedy powód oceniać niezbyt przyjaźnie i tę przemianę starodawnego sądownictwa kasztelańskiego na starościńskie, panoszącą tylko 23 dworaków.

Najważniejsza jednak zmiana dotknęła dotychczasową obronę kraju. Do dni Kazimierzowskich ciążył obowiązek wojny na wszystkich, którzy jakikolwiek

kę grunt uprawiali. Tylko o mieszczanach, nie mających posiadłości ziemskiej, nie słyszymy, aby mieli powinność bronienia ziemi. Bronili oni zato swych murów. Zresztą czy to szlachcic, czy sołtys, czy kmięć, wszyscy podlegali tak zwanemu „prawu rycerskiemu”, czyli włódczemu. „Kto nie jest szlachcicem, lecz ma tylko prawo rycerskie...” opiewa statut, zwracając się do takich kmięci rycerskich. Był ten powszechny obowiązek wojenny, jak bez trudności pojmiemy i jak same ustawy go nazywają, raczej „prawem”, przywilejem, niżli ciężarem. Gdyż starodawna wojna przynosiła wielorakie korzyści, Przywożono z niej łupy kosztowne, sprowadzano jeńców, których osadzaniem na roli tworzyły się dobra familijne, bogacono się okupem jeńców możniejszych. Nieszlachcie, onym sołtysom i kmięciom, otwierała wojna najkrótszą drogę do uzyskania szlachectwa. Płynął stanowi herbowemu tak gęsty zład zarobek, iż licznie uszlachceni sołtysi i kmięcie tworzyli osobną klasę szlachty. W końcu uwalniał obowiązek wojenny od wielu innych służb i ciężarów. Przez co „prawo rycerskie”, zamiast uchodzić za uciążliwość, widziało się owszem bardzo pożądaną korzyścią. Zawezwanie na wojnę, dające jeszcze świadectwo, iż zawezwany używa wymienionych powyżej przywilejów rycerskich, czyniło zaszczyt publiczny. „Obowiązany jest kaźden ziemianin — prawi statut Kazimierzowski — służyć w kilku zbrojnych ludzi na wojnę, byle posiadłość jego była wolna, prawem rycerskiem nadana i kaźdnem słuźebnictwem nieobciążana.” Takich słuźebnych dóbr posiadacze, bądź to możniejsi, bądź uboźsi, ciągnęli zapewne także na wojnę, lecz tylko jako czeladź onych wolno-rycerskich panów, kmięci, sołtysów, nigdy na własny karb. W swoim własnem imieniu noszony miecz rycerski był najjawniejszym dokumentem zacności.

Owóż do czasów Kazimierzowskich słuźył oręż (jak powiedziano) kaźdemu właścicielowi kawałka

ziemi. Teraz pakt koszycki za opuszczenie reszty groszów poradnych zastrzegł sobie u szlachty głównie służbę wojenną, Zaczęła ona w tej chwili ciężyć wistocie jako powinność. Sam bowiem pakt koszycki, uwalniając szlachtę od wszelkich królewskich podatków i obowiązków, stał się dostatecznym źródłem i świadectwem swobody. Dość było mieć herb szlachecki, aby pożywać wszelkie owoce niepodległości. Nie potrzeba już było szczycić się „prawem rycerskim”, można było, gdyby ochota zdjęła, odmówić służby wojennej. Którejto ostateczności zabieżeć pragnąc, ustanowiono na koszyckim zjeździe wyraźnie, iż wojna pozostanie i nadal obowiązkiem szlachty krajowej. Nie wykluczono wprawdzie odeń nieszlachty, lecz skoro służba rycerska stała się jedynym obowiązkiem panów klejnotnych, obudziła się w szlachcie łatwa do zrozumienia chęć nadania temu obowiązkowi jeszcze wyższego stopnia godności, a to przez odstrychnięcie odeń wszystkiej późniejszej warstwy narodu — chęć zrobienia wojny, jak była jedynym obowiązkiem, tak też główną cechą szlachectwa. Ztąd wistocie służba rycerska, która niedawno szczyciła wszystkich właścicieli prawa militarne go lub włódczego, zamieniła się z czasem w wyłączną własność i ozdobę szlachectwa. Powszechne teraz rozprężenie wszelkich warunków gminowładztwa pierwotnej Polski, objawiające się w zwycięztwie możnowładczej małopolszczyzny nad drobnoszlachecką wielkopolszczyzną, dopomogło szlachcie i w tym względzie do tem prędszej przewagi nad gminem dawnych „włodyków”. Przyniosło to atoli, jak nietrudno zrozumieć, ciężką krzywdę krajowi i samej szlachcie. Kraj — tracił przez to większą połowę obrońców, popadał w stan rozbrojenia, który w późniejszych pospolitych ruszeniach nie znachodził dość skutecznej zarady. Szlachta — pozbawiona coraz nowego napływu krwi, jakim dawniej zasilano ją ciągle przybywanie nowo-uszlachcionych kmieci, sołtysów, zamknęła się sama

w sobie, narażając się na konieczne w takim stanie omdlenie. Groziła zaś ta omdlałość tem niewątpliwiej, iż nietylko sołtysi i kmiecie, lecz zapewne i nie-mało szlachty ubogiej pozbyło z czasem zaszczytu wojny. Przypomnijmy sobie mnogość owego biednego chodackowego szlachectwa, co to „dla ubóswa swego nie było w stanie wystąpić godnie na wojnę”, i zważmy przytem, że niewystąpienie na wojnę, zwłaszcza kilkakroć powtórzone, pozbawiało ostatniej cechy szlachectwa, równało do ostatka z nieszlachtą; a możemy być przekonani, iż terażniejsze w Koszycach ograniczenie prawa rycerskiego na samą szlachtę, dotknęło nader boleśnie niższą klasę herbową. — Podobnież godziły w nią wszystkie powyżej natrącone zmiany społeczne, mianowicie osobista danniczość groszów poradnych, od której wolni byli panowie uprawiający ziemię przez swoich kmieciów czynszowych, a która podległa sobie szlachtę drobniejszą, własnoręcznie w ziemi grzebiącą i dwa grosze opłacającą, zniżyła do poziomu kmieci dannicznych. A że drobna szlachta, według wszelkich świadectw, niezwyczajnie szeroko siedziała po Wielkopolsce, więc nie próżno „ze sromem” wracali z Koszyc Wielkopoleanie.

Tem ci weselej śpieszyli do domu małopolscy panowie. Wszystkie warunki koszyckie wypadły na korzyść możliwych. Na prostą dotąd herbową tarczę szlachectwa pakt koszycki koroną włożył. Nadał mu bowiem to, co zagranicą i w Polsce zwano „prawem najwyższem” — „prawem książęcem”. Prawo to dozwalało naprzód każdemu szlachcicowi używać tytułu komesa, a nawet, jakeśmy to na onym proboszczu siewłuńskim widzieć mogli — książęcia. Następnie wolno było na mocy tego prawa wierzch swojej tarczy herbowej przyozdobić koroną, albo mitrą, co jedno. Potrzebne ku temu zbyt wielkie środki materyalne i nie ustająca nigdy w gminie szlacheckim niechęć ku możnowładczości zagranicznej, dopuściły tego zaledwie

kilku najznamienitszym rodzinom. Wszakże dokonane przez możnowładnych Małopolan dzieło koszyckie dawało każdemu prawo to czynić. Można nawet powiedzieć, że istotne osiągnięcie upragnionego skarbu, tytułu możnowładnego, ujęło mu największą część idealnej wartości, zubożyło zupełnie względem jego połysku. Lecz dobijano się go zrazu gwałtownie, dobijano się długo. Już Mieczysław Stary zastał dążność do tej pańskiej niepodległości tak silną, że jego walka z możnowładztwem małopolskiem, walka przychylniejsza drobnemu szlachectwu wielkopolskiemu i jego gorącej chęci utrzymania równości z bracią, możniejszą, o stratę korony go przyprawiła. Kazimierz Sprawiedliwy, „oswobodziciel z pęt służebnictwa”, puścił do reszty wodze małopolskim wielmożom, a od czasów Bolesława Wstydliwego, który Klemensowi z Ruszczy nadał „prawo książęce”, aż do czasów koszyckich rozeszło się toż prawo z Małej Polski po wszystkich możniejszych panach korony. Akt koszycki rozciągnął je na całą szlachtę, posiadającą środki urzeczywistnienia litery prawa. Teraz każdy klejnotny posiadacz ziemi „najwyższego” dostąpił prawa. Oprócz nowych błyskotek tytułu komesowego, mitr lub koron na herbie, jakież treściwsze, realniejsze korzyści przynosiło to prawo? Oto każdy niem obdarzony mógł po pierwsze, rozrządzać swobodnie ziemią, majątkiem, któremi inaczej można było dysponować tylko za pozwoleniem książęcym, niezbędnie niegdyś potrzebnem przy każdym zapisie i t. p. Dalej był on, jak ów Klemens z Ruszczy i jak późniejsi Zygmuntowscy panowie, mocen budować sobie zamki warowne, zawierać układy rycerskiej służby z sąsiednimi królami, udawać się z zbrojnemi pociągami zagranicę. W końcu, z wyjątkiem dwóch groszów z łanu, miał on wszelkie prawo do danin i robocizny swych kmieci, nad którymi, podobnie jak tenże Klemens i jak Toporczykowie Kazimierza W., wywierał wszelką władzę sądową.

To ostatnie czyniło najwięcej zysku. W czasach bowiem, kiedy prawie wszystkie występki, nie wyłączając zabójstw, mszczono pieniężnymi karami i kiedy tylko w braku grosza wykonywano karę na ciele, służył wymiar sprawiedliwości za najobfitsze źródło dochodów. Dlatego to ubiegała się on tak gorliwie szlachta wszystkich krajów europejskich. Stawszy się zaś czyjąś własnością, skupia ten wymiar najwyższej sprawiedliwości w swojej nazwie technicznej, w swoim godle sądowym, całą zresztą treść i sumę „prawa książęcego”. W Węgrzech brzmiała ta nazwa lakonicznie: „prawo książęce, to jest ucięcie głowy i kaleczenie członków”. W oznakę też najwyższego usamowolnienia panów węgierskich, pozwalał im król Ludwik stawić u siebie przedewszystkiem „szubienicę i inne narzędzia mąk”. W Polsce nie spotykamy tych barbarzyńskich wyrazów i zwyczajów. Szubienic używano zwykle tylko w sądzie grodowym, starościńskim, wyłącznej wyroczni czterech głównych gardłowych spraw. Do dziedzica polskiego należało tylko niższe, przez sołtysa lub wójta wykonywane sądownictwo, z wyższego zaś tylko zagarnięcie bądź to części, bądź całkowitej główsszczyzny, zawyrokowanej przez sędziego królewskiego. Poznawszy zaś istotę przywilejów i praw, służących usamowolnionej w Koszycach szlachcie, wiemyż, w jakiej technicznej nazwie, w jakim pospolitym wyrazie polskim zamykało się pojęcie tegoż usamowolnienia? Oto w podupadłym dziś słowie—„dziedzie”. Zatarłe dziś, bezważne, jak przerdzewiały brakteat piastowski, podobnie jak jego starszy brat, jak ów „szlachcie chodackowy”, niezrozumiałe już w pierwotnym znaczeniu swoim, wracało ono z Koszyc ciężkiem, świecącym złotem, wracało pełnym prawnego znaczenia i dostojęństwa tytułem. Winniśmy mu tem słuszniej krótką tu wzmiankę, ile, że w tem właśnie słowie tkwi najistotniejsza różnica między szlacheckością polską a szlacheckim zachodniej Europy feudalizmem.

Niedziedziczność, niemożność, a przynajmniej wątpliwość zupełnie wolnego i bezwarunkowego rozrządania majątkiem, była właśnie najcharakterystyczniejszą uciążliwością właściwego feudalizmu. Ztąd wyraz „dziedziczny” oznaczał w Polsce od najdawniejszych czasów, jeszcze pod Bolesławem Krzywoustym, przeciwieństwo feudalności, oznaczał człeka całe wolnego. Główną zaś treścią wszelkich przywilejów wspomnianego tu usamowolnienia możnej szlachty małopolskiej i innej, zaczawszy od Kazimierza Sprawiedliwego, aż do Wielkiego, są właśnie nadania tak zwanem „prawem dziedzicznym”, t. j. wyzwalającym z feudalnej zawisłości. Z tego względu dałaby się chyba stara wielkopolszczyzna przyrównać nieco do surowości feudalnej. Małopolska możnowładność wręcz się jej przeciwiała. Wprawdzie, posiadwszy przywilej wyższej od feudalizmu samowładności, posiadała ona także niektóre feudalne w rzeczy korzyści, jak np. sądownictwo nad podwładną ludnością, stanowiące wistocie jedną z walnych korzyści feudalnej szlacheckości zachodu. Nigdy przecież niższe, zawsze wyższe korzyści nadają charakter i tytuł jakimkolwiek stanowi. Z tej przyczyny umoznowładnionemu w Koszycach „dziedzicowi” ubliżałby wyraz „feudalny”, wyraz „wasal”. Wasalem był względem niego, jak niekiedy już nadmieniano, jego wolno na czynszowej roli siedzący kmiotek, obowiązany do pewnych służb i danin, lecz zbrojny prawem „wstania”. „Prawem dziedzicznym” udostojniony szlachcic, „dziedzic”, widział w tem prawie „książęca” wistocie godność i niepodległość. Nigdy mu przytem nie przyszło pomyśleć o udzielnym książęcym oderwaniu się od reszty szlacheckiej społeczności. Za swoje bowiem lekkie obowiązki względem „korony” pożywał on stokroć cenniejsze łaski. Oprócz innych dobrodziejstw związku społeczeńskiego, miał on np. prawo żądać od korony zaopatrzenia, chleba ziemskiego, ile razy nieprzyjaciel publiczny wyzwał go z włości. Dopełniali

tego królewskiego względem szlachty obowiązku wszyscy późniejsi królowie, dopełniali go i dawniejsi. Jak monarchowie XVII stulecia wygnaną przez nieprzyjaciół szlachtę naddnieprską, tak jeszcze Piastowie zopatrują w podobny sposób wygnaną z dóbr przez Krzyżaków szlachtę dobrzyńską, przenoszącą się z żonami i dziećmi w ziemię krakowską. Wiernie tedy trzymając się całości szlacheckiego narodu, widział każdy zamożny „dziedzic” we wschodzącem z Koszyc słońcu źródło wcale innej, wspanialszej, niż feudalizm, świetności. Tylko u samych stóp społeczeństwa z progu ubogich drobnoszlacheckich zagród Wielkopolski, można było dostrzedz plamy tego słońca. Ogół koronnych „dziedziców”, opromieniony w Koszycach księżącą oświeconością, mógł już teraz w rozochoconej myśli zawołać o sobie słowami Zygmuntońskiego szlachcica: „Polak zawsze wesołym w królestwie swem jest! Śpiewa, tańczy swobodnie, nie mając na sobie niewolnego obowiązku żadnego, nie będąc nic królowi, panu swemu zwierzchnemu, innego winien, jedno to: tytuł na pozwie, dwa grosze z łanu a pospolitą wojnę. Czwartego nie ma Polak nie, co by jemu w królestwie myśl dobrą kaził!”

Z jawnem też zadowoleniem zaczęła szlachta po zjeździe kyszyckim używać przez jakiś czas w dokumentach publicznych tytułu „dziedzic”. Ten sam blask, jakim niegdyś przed zaniechaniem tytułu „komes” świeciła używana w dokumentach formuła: „W obecności niżej podpisanych *komesów*...” opromienił teraz dokumentową formułę: W „obecności *panów dziedziców i szlachty*.” Ci zaś z panów ówczesnych, którzy, jako ludzie uczeni, zwłaszcza duchowni, patrzyli z moralnego stanowiska na obecne przeobrażenie społeczne, rozpoczęte małopolskim aktem ustawodawczym, dokonane zwycięstwem Małopolan w Koszycach, mogli w swoim kosmopolitycznym współczuciu dla nowoczesnego liberalizmu Małej Polski, jakkolwiek przychylnego cudzoziemczyni, a w swojej nie

chęci ku starodawnej surowej wielkopolszczyźnie, jakkolwiek narodowej, pochwalić to przeobrażenie zdaniem i słowami jednego z najznakomitszych Małopolan późniejszych, dziejopisa i kaucnika krakowskiego. Ten, sławiąc skutki liberalnych ustaw wiślickich i spowodowanego niemi napływu liczniejszej cudzoziemczyzny do Małopolski, pisze z radością: „Odtąd królestwo polskie zaczęło zaludniać się przybyszami z Niemiec i innych krajów, i złagodniały umysły mieszkańców Polski, nabywając pojęć sprawiedliwości i słuszności”. Nie próżno więc cieszyła się Małopolska w swoim wyobrażeniu z dokonanej teraz przemiany społeczeństwa. Nie bez przyczyny z radością wracali z Koszyc Małopolanie.

Pomiędzy którą to radością jednych, a smutkiem drugich należy dać jeszcze miejsce uwadze, jak widocznie, mimo wszelkie przechylenie się społeczeństwa ku porządkowi późniejszemu, okazują się jeszcze w dokumencie koszyckim ślady czasów i urzędzeń dawniejszych. Władza królewska ma jeszcze szersze pole działania. Różnica między szlachtą a nieszlachtą nie stała się jeszcze tak stanowczą, jak później. Piastowanie urzędów koronnych nie wymaga jeszcze nieodzownie klejnotu szlacheckiego. Dość jest być rodowitym krajowcem. Pomniejsze zaszczyty i obowiązki, pomniejsze zamki może król rozdawać komukolwiek, nawet niekrajowcom, przybyszom miejskim. Większa część tych rozdarowanych później królewsczych trwa jeszcze w ręku królewskim. Król — jest bogatszym i wszechwładniejszym, lud — bliższym utracouemu później prawu obywatelstwa, a od miast — potrzebnem było nawet osobne przyzwolenie na główny koszyckiego aktu warunek.

Pospołu ze szlachtą dały też celniejsze miasta polskie królowi Ludwikowi roku 1374 przyrzeczenie wierności dla córek. W szczególności miasta Kalisz,

Stawiszyn, Konin, dochowały do niedawna ślady podobnych aktów. Stało się powszechnie zatwierdzoną pewnością, że jedna z córek królewskich posiadzie koronę polską. Lecz która z córek, Marya, czy Jadwiga? to zależało od woli rodziny królewskiej. Tak ona sobie przynajmniej obiecywała. I zanim los z przeciwnym ozwał się głosem, śpieszno było rodzinie andegaweńskiej ucieszyć się osiągnięciem w Koszycach szczęściem domowem. Połączyła się z nią teraz i nasza matka-królowa Elżbieta. Zdało się, jakoby rządy Polski tylko tak długo zajmowały starą dyplomatkę, jak długo akt koszycki przygotowywał się. Skoro on przyszedł do skutku, zdała Elżbieta rządy polskie synowi i wróciła nad Dunaj. Brzmiały Węgry obecnie głośnemi godami swadźby dwóch królewien węgierskich z dwoma Niemcami. Musimy tedy pozostawić powieść naszą jeszcze dłużej za Tatrzańskimi górami. W tej bowiem obcej, węgierskiej stronie rozstrzygają się teraz po koszyckiem upelnocnieniu dworu dalsze losy narodu. A rozstrzygają się jak zwyczajnie w obczyźnie, po obcemu, po cudzoziemsku. O swadźbie królowny Maryi z cudzoziemcem Zygmuntem Luksemburczykiem nie dość dokładnie doszły nas wiadomości. Znamy tylko z blizkiej po zjeździe koszyckim pory list papieża Grzegorza XI do cesarza Karola, pozwalający jego młodszemu synowi Zygmunтови poślubić jedną z córek króla Ludwika, z którą kilkuletni cesarzewicz był już nawet zwyczajem onych czasów połączony pierwszemi śluby. Głośniejszą pamięć pozyskała w kronikach postronnych swadźba młodszej królownej Jadwigi z Rakuszanim Wilhelmem.

Majątek Tawczuny

— — — — —
 — — — — —
 pocztą Kiejdany.

IV. ŚLUBY HAIMBURSKIE.

Rodzina andegaweńska.—Bośniacki dziad Jadwigi.—Misye franciszkańskie. — Polska babka Jadwigi. — Matka Jadwigi.—Dom luksemburski. — Dzieci luksemburskie: Wa-

cław i Zygmunt. — Rodzina rakuska: ojciec Wilhelmów Leopold, matka Wilhelma Wiryda. — Wilhelm czteroletni. — Wczesne frymarki swadziebno. — Wczesna wieloletność. — Zrekwiny luksemburskie. — Usiłowania rakuzkie. — Wesele Jadwigi i Wilhelma w Haimburgu. — Ceregiele dyplomatyczne. — Dwojakość ślubów małżeńskich. — Wesele haimburskie dotycze korony węgierskiej, nie polskiej. — Kontrakt ślubny. — Jadwiga w Wiedniu. — Dwór wiedeński. — Książę Albrecht. — Obraz Wiednia. — Obyczaje klasztorne. — Atmosfera moralna. — Sceny widzenia się Jadwigi z Wilhelmem. — Pieśń poety Suchenwirta o Litwie. — Nowe stwierdzenie ślubów haimburskich. — Wątpliwość.

Nasuwające się teraz opowiadaniu naszemu uroczystości familijne prowadzą nas w rodzinne kółko andegaweńskie. Pierwsze w rodzinie królewskiej miejsce zajmuje siostra Kazimierza W., babka rodziny, znana w Neapolu, w Rzymie, w Awinionie, w Paryżu, w Anglii. U stóp jej królewskiego syna Ludwika, „Wielkiego” wistocie monarchy w Węgrzech, tuli się dwoje maluczkich dziewcząt, pięcioletnia Marya i czteroletnia Jadwiga. Przy nich matka Elżbieta, żałośna jeszcze po niedawnej stracie najstarszej z córek, Katarzyny. Obca dotąd sprawom publicznym i opowiadaniu naszemu, ma ona później spełnić w niej wielce zajmującą, wielce tragiczną rolę. W osobie tej „młodszej” królowej węgierskiej przybywa rodzinie andegaweńskiej drugi promień słowiański, promień dwubarwny, polsko-bośniacki.

Z siostrą króla polskiego, Kazimierza, starszą królową węgierską, Elżbietą, wydaną niegdyś za ojca Ludwikowego Roberta, weszło mnogo polszczyzny do Węgier. W fraucymerze młodej wówczas królowny polskiej znajdowała się między innymi córka jej stryjecznego brata Kazimierza, Gniewkowska, księżniczka Elżbieta, rodzona siostra Władysława Białego. Pamiętna o jej los młoda królowa węgierska, wyswatała ją za księcia, czyli bana podwładnej Węgrom Bośni, na imie Stefan. Z nowopoślubioną księżną bośniacką rozszerzyła się polszczyzna dalej po bośniac-

kich obszarach Słowiańszczyzny. Towarzyszyło tam książnicze polskiej wielu Polaków, między innymi słynny później w dziejach węgierskich młody Ścibor, syn wojewodzica poznańskiego, Ścibora, przybyłego do Węgier z królowną polską, Elżbietą. Polski katolicyzm księżnej bośniackiej nie mało zapewne dopomógł węgiersko-katolickim staraniom o ustalenie łacińskiego we wschodnio-greckiej Bośni obrządku. Przy polskiej żonie, przy zawistości od pobożnych Andegawenczyków, został bośniacki dziad naszej królowej Jadwigi żarliwym katolikiem, hojnym protektorem misyonarzy katolickich, gwałtownym apostołem swoich szymatycznych poddanych. Sprowadzani przez niego do Bośni Franciszkanie staczali z teologami i kałogierami greckimi srogie walki dysputacyjne, i przy pomocy Boskiej, jak doniesienia ówczesne prawią — „zawsze ich zwyciężali szczęśliwie.” Waleczny w tym względzie braciszek, Jan z Arragonii, wyzwawszy przeciwników na „próbę Bożą,” jakoby na pojedynek duchowny, przeszedł zwycięzko przez wielki stos płomienny. Codziennie przybywało owieczek trzodzie rzymskiej, a klasztorów Franciszkanom.

Mimo czego jednak bośniacka nieokrzesaność, *Hisopus bana*, jak Stefan także tytułował się, nie mało zgorszyć może. Przy wieśniaczości katolickiego państwa Polski, przy blichtrze całej tamtoczesnej oświaty, jesteśmy zmuszeni przedstawić naszego bana cerkiewnej Bośni, jako wielce nieokrzesanego prostaka. Jego moralne wyobrażenia pełzały nader poziomo. Posiłkując króla Ludwika przeciwko Raguzanom, dał on się nikiżemnie od nich przekupić i w pół wojny opuścił obóz swego zwierzchuika. Za sromotną klęskę, jaką Ludwik poniósł skutkiem tej zdrady, maszcą się kroniki węgierskie dotąd na Stefanie przydomkiem „Piastun szatana.” W pożyciu z prostaczym Bośniakiem nie mógł także moralniejszy polor polskiej księżny Elżbiety nie zblednąć nieco. Powiła ona mu córkę, także Elżbietą nazwaną, później matkę naszej

Jadwigi. Powinowactwo ze starszą królową węgierską, terażniejszą spólrządczynią Ludwika, zapewniło nowonarodzonej księżniczce bośniackiej fortunną przyszłość. Wzięła ją Ludwikowa matka na dwór węgierski, gdzie młoda księżniczka, wnuka Piastów po matce, czysto katolickie otrzymała wychowanie. Nakoniec, owdowiawszy po pierwszej żonie, pojął ją król Ludwik w małżeństwo, skutkiem czego Elżbieta została „młodą królową Węgier.” Ponieważ między nią a Ludwikiem zachodził czwarty stopień powinowactwa, według ówczesnych pojęć niepoślednia przeszkoda do związku, przeto okazuje się ich małżeństwo owocem nader usilnych życzeń i starań. Należy przypisać je matce królewskiej.

Widać w tem wszystkim przywiązanie naszej siostry Kazimierza W. do Piastowskiej rodziny i do narodowości ojczyściej. To zaś utwierdza nas tem mocniej w wyobrażeniu o polskości matki Jadwigi. Córka Polki, otoczona polskim orszakiem, z religijnych powodów trzymana w oddaleniu od „heretyckiej” ludności Bośni, przez Polaków, mianowicie onego Ścibora Sciborowica, sprowadzona na dwór węgierski, wychowana tam pod okiem polskiej bratanki w gronie polskiego fraucymeru, była ona jawnie nie Bośniaczką, lecz Polką. Z bośniactwa przyłgnęła jej tylko pewna gminność umysłu, pewna surowość charakteru, zdolna posunąć się do srogości. Okaze się to w dziejach późniejszych. Obecnie przestaniemy na przypomnieniu podania, cechującego jej niewielką skrupulatność moralną. Będąc już królową węgierską, odwiedzała Elżbieta jednego razu ciało św. Szymona w Raguzie. Na widok tak dużej i tak cennej relikwi, której każda cząstka, według mniemania wieku, była nietylko pobożnym, lecz nawet i materialnym skarbem, bo najpewniejszą od wszego złego ochroną, zdjęło królowę niepowściągnięte zachcenie jakiejś cząstki świętości. Najprostszą ku temu drogą zdało się tajemne przywłaszczenie sobie przed-

miotu pożądanego. Uszczknęła więc skrycie kawałek palca świętemu i wyszła skromnie z kościoła. Wtem ogarnęły ją nagle mdłości na dworze. Poczytując to za karę grzechu popełnionego, musiała skruszona wrócić swój łup pobożny, a za pokutę przyrzekła sprawić i sprawiła istotnie arcykosztowną trumnę świętemu. Lecz rozgłoszony raz czyn, dowodzący zupełnej niewybredności w wyborze drogi do celu, utkwiał niezmazanie w pamięci ludzkiej.

Na wszelki wypadek nie dosięgała rodzicielka Jadwigi umysłem swoim ani męża Ludwika, ani matki Elżbiety. Czemu przecież bynajmniej nie złorzeczmy. Toż właśnie tej niższości charakteru winna Polska ułatwienie sobie drogi do wzrostu. Gdy bowiem Ludwikowa wyższość moralna pociągała go ustawicznie do polerowniejszej zagranicy, do zachodu, do niemiecczyzny, obyczajowa niższość Elżbiety przenosiła nad to wszystko z niezmiernym dla Polski zyskiem niepolerowane obyczaje mniej ukształconych ludów ówczesnych. Barbarzyniec litewski był jej miłszym zięciem, niż Niemiec o'gładzony. W całym jej późniejszym postępowaniu widzimy Elżbietę nieprzyjaciołką plemienia germańskiego. Za taką miała ją cała Europa. Taką też, gdyby nie Ludwik, moglibyśmy wyobrazić ją sobie w terażniejszym wychowaniu dzieci królewskich. Alec niemiecczyzna Ludwika nie dozwoliła, zda się, Elżbiecie jak na sprawy publiczne, tak też na wychowanie dzieci, żadnego wpływu. Maluczkie królowny miały, według życzeń europejsko-świątłego ojca, wyrosć kiedyś w perły rycersko-romansownej wytwności zachodniej, przeznaczone dla rycersko-romansowych synów dwojga dostojnych domów zachodu. Bóg mu pobłogosławił, lecz dla kogo innego.

Tymczasem w onych domach niemieckich tęskniono równie gorąco do związków z mnogokoronnym tęściem węgierskim, jak król węgierski tęsknił do związków z niemi. Zaczem dopełniwszy sobie obrazu ro-

dziny andegawęńskiej wizerunkiem bośniackiej Polki Elżbiety, wstąpmy teraz w rodzinne koło owych cesarsko-książęcych domów niemieckich.

Na praskim dworze cesarza i króla Karola IV już od lat kilku, jak wiemy, związanym z koroną węgierską negocjacyami o zaślubienie królewicza Zygmunta z Ludwikową córką Maryą, uderza najprzód postać samego ojca-cesarza. Żałujemy, iż brak nam miejsca do skreślenia wizerunku tego osobliwego charakteru, łączącego w sobie najsprzeczniejsze przymioty mędrca wizyonarza, wybornego administratora, lichego teologa, lichwiarza, autora i prawodawcy. Musimy ograniczyć się na wzmiance o stosunku jego rodu Luksemburskiego do Polski. Od czasów czeskiego króla Jana, ojca cesarza Karola, a następcy czeskich i polskich królów Wacławów, mieli się Luksemburczycy za właściwych dziedziców korony polskiej. Król Jan osobiście z orężem w ręku dobijał się przeciw Kazimierzowi W. o Kraków, używając stale tytułu króla polskiego. Podobnież cesarz Karol, jeszcze margrabią będąc, sprzymierzał się z sąsiednimi monarchami ku wspólnemu po bezpotomnej śmierci Kazimierza W. podzieleniu się Polską. Rozsądek lat dojrzałych doradził mu zamienić rolę pretendenta w rolę sprzymierzeńca, a przez poślubienie wnuczki Kazimierzowej, Elżbiety Pomorki, stał się Karol nawet bratankiem i przyjacielem Piastów. Lecz uroszczenia do Polski nie wyszły przeto nigdy z myśli jego rodziny, a każdy luksemburski kandydat do berła polskiego miał pozór dawnego prawa za sobą.

Obok cesarskiego małżonka Karola zdumiewa dorodną budową i dziwną krzepkością ciała jego krakowska małżonka, wnuczka Kazimierza W., matka cesarzewiczów Wacława i Zygmunta. „Gdy jej (przed laty dziesięciu) w Krakowie na weselu przyniesiono nową, grubą podkowę, tak ją rozłomiła, jakoby była z jakiego drzewa słabego uczyniona; potem kuchar-

skie tesaki i inne dość mocne zwijała, jakoby z lipowego drzewa robione były; pancierz wzięwszy, jako koszulę wiotczą od wierzchu aż do końca rozdarła, co było z wielkiem podziwieniem wszystkich książąt i panów." W pobliżu takich rodziców luksemburskich dwoje chłopiąt—czternastoletni Wacław, pasierb Elżbiecin, urodzony z przedostatniej cesarzowej, Anny Szlązaczki, i szesnastoletni, jasnowłosy, nadobny Zymunt, prawnuk Kazimierza W.

Ojciec, cesarz Karol IV, kocha nad wszystko starszego syna Wacława. Nie masz pieśczoły, zaszczytu, starań, któremiby go nie pieścił, nie udostojnił, któremiby nie czuwał nad jego wychowaniem i przyszłością. Co za żal, iż Petrarka nie chciał się podjąć edukacji cesarzewicza! Zato jeszcze w pieluchach ustroił cesarz Wacława tytułem margrabi Brandenburskiego i Łużyce, skutkiem czego niemowlę ku nadzwyczajnej radości ojca przykładano jako współ-przysięgający świadek maluczkie palce do Ewangelii, ma swoją własną pieczęć, utrzymuje w pierwszych dniach życia zapewnioną sobie licznymi dyplomatami oblubienicę, a w trzecim roku życia, wśród uroczystego obrzędu, koronę czeską. Ojciec pisze dla niego pamiętniki, przekazuje mu doświadczenia własnego życia. Cóż za mądry, co za wielki monarcha będzie kiedyś z Wacławem! Wacław, jak wiadomo, wyrósł w wierutnego niedołęgę a tyrana. Dziedzic wszystkich koron ojcowskich, traci on jedną po drugiej. Detronizowany przez Niemców, więziony przez Czechów, umęczyciel św. Jana Nepomucena, zostaje ulubieniec ojcowski nawet z grobu wyrzucony przez Prażan — pastwa wzgardy ludzkiej za życia i po śmierci.

Krakowska matka Elżbieta Ignie więcej do rodzonoego syna, Zygmunta. Widzieć go kiedyś na tronie polskim było oczywiście najmilszem Kazimierzowskiej wuuczki życzeniem. Zbliżyć go do której z Ludwikowych dziedziczek Węgier i Polski, do której

z koron obudwóch, ciążyło obojgu rodzicom równie na sercu.

Takiemiż właśnie życzeniami pałała także księżca para tego z dwóch ówczesnych dworów rakuzkich, o którego swadziebnych z rodziną andegaweńską stosunkach wspomniano już pobieżnie, to jest dworu Styryjsko-Rakuzkiego. Wszelako, jeśli Luksemburgi i Styryjczyki jednakowym w tej mierze oddychały pragnieniem, osobistość obojga rodziców młodego księcia Wilhelma przydawała życzeniom rakuzkim nieskończenie więcej zapału i gwałtowności. W Wilhelmowym ojcu, Leopoldzie, i jego matce, Wirydzie, wrzała dziwnie burzliwa krew. Doznał tego najboleśniej starszy Leopoldów brat, Albrecht, księżę wiedeńsko-rakuzki. Mając starodawnym obyczajem żyć w powszechnej niegdyś familijnej spółności z bratem, zmuszał go młodszy brat coraz nowemi swarami do coraz nowych podziałów, aż wreszcie wymógł na nim zrzeczenie się większej części posiadłości i praw starszeństwa. Łagodny z urodzenia, lecz później ogniem jakiejś „dzikiej lekkomyślności” rozplamieniony, dawał Leopold unosić się do „haniebnych” kroków wiarołomstwa i zdrady, które wtrąciły w przepaść brata, ojczyznę, nakoniec jego samego. W całej historii nie znajdziesz drugiego lekkomyślnika, którego płochość śmiałaby tak poważnych sięgać przedmiotów, tak tragicznie poważne miałyby skutki.

Dla lekkomyślnej przekory bratu chwytą się księżę Leopold strony anti-papieża Klemensa, przeciw któremu brat Albrecht w ówczesnej schizmie kościelnej trzymał z rzymskim, Urbanem VI, co tem większą pociechę przynosiło Leopoldowi, ile że, jak wszyscy księżęta owego czasu, zadłużony niezmiernie, pobierał za swoje odszczepieństwo roczną płacę 120,000 dukatów od awiniońskiego anti-papieża Klemensa. Będąc w ustawicznych konszachtach z nadadryatyckimi miastami, z których mianowicie Treviso oddało mu się w zbrojną opiekę, przysięga Leopold sprzymierzo-

nym Trevizanom „na przenajświętszą Komunię przed wielkim ołtarzem w kościele św. Piotra,” że ich nigdy w cudze ręce nie wyda. Mimo tego, sprzedał ich Leopold później księciu Franciszkowi Karrarze za 60,000 dukatów. „Ale biada ci, książę! — woła za uchodzącym po zdradzie Leopoldem włoski kronikarz Redusio — za Treviso kupiłeś sobie śmierć!” Jakoż sprawdziła się przepowiednia, za dukaty bowiem Karrary zaciągnął książę rotę na blizką wojnę szwajcarską, w której zginął sromotnie. Uwikłany podówczas w sidła jakiejś tajnej miłości, śpieszył Leopold przed bitwą ze Szwajcarami pod alpejską strzechę swojej nowej ulubienicy, „aby w jej objęciach wszelkiego rycerskiego pozbywszy się ducha, niewieścią rozkoszą piany,” rzucić się wkrótce naoslep pomiędzy oszczepy „tłumu chłopskiego” w krwawym wąwozie Sempachskim.

Odurzony zabobonnemi widziadły swojej rozkiełzanej fantazyi, zapalił się był Leopold poprzednio nowym jeszcze zwyczajem wytępiania czarownic i czarowników. I oto wszelkiego wieku dziady i baby płoną na licznych stosach w szczęśliwy początek tego uniwersalnego pożaru, który następnie, po wszystkich sąsiednich rozlany krajach, miał pochłonać krocie ofiar niewinnych. Tą nienawiścią ku czarownicom zjednał sobie ojciec naszego Wilhelma u swoich współczesnych sędziów opinii historycznej najlepszą jeszcze kreskę. Zresztą widzą oni go ciągle otoczonym od ludzi, którzy, według ich zdania, byli małoco lepsi od tych palonych czarowników. Najmilszymi w oczach Leopolda gośćmi państw jego byli żydzi i banicy. Żydów poczytywano naówczas w Niemczech za wyłączną własność skarbu cesarskiego, i nie inaczej, jak tylko za osobnym przywilejem cesarskim mógł ich posiadać którykolwiek z podrzędnych książąt niemieckich. Takim też łaskawym przywilejem cesarza Karola IV wolno było Leopoldowi, ku niemałej zazdrości sąsiadów, utrzymywać u siebie żydów w niemałe

liczbie. Pożądał ich Leopold wprawdzie z tej jedynej przyczyny, aby groźbą stosu płomiennego i wygnania wymusić na nich, jak wówczas w wielu krajach czyniono, wydanie wszelkiej własności, zwłaszcza pieniędzy. Lecz złupionych i nakoniec przecież wygnanych wabiono znowuż do kraju solennemi przeprosinami i najhojniejszymi obietnicami swobody. Łaskę wolnego przechowywania banitów, równie jak żydzi srodze zato zdzieranych, pozyskał Leopold od króla rzymskiego, Wacława.

Nie mniej dziwnym okazał się Leopold w wyborze swojej małżonki, Wirydy. Była ona córką naj-sroższego okrutnika owej epoki, medyolańskiego ty-rana Bernaby Visconti. Nie skończylibyśmy, gdyby nam przyszło opowiadać krwawe czyny tego, według słów bulli papieskiej — „wroga Chrystusowego, nie-przyjaciela Kościoła,” gorszego od prototypu wszelkiej zgrozy i okropności ówczesnej—od Turków. Przypomnimy jedynie, iż ten to dziad naszego Wilhelma kazał podkuwać mnichów św. Franciszka w Medyolanie, „aby, uwijając się skrzętnie po mieście, nóg sobie nie podbijali.” Kobiety średnich wieków nie ustępo-wały w niczem swoim ojcom i braciom. Córkę Bar-naby trudno wyobrazić sobie niegodną ojca i męża. Nie bez powodu musiał ten mąż „dózgonną przyjaźń” z Włoszką Wirydą słodzić sobie ubocznem małżeń-stwem z hrabianką Katarzyną, a gdy i to nie starczyło miłośnemu sercu księżęcia, rozkoszami ustron-nych dolin szwajcarskich.

Wszakże nie była to przyjaźń bezpłodna. Z krwi Medyolanki Wirydy i miłośnika róż alpejskich wypły-nęło czterech męzkich potomków. Najstarszym z nich był nasz Wilhelm, czyli, jak on sam zwyczajnie pi-sze się, *Wilhelm*, nadobne teraz dziecko, które póź-niejszemi czasy umiało podobać się wielu sercom, a między innymi, współczesnemu kronikarzowi niemie-ckiemu i biednej królownie węgierskiej. Zdaje się Wilhelm atoli cokolwiek chorowitym, podobnym w tej

mierze do swego paralitycznego stryja, Albrechta, z której to przyczyny wyrażano się czasem wątpliwie o jego, przysłem zdrowiu i uzdolnieniu. Liczy on w porze układu koszyckiego dopiero czwarty rok życia, tyleż, co królowna węgierska Jadwiga. Zważając na to i przypominając sobie równie dziecinny wiek sześciolatniego Zygmunta, a pięcioletniej Maryi, widzimy w bohaterach i bohaterkach niniejszego swadziebnego rozdziału powieści naszej — zbiór drobnych dzieł. Jest to charakterystyczny rys czasu. Ten w pospolitem mniemaniu jedynie uczuciami honoru i romantycznością wiedziony, za bliższem zaś wpa-
trzeniem się w jego rysy dziwnie przytem zyskolubny, łakomy i lichwie oddany czas, był zdolen frymarczyć wszystkim. Pobożną, łatwowierność pokolenia, wymiar sprawiedliwości, niedolę żydów, wszystko mia-
no tylko za upoważnienie do ciągnięcia korzyści. Nawet powszechne w tym czasie zakładanie akademii było częstokroć tylko pieniężną spekulacją.

Spekulowano więc także losem, przyszłością dzieci. Od pierwszych dni urodzenia syna lub córki ubiegały się uboższe domy książęce o wyswatanie nowonarodzonych dzieł w domy możniejsze, możniejszej zaś rodziny o najkorzystniejsze spożytkowanie swoich poniewolnych z domami uboższymi sojuszków. Gdy po jednym zawartym już układzie nadarzył się widok układu pomyślniejszego, zrywano z bezprzykładną lekkomyślnością związek dotychczasowy, aby równie lekkomyślnie zawrzeć drugi i trzeci. Ztąd przy nadzwyczajnie wczesnem rozpoczynaniu takich frymarków swadziebnych kończono rzadko na pierwszych swatach. Ciekawym przedmiotem takiej wczesności i zmienności swadziebnej jest naprzykład starszy brat naszego Luksemburczyka Zygmunta, późniejszy król czeski Wacław. Zaledwie na świat przyszedł, zaręcza go ojciec, cesarz Karol IV, szeregiem dokumentów z córką bogatego burgrabi norymberskiego,

Fryderyka. W kilka lat później zerwaną swadźbę pierwszą zastępuje świetniejszy związek z synowicą Ludwika Węgierskiego. Po kilku dalszych latach i węgierskie zrękowiny stargane, a w miejsce synowicy króla Ludwika, przeznaczona zostaje małoletniemu Wacławowi jedna z równie małoletnich córek polskiego króla Kazimierza W., dla której to nowej narzeczonej uzyskuje ojciec Wacławów od papieża potrzebną ku temu dyspensę i legitymację królowej polskiej. Ale i ta nowa ugoda ślubna wystarcza za ledwie na jeden rok, gdyż po kilkunastu miesiącach umyślił cesarz dziesięcioletniemu synowi czwarty już w kilku lécich projekt małżeński z księżniczką bawarską, Joanną, uwieńczony nareszcie zawarciem rzeczywistego małżeństwa w latach późniejszych. Ośmielała do podobnej swawoli powszechna łatwość utajenia przed okiem świata nie tylko tak lekkomyślnie zawiązywanych i zrywanych układów, ale w ogólności każdego kroku życia. W jaki sposób cesarz Karol postąpił sobie z rodziną burgrabi norymberskiego, było tajemnicą dworowi węgierskiemu, a krzywda synowicy króla Ludwika i córek zmarłego niebawem Kazimierza polskiego tem łatwiej ukryła się w Bawaryi. Większa dziś jawność każdego czynu nie małym zaiste jest bodźcem do większej skrupulatności w postępach.

Z nałogiem spekulowania losem potomków łączyła się druga okoliczność, t. j. nadzwyczajnie wczesna wieloletność pokolenia. Im nieoświecenijszy wiek, nieokrzesane pokolenie, tem krócej wistocie trwa rodzicielska władza nad dziećmi, tem rychlej następuje usamowolnienie dzieci. Gdzie moralne i naukowe wychowanie nie długiego wymaga czasu, tam fizyczna niezawisłość i pełnoletność wkrótce dojrzewa. Według statutów mazowieckich i uchwały Warteńskiej, zaczyna się „parobkom”, t. j. młodzieńcom, wiek prawny od lat piętnastu, a „dziewkom” już od dwunastu. Wiek panieński między 12 a 14 laty był wła-

śnie tą pożądaną porą, która według radosnych słów młodego króla Francyi, Karola IV, podobiała się najwięcej konkurentom koronnym. Nierzadko przywdziewały zagraniczne królowny jeszcze nierównie wcześniej czepiec małżeński, i wraz ze spótcześniczka naszej Jadwigi, Izabellą francuską, wydaną w 8 roku za króla angielskiego, Ryszarda, były otoczone własnym dworem, obchodziły patetycznie wszelkie uroczystości dworskie, udzielały posłuchań, słowem, odgrywały z wszelką powagą role małżonek królewskich. Natenczas taka w ośmiu leciech poślubiona dama koronna bywała w dwunastym roku—znudzoną już małżeństwem, „żałowała, że poszła zamąż.”

Skutkiem tak powszechnego ducha frymarki i tej wczesnej pełnoletności rozpoczynało się życie daleko rychlej, niż dzisiaj. Jeszcze nawpół dziecinne serca gorzały namiętnością. Tragiczną miłość onych nieśmiertelnych dzieci-kochanków Romea i Julii mieści pierwotne podanie właśnie w te czasy. Głównymi osobami owego krwawego dramatu w Neapolu, odegranego między siostrzeńcem Kazimierza W., Andrzejem, a włoską królową Joanną, były dzieci. Zabity w nim mąż miał lat szesnaście; sprawczyni zabójstwa, żona, czternaście. Owe sieroty Kazimierzowskie, o których wywiezieniu do Węgier poprzednio była mowa, liczyły wtedy najwięcej po 12 i 11 lat życia, a już w 30 lat później, w r. 1401, córka jednego z tych dwojga dzieci, Anna Cyllejka, zaledwie próg dziecięctwa przerosłszy, siedziała na tronie polskim, jako ukoronowana małżonka króla polskiego. Takimiż dziećmi obaczymy później główne osoby dramatu miłosnego na naszym zamku krakowskim. Ztąd i ta drobna dziatwa swadziebna, którą widzimy teraz na Węgrzech u stóp rodziców królewskich, wydawała się oczom ówczesnym nierównie mniej dziecinną, niż naszym. Silono się też zamienić ją coprędzej w poważne pary małżeńskie. Usiłowania luksemburskie były wåtpliwsze od rakuzkich. Po onem w porze

zjazdu koszyckiego danem przez papieża zezwoleniu na małżeństwo między królowną węgierską Maryą a Luksemburczykiem Zygmuntem i po rzeczywistem wówczas połączeniu onych pierwszemi śluby, urywa się chwilowo dyplomatyczny wątek skojarzyn obojga oblubieńców. Tylko z podania kronikarskiego wiemy, że wzmiankowane tu pierwsze śluby miały w pięć lat później przybrać wagę rzeczywistego małżeństwa. Tem ci pewniejsze wiadomości doszły nas o swadźbie rakuzkiego Wilhelma z młodszą królowną węgierską.

Książęta rakuzcy poczytywali tę swadźbę oddawna za żywotną kwestyę swej polityki. Rzeka Dunaj, ta ręką przyrody rozpostarta wstęga ślubna między Węgrami a Rakuzy, wiązała przez dwa wieki koronę rakuzką z berłem węgierskiem, aż nakoniec związała. Toż „w pocie czoła” pracował dom Wilhelmów nad zagnieżdżeniem się na Węgrzech. Zaniedbywano inne obowiązki, aby tylko nie zaniedbać sprawy węgierskiej. Wygłaszane na Trewizańskim rynku listy księcia Leopolda przepraszały mieszczan, iż książę nie przyspieszył im, jak to było zaprzysiężone, ku odsieczy od nieprzyjaciół, ponieważ gwałtowne zakrzątnienie się wyswataniem syna Wilhelma z królowną andegaweńską zmusiło go do zapomnienia o wszystkim innem. Dzięki tej skrzętności familijnej ściszał się rakuzko-węgierski węzeł coraz to cieśniej. W pół roku po onym najpierwszym dokumencie, którym książę Leopold podaje w imieniu swego syna rękę do związku i przymierza zbrojnego, w 5 miesięcy po układzie koszyckim, w mięsopust r. 1375 wydał król Ludwik podobnyż ze swojej strony dokument. Zapewnione w ten sposób zaręczyny miały jak najrychlej uświęcić się zaślubieniem. Lecz dla zbyt dziecinnego wieku narzeczonych trzeba było zaczekać nieco. Nie zdołano zaczekać dłużej, niż do r. 1387, to jest do czasu, kiedy panna młoda i pan

młody będą mieli skończonych już lat — siedem. Natenczas w tymże r. 1387, prawdopodobnie w cztery lata po takiej samej ceremonii między Zygmuntem a Maryą, odbyła się z powodu Wilhelma i Jadwigi wielka uroczystość weselna w rakuzkiem mieście Haimburgu.

W dniach ostatniej pieśni słowika zjechały się rodziny książęce w owem pogranicznym miasteczku. Maluczkiemu państwu młodemu towarzyszył liczny orszak dostojników panów, pomiędzy którymi celował osobliwie znany później w Polsce kardynał Dymitr, arcybiskup strygoński. Weselość wieku sprowadzała tłumy śpiewaków, muzykantów, trefnisiów. Szereg mnogich obrzędów weselnych rozpoczął się aktem ślubnym. Arcybiskup Dymitr „w pontyfikalne szaty przyodzian, związał w kościele parafialnym z przynależną solennością ręce dzieciom obojgu.” Poczem nastąpiła uczta stołowa, a zaraz po niej do późnej nocy — pląsy. Wtedy, zgodnie z powszechnym przy takich przedwczesnych zaślubinach zwyczajem, zaprowadzili rodzice nowopoślubioną parę do komnaty weselnej, i według wyraźnego uwiadomienia w spisany nazajutrz dokumencie, „ułożyli ją obok siebie.” Nazajutrz rozpoczęły się dalsze uczty i tańce, w jakie ów czas obfitował bez miary, a jakie mianowicie przy podobnych rakuzko-węgierskich zjazdach widzimy w częstem oddawna używaniu.

Wszakże ta niewinna uciecha Haimburska stała się powodem długowiekowych obmów. Kazano tam dwojgu siedmioletnim dzieciom uściskać się przed ludźmi, a ludzie uklećli z tego bajkę rzeczywistego małżeństwa. Widząc późniejszemi laty parę Haimburską w dojrzałej już młodości, nie umiano uwzględnić należnie wieku, w jakim ona ślubowała sobie wiarę w Haimburgu. Co tu według ówczesnego zamysłowania w zwyczajach i formach symbolicznych miało być jedynie chwilowym obrazem trwalszej przyszłości, z tego zrobiono piętnastodniowy

przeciąg spełnionej prawdy i obecności. Co się stało nad Dunajem w pogranicznym miasteczku ziemi raskuckiej, to następnie przeniesiono nad wcale inną rzekę, do królewskiej stolicy innego państwa. A że zmyslenie zawsze wielką nad ludźmi zachowywa władzę, więc wierzone święcie ludzkim o Haimburskiej parze powieściom. Z nad Dunaju doszły one nad Wisłę, Wisła zaniósła je do Prus, ztamąd otworzyła się im droga aż za morza dalekie. I po dziś dzień kwitnie w świecie i u nas bajka, wonna zmysłem ludzkim, jak dnia pierwszego.

Zatrzymując się dłużej okiem i myślą nad tą weselną zabawą dzieci, nie można nie ponowić uwagi o gminności całego czasu. W zawiązaniu jednego małżeństwa ileż ceremonij, dokumentów, obrzędów! Naprzód zaręczyny, potem niby-wesele, dopiero po pięciu leciech, jak to ujrzymy zawarowanem w intercyzie, ma nastąpić wesele rzeczywiste. Nasze wyobrażenia o prostocie dawnych pokoleń wyglądają dziwnym przesądem wobec prawdy dziejowej. Prostota czy to w pojedynczych ludziach, czy w całym społeczeństwie bywa tylko wysokiemu stopniowi oświaty dana. Nieokrzęsaność umysłu kocha się w przesadzie i mnogości form, w rozliczności obrzędów i wyrazów, podsycanej wzajemną podejrzliwością prostactwa, a tylko dlatego nie tak płodnej w stopy aktów pisanych, jak czas dzisiejszy, ponieważ bardzo rzadko łączyła się z mądrością pisania i czytania. Pomawiając dzisiejszą dyplomacyę o rozwlekłość, cóżbyśmy powiedzieli, gdyby nam tu roztoczono całe pasmo dyplomatycznej korespondencyi, snowane bez końca w sprawie przedkilkuletnich zaręczyn Zygmunta z Maryą. Co za maskarada najrozmaitszych w niej ról, scen, chytrostek, przyrzeczeń, pośredników i swatów, z których znów każdy, jak np. powszechny całego świata pośrednik, nasz Władysław Opolczyk, doradzca poradnego, otrzymuje w liście wierzytelnym króla Ludwika wymowny tytuł: „nasz rzeczywisty

i prawny prokurator, aktor, faktor, negocyator, poseł i umyślnie wysadzony ku temu syndyk.”

Dziwna zaś wielość różnorodnych scen i obrzędów sprawiała sama przez się, iż każdy obrzęd z osobna miał nader małą wagę i wiarygodność. Ztąd, jak nadmieniono, rzadko kiedy okazały się pierwsze zaręczyny, pierwsze zaślubiny — ostatecznymi. Łada okolicznośćka rozrywała je. Jakoż same ustawy duchowne, uwzględniając czasy i obyczaje, rozróżniały dwojaki stopień ślubów małżeńskich. Pierwszy ślubował małżeństwo przyszłe, drugi obecne. I ten drugi stawał się dopiero pełnoletnością małżonków ważnym. Przy małoletności za nic wszystkie przysięgi. Zerwanie ślubów „przyszłego małżeństwa”, choćby w pełnoletności zawartych, tylko lekką pokutę kościelną pociągało za sobą. Zrywano je też do woli. W słowniku niektórych języków tamtoczesnych po wyrazie „ożenić się”, następował drugi wyraz „rozżenić się”, jak np. u Francuzów ówczesnych *se marier* i *se demarier*. Takim sposobem rozżeniono np. młodego Wacława z dwiema z kolei oblubienicami, rozżenił się młody hrabia de Cantebruge z królowną portugalską. W oczekiwaniu tej możebności, zwano takie przedczesne małżonki przez kilka lat po ślubie nie mężatka, lecz zawsze jeszcze „panną.” Nie tedy zwodniejszego nad podobne uroczystości weselne, nic wątpliwszego nad akt weselny w Haimburgu.

Ale nikogo w Polsce nie obchodziło podówczas, czy ten akt miał kiedyś dotrzymanym być lub zerwanym. Mała Jadwiga była zupełnie obcą myślom Polaków. Przysięgli oni wprawdzie „którakolwiek” z królewien przyjąć na tron ojczysty, lecz wszyscy mieli w myśli starszą królowną, Maryę. Nie inaczej myślał także król Ludwik. Marya to, narzeczona synowi rodu, który oddawna rościł sobie prawo do Polski, miała, według wyraźnej woli ojca, objąć królestwo Polskie. Oblubienica Wilhelma była przeznaczona

na połączyć obie naddunajskie korony. Zapewniają nas o tem wielokrotnie wzmianki współczesne. Zaraz w dokumencie zaręczyn czytamy zastrzeżenie ze strony rodziny Wilhelmowej, iż w razie potrzeby będą księżęta rakuzcy obowiązani użyć Jadwidze pomocy zbrojnej w jej przyszłym państwie, t. j. na Węgrzech, w Sławonii i Dalmacyi, bez najmniejszej wzmianki o Polsce. W późniejszym dokumencie usprawiedliwia Ludwik wydanie Jadwigi za księcia rakuzkiego „pożytkiem i wygodą węgierskich i rakuzkich krajów, szerokiem z sobą stykających się pograniczem”, co, jak ściśle stosuje się do Węgier, tak niema żadnego zastosowania do Polski. Odnośnie do tego słyszymy następnie o pomnożeniu posagu Jadwigi pobliską Węgrom krainą Trevizańską, która do posagu korony polskiej wcale niedogodnym była przyczynkiem. Zresztą poważni świadkowie owych czasów i zdarzeń stanowczo Węgry Jadwidze posagiem dają. Nie dla Polaków przeto, a dla Węgrów rosła Jadwiga, brzmiały gody Haimburskie. Jakoż nie Polacy a Węgrzy, a węgierscy panowie, węgierskie miasta, zaręczają później wykonanie zawartego w Haimburgu układu małżeńskiego, „jako dla krajów i ludu ubudwóch skojarzonych państw nader dogodnego, pożytecznego i zaszczytnego.”

Zakończono zjazd Haimburski spisaniem w dzień św. Wita, dnia 15 czerwca r. 1378, dokładnej intercyzy. Na mocy tejże, wyznaczył król Ludwik swojej córce posag w sumie 200,000 czerw. złotych, do wypłaty za lat 4, t. j. po skończeniu 12 roku panny i spodziewanem wówczas rzeczywistem dopełnieniu małżeństwa. Nawzajem księżę Leopold przyrzekł był niegdyś w imieniu syna wypłacić Jadwidze wiano w sumie 300,000 czerw. złot. Teraz jednakże umniejsza mu Ludwik też sumę do porównnej z sumą posagową ilości. A gdyby ustanowione kwoty nie mogły w oznaczonym terminie wypłacone być gotowizną, natenczas mają obiedwie strony uiścić się z nich wza-

jemnem zabezpieczeniem sobie rocznej intraty 200,000 czerw. złotych, obliczonej według zwykłej wtedy stopy procentowej 10 od 100, a mającej pobierać się z dóbr książęcych w obudwóch krajach. W razie śmierci któregokolwiek z dwojga małżonków, przypada cała suma 400,000 temu z obojga, które pozostanie przy życiu. W przypadku śmierci Wilhelma i Jadwigi, odziedzicza całą sumę rodzina tego z obojga narzeczonych, które później zejdzie ze świata.

Pewniej niż ten dokument, zabezpieczało rodzinie rakuzkiej Jadwigę i koronę węgierską dalsze Haimburskiego zjazdu następstwo. Oboje narzeczonych mieli rodzice wydać sobie wzajemnie, jakby w zakład, na zamieszkanie z osobą w oddaleniu od swoich. Skutkiem tego siedmioletni chłopczyzna Wilhelm wzięty został na wychowanie do Budy pod nadzór króla Ludwika. Siedmioletnią zaś Jadwigę uprowadzono z Haimburga w przeciwną stronę do Wiednia. Wilhelm miał oswoić się z obyczajami węgierskimi, Jadwiga z niemiecczyną. Główne osoby dworu węgierskiego, na którym teraz przebywać miał mały Wilhelm, są nam już znane. Jakiż przeciwnie widok, jakie codziennego życia obrazy przedstawiało nowe miejsce pobytu, ówczesne miasto wiedeńskie, dziecięcemu oku Jadwigi? Jakimi pierwszemi, najranniejszemi wrażeniami mogła przesiąknąć jej dziecięca dusza w tym nowym świecie? Pójdźmy tam za nią.

Dwór rakuzki był właśnie widownią najgorętszego swaru bratniego. Książę Leopold, rozzuchwalony ścisłym związkiem z dworem węgierskim, brał coraz śmielej górę nad starszym bratem, Albertem. Naprzekór temuż bratu wchodził on w coraz serdeczniejszą zażyłość z antipapą Klemensem Awiniońskim, bez względu na brata zagartywał wyłącznie dla siebie wszelkie domowi austriackiemu przeznaczone łaski nowego króla niemieckiego Wacława, i z nie-

zmierną szkodą brata zmusił go r. 1379 nanowo do nierównego podziału ziem rakuzkich. I to wszelako nie uczyniło mu zadość. W trzy miesiące ujrzał się Albrecht w konieczności przyzwolić na nowy podział. Tym ostatecznym zamachem upadła z gruntu zwierzchność starszego brata. Leopold miotał się odtąd bez żadnego hamulca z jednej rycerskiej burdy w drugą, a dobroduszny Albrecht poprzestał na cichem domowym życiu w Wiedniu.

Dziecinne serce bawiącej tamże Jadwigi miało w stryju Albrechcie wielce zajmujący przedmiot zabawy i przywiązania. Wysoki, „jak wszyscy Habsburgowie”, powolny, cokolwiek jękający się, lecz żartobliwy i krotofilny, wzbudzał on powszechnie spółczucie i zaufanie. Uwolniony od trosk zwierzchniego panowania, bawił się Albrecht ulubionem gwiazdarstwem, budował sobie przepyszny pałac w Laxemburgu, zakładał tam kosztowne wodociągi, rybniki, zwierzyńce, i z zielnikiem Palladiusa w ręku sadził własnoręcznie w nowym ogrodzie laxemburskim rozmaite rośliny, albo heblował bardzo misterne deski i deseczki, wyśpiewując godzinki. Niekiedy przez długi czas nie widać było wcale księcia Albrechta. Natenczas przesiadywał on na dewocyi w pobliskim klasztorze Kartuzów, śpiewał z nimi co poranku na chórze, nie pozwślał nazywać się inaczej, jak tylko „braciszek Albrecht.” Ale biada kacerzom i żydom, gdy ksiązę wyszedł z klasztoru. Na jego pobożny rozkaz spędzano z całego kraju podejrzane w wierze osoby, których trybunał inkwizytorski pod przewodnictwem celestyńskiego mnicha, Piotra, skazywał w jednej części na stos płomienny, w drugiej na wieczyste więzienie, w trzeciej na oznakę przyczepionego do sukni krzyża. Wszakże ani ta gorliwość religijna, ani owo budownictwo laxemburskie, ani rzetelne nawet zasłużenie się krajowi odnowieniem i wyposażeniem akademii wiedeńskiej, nie zwracały na się tyle uwagi, co inna mniej ważna osobliwość. Albrecht,

mędrszy i skromniejszy od innych, brzydził się ulubionym owego czasu zwyczajem trefienia długich kędziorów. Nie chcąc przecież zupełnie ostrzygać włosów, zgartywał je w jeden warkocz, przyobleczony barwnym woreczkiem i zwisający na plecach, albo na piersi. Niezwyczajność ta zaszczycała go osobnym przydomkiem „Albrecht z warkoczem”, i przeszła później na syna, Albrechta IV, wiernego naśladowcę mody ojcowskiej. To dało początek harcapowi.

Zresztą nie mogła cywilizacya naddunajskiego zachodu budować młodocianej Jadwigi. Wiedeń ówczesny, podobny w tym względzie do większej części miast średniowiecznych, był siedliskiem niemoralności. W jakże szpetnych obrazach odbijają się obyczaje miejscowe w zwierciedle pamiętników ówczesnych! Ograniczymy się na obrazku, którego przeznaczenie i twórca nie dopuszczają najmniejszej wątpliwości o prawdzie rysów. Kreśliła je dla cesarza z domu książąt Rakuskich ręka papieża Piusa II. Powtórzmy go tu bodaj w małym ustępie, o ile dzisiejsze oczy i uszy znieść go zdołają. „Domy i mieszkania — mówi Eneaszy Sylwiusz — bywają w Wiedniu bardzo przestronne. Parniki zastępują miejsce pokojów, nazywanych od tego *stube*. Tym bowiem sposobem łagodzą krajowcy srogość zimy. W oknach szklane lśnią szyby. Drzwi najczęściej z żelaza. Ponad drzwiami świegoce mnóstwo ptaków... Co próg, to szynk. Gdyż wino w domu sprzedawać niczyjej nie ubliża zacności. Ztąd prawie wszyscy mieszczanie utrzymują gospody winne. Ogrzawszy swoje sztuby, przyrządzają gospodarze jadło i trunki i zwołują opalców i rozpustników obojej płci. Aby goście więcej pić mogli, dają im darmo przekąski, lecz umniejszają za to miarki napoju. Gmin miejski myśli tylko o brzuchu. Żarłocny, cokolwiek zapracuje przez tydzień, to wszystko przeje w niedzielę. Motłoch uliczny — obdarty i niesforny... We dnie i w nocy staczają się po ulicach krwawe

bitwy, jakby śród wojny... Rzadko święto obejdzie się bez mordu. Jest w Wiedniu także bardzo wiele kobiet, które się z tego utrzymują, iż niemilych żonom mężów sprzątają trucizną z tego świata. Nierządu co niemiara... Największa część panien idzie zamaż bez wiedzy ojców."

Skutkiem tego bywała liczba włóczęg niewieścich tak obfita, że musiano urządzać dla nich osobne zakłady poprawcze przy klasztorach. Tam poniewolne, pokutnice wyśpiewywały hymny kościelne, a którą schwymano na powrocie do grzechu, ta natychmiast w Dunaj wrzucona, tonęła. Swawola niewiast wiedeńskich psuła nawet sławę akademii wiedeńskiej. Powszechną bowiem rozpustę uczniów wiedeńskich kładziono głównie na karb rozpasania kobiet tamtejszych. A że to zepsucie nie ograniczało się tylko na sferach niższych, najlepszym tego dowodem owa cesarzowa Barbara, matka i powinowata wielu księżen i książąt. „Tę szlachetnego rodu, lecz bezecnego życia niewiastę — opowiada nasz poważny dziejopis — często mąż Zygmunt na gorszących miał uczynkach. Ale, sam grzesznik, musiał przebaczać grzesznicy. Bo i dla niego było niczem łamać przysięgę. Barbara zaś...” Od mieszczkańskiej więc sztuby aż do najwyższych sfer wiało toż samo powietrze zepsucia.

Możemyż sobie zataić, że i mniemane ustronia pobożności, klasztorne przybytki żeńskiej edukacji ówczesnej, uległy wpływowi powszechnej niemoralności? Przybierała ona tylko łagodniejsze w tych miejscach barwy. Czasami towarzyszyła jej wcale humorystyczna naiwność wieku. Doznawali tego niekiedy z niebezpieczeństwem życia ówczesni wizytatorowie klasztorów naddunajskich. Posłuchajmy, powieści jednego z nich. Obchodzi on nas tem bliżej, ile że urodzony na Spiżu spędził w Krakowie lata młodości i z wielką przyjemnością przypomina sobie te czasy. Jest to późniejszy opat wiedeńskiego klasztoru Benedyktynów, Marcin, lubiący nawet z Wiednia dowiady-

wać się w latach podeszłych o swoje dawne znajomości krakowskie. Przypadł mu być obowiązkiem zwiedzania i reformowania domów zakonnych w ziemi rakuzkiej. A nie myślmv bynajmniej, jakoby nasz O. Marcin miał być rygorystą, ascetykiem. Opowiada on sam o sobie, iż głównie dlatego nie wstąpił do słynnego klasztoru benedyktyńskiego w Specu, lecz wstąpił do wiedeńskiego, ponieważ tam w Specu „obserwancya jest zbyt uciążliwa, t. j. nie mają zwyczaju sypiać znowu po jutrzni... Słyszałem zaś — prawi zacny opat — że w klasztorach rakuzkich wolno sypiać od jutrzni aż do primy... Słodko mi więc było zostać tu posługaczem przy kuchni, myć rąde, nosić drwa i t. d.”

Owóż, zwiedzając klasztory żeńskie, nie chciał opat Marcin tyranizować nikogo. Zwłaszcza, że już w jednym z klasztorów męzkich panowie wizytatorowie, zagrożeni w ciągu pertraktacyi niezbyt świętobliwym chórem mnichów: „Zbijmy ich” — „zaledwie przy pomocy Boga miłosiernego” cało żywot unieśli. Siostry pobożne okazały się posłuszniejszymi. Gdy od nich zażądano wydania różnych niby-narzędzi nabożeństwa, właściwie zaś cacek próżności, przyborów elegancyi duchownej, jak np. różańców koralowych, krzyżyków ozdobnych, medalików świecących, składały je panny na ołtarzu reformy. Lecz zażądanych czerwonych złotych, które, jako rzecz zabronioną ludziom zakonnym, chciało odebrać mniszkom, „nie mogliśmy się doszukać” — użala się wizytator. Przecież mimo wszelką wyrozumiałość i pobłażliwość, nie można było nawet z mniszkami uniknąć niebezpieczeństwa. W klasztorze św. Jerzego znaleźli wizytatorowie niezbyt swobodne obyczaje. Siostry nie zachowywały wcale klauzury, przyjmowały odwiedziny u okien i t. p. Należało koniecznie zaradzić złemu. „Przyłożywszy więc rękę do dzieła, zaczęliśmy... fórtv ściślej przymykać i niektóre okna zamurowywać”. Wtem dzieje się gwałt niezmierny. Szlachta okoliczna, mająca

jużto w zakonie, jużto na wychowaniu swoje córki i „przyjaciółki” w klasztorze, usłyszawszy o zamierzonym nowatorstwie reformacyjnym, podniosła rokosz przeciw wizytatorom. „Jaktol — wołano zewsząd — te mnichy chcą więzić nasze córki i nasze siostry. Przez Bóg żywy! Nie dopuścimy im tego!” Musiano tedy wchodzić w układy.

Tak dalece zwolniła wszelka surowość moralna. Nawet wychowawcze wyobrażenia rodziców przesiąknęły powszechną miękkością obyczajów. Dzisiejszy przymus edukacyjny zdałby się był ówczesnemu światu, jak jeszcze i dzisiejszemu prostactwu, bolesnem udreżaniem dziecięcia. Nie można więc nie przypuścić, aby i ten przybytek wiedeński, w którym nasza Jadwiga przez lat kilka „d w o r s k i e pobierała wychowanie”, był nad swój wiek ponurym i surowym. Powszechna zaś swobodność wyobrażeń rozwijała bardzo wczesne i nadzwyczajnie bujne życie zmysłowe. Ztąd i Jadwiga nasza, dziewczynka, która później w 15-ym roku życia umiała z toporem w rękę torować sobie drogę do oblubieńca, nie mogła w ósmym roku życia być bladym, posępnym kwiatkiem. Niechże, jak to się stało, w tak zmysłowo zapalne serce wpadnie skra namiętności!

Poskramiała ją tylko pobożność wieku. Mimo swoją światowość i wesołość, płonęły one czasy nader gorącą pobożnością. Nie chciejmy upatrywać w tem sprzeczności. Ten sam młodzieńczy ogień uczucia, który niekiedy podzegał wybuchy namiętności, rozpląmniał także każde wzruszenie religijne. Spotęgowana zaś tym sposobem pobożność bywała w stanie złamać każdą namiętność. Stwierdziło się to później na naszej wychowance wiedeńskiej. Córka ojca tak dalece bogobojnego, iż przed śmiercią pragnął przywdziać habit zakonny, nawykła Jadwiga równie wczesnie do zwyczajów i uniesień pobożnych, jak i do przedmiotu swojej późniejszej miłości. Mało kto umiał

później kochać goręcej od niej, mało kto był już w latach dziecięcych tak bogobojnym, jak ona.

Wilhelm nadbiegał często z Węgier do Wiednia. Niekiedy zdarzało się młodemu księżęciu powracać z Wiednia na dwór węgierski w towarzystwie Jadwigi. Każde jego przybycie ze stolicy węgierskiej radowało Jadwigę, jako zarazem wieść od rodziny. W taki sposób z ujmującą powierzchownością łączył w sobie młodzian rakuzki jeszcze powab posłannika z domu rodzicielskiego, towarzysza dzieciństwa. Tyle pobudek przywiązania czyniło każdą chwilę widzenia zię obojga ślubnych dzieci sceną serdecznego wesela. Pozbawieni bliższych w tym względzie wiadomości, nie możemy powściągnąć się od skreślenia tu jednej z prawdopodobnych scen ich pożycia. Dajemy w niej udział trzeciej, nowej wcale osobie ówczesnej, nadwornemu poecie wiedeńskiemu, Suchenwirtowi. Należał on do najzacniejszych charakterów tamtoczesnego dworu książąt rakuzkich. Jednocześnie rycerz i śpiewak, daleki schlebającemu dworactwu, śmiał Suchenwirt z rozsądkiem światłego umysłu, z odwagą prawdziwego natchnienia, śpiewać poróżnionym braciom rakuzkim: „Książęcy bracia w dłoni dłoń! Poswarkom od was zasię! Wyrzucicie z serc podziałów myśl! Bo rychło po niewczasie!..” Świadom mnogich krajów i ludów, bawi on naszą parę młodzieuchną powieściami o dalekich ziemiach pogańskich.

Oto właśnie przed kilku laty, w roku 1377, podjął był książę Albrecht, jako gość i spółwojownik Krzyżaków, rycerską do litewskich krain pielgrzymkę. Suchenwirt towarzyszył wyprawie w najodleglejszą głąb pogańszczyzny, po Rosienie i Ejsagołę. Za powrotem do domu opisał poeta rymem niemieckim wszystkie dziwy krucyaty nadniemeńskiej. Płonie on jeszcze zapałem niedawnej kompozycyi poetycznej. Proszony o pieśń rycerską uderza z ochotą w lutnię, wtórzając zwyczajnie deklamacyi. Mali kochankowie oczekują ciekawie pieśni. Rycerskiemu pacholeciu

Wilhelmowi, jak każdemu młodzieńcowi onego czasu, była pieśń rycerska najmilszym pokarmem duszy. Jadwiga wzrosła także w czci pieśni, czci pieśniarzy. Zapewniają nas o tem względy łaskawe, jakie później siostra jej Marya w chwilach smutku i nieszczęść okazała włoskiemu poecie, Laurencyuszowi de Mooacis. Żegnając go po kilkudniowej znajomości, zobowiązuje szesnastoletnia królowna Marya oczarowanego jej wdziękami poetę do romantycznej posługi, t. j., aby jej losy i nieszczęścia przekazał w pieśni pokoleniom potomnym. W jej siostrze Jadwidze, przyszłej odnowicielce akademii krakowskiej, nie mniej zapewne przychylne poetom było serce. Z radosnem więc upragnieniem słuchają dziecienni małżonkowie powieści Suchenwirta.

Poeta śpiewa naprzód o szumnych przyborach do wyprawy, o rycerskiej biesiadzie na granicy pogańskiej. Książę Albrecht i mnodzy dostojni wojownicy otrzymują pasowanie rycerskie w ziemi pogańskiej. Jakże ponuro od świetnego obrazu tych chrześcijańskorycerskich uroczystości odbijają w dalszej powieści dzikie obrazy pustynnej Litwy i jej mieszkańców „Saracenów!”... Obudzone temi opisami wrażenia przybierają w wyobraźni naszych młodocianych słuchaczy jeszcze więcej mroku i grozy, gdy Jadwiga przypomni sobie opowiadania babki Elżbiety, albo własnego ojca, Ludwika, o srogości niedawnego napadu Litwy na ziemie polskie i toczonych przed niewiele laty bojów z pogaństwem nadniemeńskim. Dreszcz trwogi tajemnej przejmuje serca dziecinne. Cóż, gdyby oto w tej chwili stanął nagle pomiędzy kochankami władca tych „Saracenów”, okropny książę pogański!..

Dla uśmierzenia postrachu opisuje śpiewak dalej w tonie wesołym napad na sioło litewskie, w którym właśnie odprawiano gody weselne: Nieproszeni goście chrześcijańscy uderzają zajadłe na bezbronną gromadkę družbów i družek wiejskich. Fanatyzm religijny przygłuszył serce poety wiedeńskiego. Opo-

wiada ze śmiechem jak w oka mgnieniu wymordowano sześćdziesiąt osób rzeszy weselnej, zapewne i oblubienica z oblubienicą — jak pozostałą resztę wzięto z sobą w niewolę, a w końcu zapalono strzechy sielskie ponad trupami. Uprowadzone w trokach matki z dziećmi wsadzało rycerstwo chrześcijańskie dla krotochwili na koń „bez ostróg”. Innych poprzywiązywano łykami do długich żerdzi i pędzono przed sobą, „jak psy na sforze...” Nie przeczuwali nasi drobni słuchacze, iż za krwawe przerwanie ślubnych godów w ubogiem siole litewskim wrogi książę pogan litewskich rozerwie kiedyś daleko świetniejsze zaślubiny, daleko przywiązane do siebie serca...

Jakby dla tem pewniejszego zabezpieczenia przedkilkuletnich ślubów w owem pogranicznym mieście Haimburgu od wszelkich na przyszłość niebezpieczeństw, stwierdzano je coraz nowemi dokumentami. We dwa lata po ceremonii haimburskiej wydał król Ludwik wraz z matką i małżonką uroczyste księciu Leopoldowi zaręczenie, iż dotrzyma układu. Obwarowany podpisami trzydziestu kilku współporęczających „kardynałów, patryarchów, arcybiskupów, książąt, hrabiów i panów”, przyrzekał ten dokument rodzinie książąt rakuskich, że „natychmiast po dojściu do lat dwunastu (czyli, mówiąc słowami jednego z poprzednich dokumentów, „w lat pięć po roku 1378”) zostanie Jadwiga wydana księżęciu Wilhelmowi, aby oboje mieszkali z sobą pospołu i żyli po małżeńsku według sprawiedliwości i obyczajów św. Sakramentu małżeństwa.” Umówiona suma posagowa będzie na wszelki wypadek wypłaconą. Co wszystko spółzaręczyli jeszcze w następnym roku 1381 mieszczanie ośmiu najcelniejszych miast tego kraju, któremu, według pierwotnej myśli rodziców, panować mieli poślubieńcy haimburscy, t. j. węgierskich.

Wisiął jednakże jakiś cień niechęci nad tem małżeństwem. W dokumencie onego zaręczenia króla

Ludwika znajduje się złowrogie zastrzeżenie, iż rodzice mają wszelkimi siłami ozuwać nad tem, „aby Jadwiga nie dozwalała nikomu odwozić się i odstępczać jakimkolwiek sposobem od małżeństwa z Wilhelmem” — aby żadne papieskie, ani cesarskie ekscepcye nie miały miejsca w tej sprawie. Byłże to tylko nadmiar nieufności ówczesnej? Alboż ścigało się to może do owej polsko-bośniackiej niechęci ku zięciom i jobyyczajom niemieckim, która istotnie w lat kilka przywiodła królowę węgierską Elżbietę do tak niespodziewanego odwiedzenia córki od związku z księciem rakuskim? Okoliczności zgadzają się z tym domysłem. W rok po weselu haimburskiem obdarzyła matka Jadwigi papieża Urbana VI bardzo bogatą tyarą i całą resztą stroju pontyfikalnego, wartującemi razem 20 tysięcy czerwonych złotych, bardzo znaczną podówczas sumę. Nie byłż to raczej środkiem ujęcia sobie łaski papieża na wypadek potrzeby rozwiązania małżeństwa, niż zwyczajną ofiarą pobożności? Sam papież Urban VI nietylko był gotów dać dyspensę w razie potrzeby, lecz zapewne najgorliwiej nad rozerwaniem rakusko-węgierskiego związku pracował. Pojmiemy to z łatwością, przypomniawszy sobie przymierze Wilhelmowego ojca Leopolda z awiniońskim antypapieżem, Klemensem VII-ym. Właśnie w tych latach (1379 i 1380) związali się obaj najściślejszym węzłem przyjaźni, zapewniającym Leopoldowi ze strony Klemensa VII coroczne wsparcie pieniężne. Toć wzmiankowane powyżej zrzeczenie się „wszelkich ekscepcyj papieskich” ze strony króla Ludwika dąży wyraźnie do ubezpieczenia ksiąźęcia Leopolda od wrogich chęci rzymskiego papieża Urbana, którego w całej wscho-dniej Europie uznana powaga i wszechwładza, pospołu z nieprzyjaznem dla Niemców usposobieniem młodszej królowej węgierskiej, matki Jadwigi, wisały zawsze mieczem zagłady nad miłością naszych oblubieńców haimburskich.

Darowana przez królowę Elżbietę tyara służyła

długo papieżom. Przechowywały ją najstaranniej ręce lichwiarzy. „Gdyby nie oni — donosi ówczesny sekretarz kilku papieży — byłaby mitra węgierska dawno zginęła”. Ale częstemi zastawami bezpiecznie w skrzyniach lombardów spoczywając, uniknęła ona wszelkiego szwanku i wróciła szczęśliwie do właścicieli. Nam zaś po tak długiej gościnie w ziemiach węgierskich i rakuskich czas już wrócić napowrót w strony ojczyste. Miały się one nierównie gorzej w ręku namiestników króla Loisa, niż tyara jego małżonki pod zamknięciem wierzycieli papieskich. Po pieczołowitych rządach Kazimierza Wielkiego przyszła na nie kolej opuszczenia od króla, ucisku od sąsiadów drapieżnych, srogiego nieładu we wszystkich sprawach publicznych. Nim w ciągu dalszego opowiadania wyjaśni się nam widnokrąg, należy przypatrzeć się temu mglistemu przedjutrzu niespodziewanie pogodnego zarania.

V. BEZRZĄD.

Powszechna zamieszka. — Festyny na zamku krakowskim — Władysław Biały. — Napad Litwy. — Rozruch węgierski. — Spotwarzanie Elżbiety. — Jej wyjazd i testament. — Wyprawa Ludwika na Litwę. — Weeleńie Rusi Czerwonej do Węgier. — Apostołowanie Władysława Opolczyka i Ludwika. — Tryumfirowanie. — Zawisza wicerejem. — Objazd sądowy tryumfirow. — Wyprawa przeciw Bartoszowi z Odolanowa. — Uciążliwy wymiar sprawiedliwości. — Powszechna narzekania. — Śmierć biskupa Zawiszy. — Wyprawa Zygmunta na tron polski. — Śmierć Ludwika. — Zjazd w Małopolsce i Wielkopolsce przyjęty. — Zjazd z W. Mistrzem niemieckim.

Głośno było po układzie koszyckim w Krakowie, w całej Polsce. Królowa Elżbieta, wróciwszy wkrótce do stolicy nadwiślańskiej, ucztowała szumniej

niż kiedykolwiek. Biesiadnemu gwarowi zamku krakowskiego wtórzyła tłumna uciecha tryumfujących Różyców i przyjaciół królewskich. Z odgłosem radości dworu i możnowładztwa małopolskiego mieszał się okrzyk wojny Władysława Białego na Kujawach i poszczek zbrojnych najazdów Wielkopolan na sąsiednich panów niemieckich, na Wielkopolskę. Temu wszystkiemu towarzyszył jeszcze loskot napadu Litwy na pogranicze nadwiślańskie. I owo rozbrzmiała wrzawa powszechna, w której festyny Elżbiety, swawola Kurozwękich, krwawa łuna wojny kujawskiej, ucisk ludu wielkopolskiego od cudzoziemczych i krajowych najeźdźców, gwałt węgierski w Krakowie i gwałt litewski nad Wisłą, zamieniły resztę lat panowania wielkiego administratora Ludwika w widowisko niezwyčajnego bezładu. Wszczęte od wypadku w Koszycach, nad którym większa część narodu ubolewała, jako nad klęską dobra pospolitego, przybiera to widowisko coraz smutniejszą barwę, a w końcu zamyka się wypadkiem, podającym wistocie cały naród ostatecznie w moc zwycięskiej cudzoziemczyźnie, w niebezpieczeństwo zupełnego wynarodowienia.

Najmniej zasmucającem zjawiskiem były osławione tańce na dworze królowej Elżbiety. Nie płażała ona sama. Dla niej inne były zabawy. Fundatorka wielu klasztorów w Węgrzech, zajmowała się stara królowa i w Polsce również pobożnemi dziełami. Pozostała po niej fundacya drugiej prebendy przy kaplicy Maryi Panny Egipskiej, w tak zwanym Gródku, czyli „muiejszym zamku” krakowskim; pozostała dotacya klasztoru i kościoła na Skalce, połączona z obowiązkiem corocznych eksekwii za duszę donatorki; pozostała osobliwie kosztowna trumna św. Stanisława, sprawiona przez królowę, cała ze srebra polćacanego, na sześciu srebrnych aniołach wsparta, 362 grzywien waząca. Owszem, myśląc raczej o śmierci przykłađnej, niż o płażach, przybrała pobożna Elżbieta trzeci stopień reguły św. Franciszka z przywiązanym za-

pewne do tego strojem i obyczajem. Niepodobna tedy wierzyć obmowom, i w matronie życia takiego widzieć dzieciennie płochą staruszkę. Tak jednakże namiętnie wesołym i zabaw chciwym był świat ówczesny, że sama królewska tercyarka św. Franciszka nie miała serca wymagać tego, aby jej liczny i świetny orszak dworski odmawiał sobie dla niej rozrywek. Idąc więc za przykładem całej płasającej podówczas Europy, dozwala królowa młodzieży dworskiej pisać w swej obecności. Toć nie gorszego nie zdołano powiedzieć o niej. Kanclerza Zawiszy, który, według niegodnej obmowy Wielkopolan, a właściwie jedyne-go wielkopolskiego nieprzyjaciela Elżbiety, kronikarza Janka z Czarnowa, miał doznawać nader poufnych względów staruszki, pragnęła ona „pozbyć się” z pobliża dworu swego. Po tańcach zaś następowała codziennie najprzykładniejsza pobożność. A pozostawiało wtedy jeszcze dość czasu dla niej. Gdyż owe piasy i krotchwile odbywały się pospolitym w całej Europie zwyczajem między porannym obiadem a wczesną wieczera. Tylko przy wyjątkowych uroczystościach tańcowano nie długo po wieczery. Powszechnie udawała się natenczas stara królowa do samotnej modlitwy. „Wystrofowawszy” Zawiszę za świeżo popełnione płochości, otwierała sędziwa kobieta jeden ze swoich mnogich brewiarzów, i świadoma sztuki czytania, modliła się z niego do późnej nocy.

Zresztą, jakże często, jak srodze bywały te uciechy na zamku krakowskim przerywane! Nim się jeszcze zaczęły, przybył im dziwnej postaci wróg, mieszający przez dłuższy czas nietylko swobodę rozrywek dworskich, ale nawet spokojność całego kraju. Był to jeden z najgłośniejszych awanturników swego wieku, niegdyś księżę na Gniewkowie, Władysław, przezwaniam Biały, dziś zarazem rycerz i mnich, zarazem miły Polakom Piast i szalenie przeciw swoim srożący okrutnik, najbliższy koronie polskiej dziedzic, a śmiertelnych ich nieprzyjaciół pobratym.

Przebijająca na dnie tego wszystkiego zczudoziemczalność charakteru i życia poda nam w innym miejscu sposobność do bliższego rozpatrzenia się w szczegółach dziwacznej historii Władysławowej. W obecnym ustępie widzimy byłego księcia na Gniewkowie zbiegłym z francuskiego klasztoru mnichem, który z orężem w rękę dobija się na królu Ludwiku utraczonej ojcowizny kujawskiej. W samej porze zjazdu koszyckiego stanął on samoczwart w Wielkopolsce, i otoczony tam natychmiast zgają stronników i napływających zewsząd włóczęgów, opanował z nimi podstępem w dniach niewiele główne zamki kujawskie: Włocławek, Gniewków, Złotoryę i Szarlej. Równie atoli prędko spostrzegli się Kujawianie na niewielkiej wartości umysłowej i jeszcze mniejszych siłach orężnych nowego pana, a nadciągnięcie liczniejszych hufców starościńskich pod jeneralnym starostą Sędziwojem z Szubina zniewoliło ich w jesieni roku 1374 do odstąpienia księcia Władysława. Opuuszczony od swoich, przebiedował całą zimę w pogranicznym zamku jednego z druhów niemieckich, aby około żniw nanowo spróbować szczęścia. Jakoż wistocie pod jesień r. 1375 powiodło mu się również szczęśliwemi fortelami opanować znów kilka zamków kujawskich, w których zdołał nawet utrzymać się przez całą zimę następną. Dopiero po długo z nich rozsiewanym postrachu, mianowicie po srogiem zniepokojeniu odprawionych teraz właśnie festynów dworskich w Krakowie, ujrzał się Władysław od przeważnych sił zagrożonym. Około świątek r. 1376 uderzyła w niego walna wyprawa jeneralnego starosty Sędziwoja z Szubina ze starostami kujawskimi, Bartoszem z Wiszemburga i jego bratem Bartoszem z Sokołowa, tudzież z przywołanym w pomoc księciem dobrzyńskim, Kazimierzem. Nie mogąc ani odwagą, ani środkami najdzikszego okrucieństwa dotrzymać placu tak licznym nieprzyjaciołom, musiał coraz cięższy swoim wichrzyciel przystać ostatecznie na zgodę

z królem Ludwikiem, i przyjąć 10,000 złotych za zrzeczenie się wszelkich praw do Gniewkowa. Dla tem rychlejszego odebrania pieniędzy wybrał się książę bez księstwa, a mnich bez kapicy do Węgier, gdzie go czekał dar opactwa benedyktyńskiego od króla i nowa podróż do klasztoru w Dywionie. Uśmie-
rzenie jego zamieszek w Polsce wróciło na jakiś czas pogodę krotochwilom krakowskim. Ale jakże rychło pa-
dła na nie trwoga zkądinąd!

Owo pod samą porę ustąpienia Władysława Bia-
łego za Karpaty zanosi się właśnie na szumny festyn
na zamku. Z różnych stron Małopolski zjeżdżają pa-
nowie, panie i panny. Owdowiała po Rafale z Tar-
nowa „Pani wiślicka” ciągnie z tłumnym dworem
służby, wozów i koni w odwiedziny do królowej Elżbie-
ty. Wtem gwałt nad Wisłą! Litwa plądruje! Kiej-
stut Trocki z bratem Lubartem Łuckim i synowcem
Jerzym Bełskim przemknęli zcicha przez Wisłę pod
Zawichostem i aż, pod Tarnów pożogę i jasyr niosą
(1376). W Baranowie nad Wisłą zaskoczony od dzi-
czy dziedzic, brat arcybiskupa Janusza Cztan Grzy-
malita, któremu właśnie żona powiła syna, miał le-
dwie tyle czasu, aby położnicę i niechrzczone jeszcze
niemowlę porwać na koń i rzucić się w pław jezio-
rem, przyległym Wiśle. Kiedy Litwa nadbiegła, dziel-
ny Cztan brnął już daleko przez fale Wisły. Z ty-
siąca wypuszczonych za nim strzał żadna nie urazi-
ła ojca z dziecięciem. Z tysiąca przypatrujących się
zdała pogan, żaden nie śmiał puścić się w pław za
Lachem. Tylko jakaś towarzyszkę pani Cztanowej,
spodziewającą się przebrodzić przez jezioro, pograżo-
no strzałami na dnie wodnem. Na odgłos których to
wieści podróżna „Pani wiślicka” porzuca w pół drogi
służbę i cugi swoje i z garstką towarzyszków ucieka
w łódce za Wisłę. Na niczem spełzły odwiedziny
i krotochwile. Skończyło się na powszechnych przeciw
królowej Elżbiecie wyrzutach, iż ona to winna jest

klęsce litewskiej. Jakby jej winą było, że Sandomierzanie granic nie strzegli. Jakby jej harda odpowiedź, dana pogłoskom o niebezpieczeństwie litewskim: „Długa a potężna u mego syna ręką!” uwalniała Małopolan od obowiązku czuwania nad bezpieczeństwem swych własnych granic.

Uspokoila się trwoga litewska. Wróciły na zamek krakowski dawne gody i płasy. Kilka dni świąt podwoiło ochotę. Nazajutrz po św. Mikołaju, w dzień niedzielny, w kilka tygodni po najeździe litewskim, kazała królowa „czynić przed sobą tańce, śpiewy, muzyki i tym podobne uciechy światowe.” Wtem rozruch w mieście! Około bramy bocheńskiej napaśli służalcy bawiających z Elżbietą panów węgierskich na wóz siana, prowadzony ze wsi Brzezina dla mieszkanego w Krakowie szlachowca polskiego, Przedbora. Służba przy wozie jęła odpiierać zuchwałych Węgrów. Wszczęła się burda. Na obu stronny okrzyk nadbiegli Węgrzy Węgrom, Polacy w pomoc Polakom. Co gdy do zamku się doniosło, wyprawiła królowa czempredzej dla poskromienia rozterku starostę grodzkiego, Jaśka Kmity, z kilku innymi panami, pomiędzy tymi Domata, herbu Grzymała. Przeciw najeżdżającym konno panom zamkowym wypuścił jakiś Węgier strzałę z cięciwy. Nie wiedzieć, umyślny-li, czy przypadkowy grot ugodził śmiertelnie samegoż Jaśka. Widok spadającego z siodła starosty rozjuszył wszystkich krewnych, wszystkich „stryjców herbowych,” wszystkich Polaków. Zemsta krwi była obowiązkiem rodzinnym, owszem prawnym. Dzikość ówczesnych, Węgrów, głośna w Polsce, we Włoszech i w prawodawstwie węgierskiem, podżęgała rozjąttrzonych Krakowian do okrucieństwa.

Rzucono się do wymordowania wszystkich przybyszów. Wszczęta rzeź nie przebaczała ani płci, ani wiekowi. Nawet niewęgierscy towarzysze dworu węgierskiego padali ofiarą wściekłości. Słowacki szlachcic Michał, przewiskiem Pogan, wywleczony z piwni-

cznej kryjówki na ulicę, został tam ścięty. Napróżno panowie polscy, jak ów Grzymalczyk Domarat, jak sam Przedbor z Brzezia silili się powstrzymać mordy, ratować Węgrów. Śród najsroźszej rzezi schrania się do Przedborowego domu dwoje szlachetnych pacholąt węgierskich, wychowujących się na dworze krakowskim, ulubieńców starej królowej. Przedbór ukrywa ich w ciemnej komorze i nie pozwala wyjawić drogi do nich nikomu. Wiedząc zaś o przywiązaniu królowej do pacholąt, śpieszy na zamek, aby ją uspokoić. Tam dziwny widok! Tłumy niedognanych jeszcze od ludu Węgrów cisną się w śmiertelnej trwodze na zamek. Z obawy jednak, aby lud nie przedarł się do środka i nie wymordował mieszkających tam cudzoziemców, nie śmiano otworzyć bram zamkowych. W tem straszmem położeniu znaleźli niedobitkowie jedyną pomoc w Polkach. Bawiące na zamku panie i panny krakowskie pospuszczały drabiny z okien zamkowych, po których zagrożeni Węgrzy leźli śród gradu strzał do zamku. Wpuszczony do królowej Przedbor pocieszył ją — omylnie. Wracając bowiem z powodu ściśle w nocy strzeżonych bram dopiero nazajutrz rano do domu, ujrzał przed progiem nagie trupy ulubieńców królowej. Sami służalcy Przedborowi wyłomali drzwi do komory i zamordowawszy młodzieńców, złupili ich ze srebrnych pasów i kosztownej odzieży, a odartych wyrzucili przez okno. Przeszło sto sześćdziesiąt trupów węgierskich pomściło zabicie Kmity. Nadto jakoby w przynależną rodzinie zabitego główszczyznę, obdarzyła królowa małoletniego syna Jaśkowego, Piotra, starostwem całej ziemi Łęczyckiej.

Takie były gody królowej Elżbiety. Przerażona niemi, ujechała z resztą Węgrów za Tatry. Po oddalającej się wzbił się tuman najdzikszych obmowisk i złorzeczeń. Za nienawiść przeciw rządowi niewieścim, za niedbałość syna Ludwika względem Polski, za dzikość dworzan węgierskich, wzięto teraz srogi

odwet na jej pamięci. Duchowny kronikarz wielkopolski wyklął ją z ambony, a odmalował jako jędzę w kronice. Po ustach nieuczonych krążyła złośliwa powieść o jej dawnej nieobyczajności w Węgrzech, odparta zgodnem świadectwem całego dziejopisarstwa węgierskiego, a dopiero w sto lat później z widocznymi śladami zmyślenia wznowiona przez kronikarstwo polskie. Naigrawając kalectwu jej prawej ręki, zwano ją pospolicie: królowa Kikuta. Krzywdzono ją nawet w najboleśniejszy dla próżności kobiecej sposób, przymnażając jej lat. Podczas gdy wyraźne świadectwo oznajmia, że urodziwszy się w roku 1306, miała w porze rozruchu krakowskiego dopiero lat 70, głoszone wszędzie, że „było babie przez 80 lat.” Niezwykła jej czerstwość zdrowia pochodziła, według tych oszczerczych pogłosek, z jakichś czarodziejskich leków, jakiejś wody odmładzającej, niby środków piekielnych. Tymczasem była to wódka rozmarynowa, zaprawiona wyskokiem winnym, znana odtąd pod nazwą Larendogry (*La Reine d'Hongrie*). Używała jej Elżbieta jako lekarstwo w cierpieniach reumatycznych, a miała ją nietylko sama wynaleźć, ale nawet własną ręką ułożyła przepis jej sporządzania. Według bibliografów, dostała się ta starożytna recepta z czasem na dwór rakuzki i bywa okazywana dotąd pomiędzy osobliwościami biblioteki cesarskiej w Wiedniu. Słowem, nie było strony, z którejby nie miotano poci-sków na Elżbietę. Nam one rzeczywistych jej zasług przyćmić nie mogą. Że ręką śmiertelnego nieprzyjaciela spisane obmowiska rozeszły się w narodzie i po dziś dzień łatwą znajdują wiarę, nie przydaje wagi fałszywym oskarżeniom. Im dłużej, owszem, trwa ubliżanie jej czci, im więcej znosić musiała siostra Kazimierza W. za starania około kraju, tem jaśniej pragnęliśmy uwidocznić jej rzeczywistą znamienitość w historyi.

Wróciwszy do Węgier, niedługo już tam babka Jadwigi żyła. Dnia 6 kwietnia r. 1380 kazała szero-

ki spisać testament, w którym wszystkie rysy jej charakteru zajaśniały jeszcze raz w całym blasku. Maluje się w nim najprzód okazałość jej dworu. Ileż w jego skarbcu klejnotów i kosztowności! Z tych syn, Ludwik, otrzymuje dwie czary złote, jeden szczerozłoty „język smoczy” o przepysznych ozdobach z pereł i drogocennych kamieni, wszystkie relikwie, oprócz obrazu malowanego własnoręcznie przez św. Łukasza ewangelistę, wreszcie puhar szczerozłoty bardzo misternego dęta, dar królowej sycylijskiej, Sankcyi, świecący kunsztownemi z trzech stron rzeźbami, z których jedna wyobrażała orła polskiego, druga herb andegawieński węgierski, trzecia św. Władysława. Synowej Elźbiecie dostaje się „jeden z brewiarzy, na którym sami czytawaliśmy.” Każdej z wnuczek, oprócz innych klejnotów gotowalni, po jednym wieńcu złotym, jaki wówczas zdobił zwyczajnie skronie dziewicze. Mianowicie Marya, spodziewana dziedziczka korony polskiej, obdarzona jest wieńcem o dwóch orłach złocistych; Jadwiga zaś wieńcem liliiowym. Nawet sierota „zmarłego króla polskiego Kazimierza” nie zapomniana, ma także wieniec w zapisie. Reszta kosztowności, jako to: drogie makaty, aksamitne, złotem bramowane poduszki, stroje z „wszelkimi innymi klejnoty dworu,” wreszcie brewiarze, wozy poszóstne, postawy purpury i złotogłowu — wszystko to razem z sumą tysiąca czerw. złotych idzie w podział pomiędzy matrony i panny dworskie, tak Polki, jak i Węgierki.

Pozostające jeszcze srebra, razem 715 grzywien wagi, mają częścią uzupełnić przypadkowy brak gotowizny, potrzebnej do opędzenia powyższych i dalszych jeszcze wydatków zapisowych, częścią zaś przypaść królowi Ludwikowi. Poczem, uczyniwszy załość miłości i przywiązaniu, folguje Elźbieta zamiłowaniom w przepychu obrzędowym. Na swoje własne egzekwie przeznacza ona tylko 500 czerw. złt., lecz na pogrzeb swojej bratanki, niegdyś cesarzowej kon-

stantynopolitańskiej Elżbiety, 2,000, a dla tych, którzy na tę uroczystość w drogę udać się mają, 10 postawów purpury i złotogłowa. Dowiadujemy się także z testamentu o częstym na dworze królowej braku pieniędzy, „na których nam dla naszych mnogich, jak wiadomo, wydatków wielokrotnie zbywało.” Mimo to wzbrania testament pociągać dawnych urzędników, rządców ziemskich, prowizorów, zwłaszcza zaś skarbników dworu królowej Elżbiety, z powodu obmów i fałszywych informacji do liczby i sprawozdania. „Gdyż — jak dumna rejentka Węgier i Polski z dobrem o sobie rozumieniem nadmieniam — dzięki doświadczeniu, nabytemu z woli Przenajwyższego, wiedzieliśmy zawsze, co czynić należało.” Umarła, jak się zdaje, w kilka miesięcy po testamencie, w Budzie.

Dopiero po ustąpieniu Elżbiety z Polski poczuł naród całą gorycz rządów Ludwika. Pod pozorem ukarania drapieżkiej Litwy za niedawny najazd na Małopolskę, przyciągnął król w kilka miesięcy po odejździe Elżbiety, w lecie r. 1379, zbrojną przez góry Sańskie na Ruś Czerwoną. Ztąd miano wespół z jej władcą, Władysławem Opolskim, uderzyć na pobliskie grody litewskie. Mianowicie zmierzała wyprawa przeciw zamkom jednego z książęcych naczelników przeszłorocznej łupieży, Jerzego Narymuntowicza, Chełmowi i Bełzowi. Od lat dwudziestu hołdownik korony polskiej z tych przez Kazimierza W. wypuszczonych mu zamków, wyłomął się Jerzy za czasów króla Ludwika z uległości i wielorako nieprzyjacielem Polakom stawał. Zawezwani przeciw Litwie Polacy przyspieszyli z pomocą. Z gotowością godną najświetniejszych czasów narodu podały wszystkie stany rękę królowi. Duchowieństwo zezwoliło snadnie na pobór podatku wojennego, szlachta zbroiła hufce. Arcybiskup gnieźnieński złożył przybyłemu do Sędomierza królowi dwieście kóp groszy na wydatki wojenne, a sami Toporczykowie przystawili mu 7 chorągwi je-

dnego herbu. Dokładano sił wszelkich, jak gdyby najprzychylniejszy krajowi król tego żądał, jakoby we własnej sprawie narodu.

Ale jakże smutno zostały te usiłowania zawieszonem! Z niechęcią o całej wyprawie mówiąc, opowiada nam współczesny kronikarz wielkopolski krótko i smutno: „Król z Węgrami opasał wojskiem Bełz. Krakowianie zaś, Sędmierczycy i Sieradzanie oblegli podobnież Chełm. Który zdobywszy i zajmwszy, udali się do króla Jegomości pod Bełzem. Obleżony tam nieprzyjaciel, pomimo niepodobnej prawie do zdobycia warowni zamku bełzkiego, stracił nadzieję utrzymania się. Wszczęły się tedy układy za pośrednictwem księżęcia litewskiego, Kiejstuta z Trok. Książę bełzki Jerzy zdał się na łaskę królewską, zwracając mu księstwo Bełzkie. Za co z łaski królewskiej otrzymał inny zamek i sto grzywien dochodu z żupy bocheńskiej.” Tak Polacy zdobyli Chełm, Polacy rzuceniem postrachu na Bełżan zmusili Jerzego do zwrotu Bełza, Polacy dochodami kopalni polskich wynagrodzili Jerzemu stratę księstwa — a osiągniona tem wszystkim zwierzchność nad Chełmem i Bełzem komuż przypadła? — Węgrom. Wkrótce po wyprawie litewskiej, jeszcze tegoż samego r. 1377, wcielił Ludwik Węgierski całą Ruś Czerwoną razem ze świeżemi nabytkami Polaków do korony węgierskiej. Oto istotny cel wyprawy Ludwikowej. Miała się rzecz właśnie jak następuje:

Władysław Opolczyk otrzymał od Ludwika Ruś Czerwoną, wrzekomo wzamian za odstąpione królowi szerokie posiadłości w Węgrzech, jako osobne, jednakże węzłem feudalnej zawisłości z państwami Ludwikowemi złączone księstwo. Piastując dotąd pałatyństwo, czyli wielkie hrabstwo węgierskie, odstąpił nasz Opolczyk obecnie tę godność możnemu panu węgierskiemu, Emerykowi Bubek, a sam objął „gubernatorstwo” księstwa Ruskiego. Z powodu obecnego zjednoczenia korony polskiej i węgierskiej można było

urościć w danym razie wątpliwość, której z nich księstwo Ruskie istotnie podlegało. Na wszelki wypadek ciążył na niem obowiązek własnej obrony. Temu nie mogła Ruś Czerwona, nie mógł książę Władysław sprostać. Świeże podźwignięcie się potęgi litewskiej, grożące coraz sroższem ponowieniem przeszłorocznych zagonów na Małopolskę i Ruś, zniewoliło Władysława do zawezwania nawpół obcej teraz, bo Ludwikowej, a za tego sprawą polskiej pomocy, Powtórzył się znów wypadek, który był poprzedził opanowanie Rusi Czerwonej przez Kazimierza W. Ruś, otrząsłszy wówczas władzę księcia Mazowieckiego Bolesława, znalazła się nazbyt bezsilną, aby mogła była zachować uzyskaną swobodę. Niebezpieczeństwo litewskiego lub tatarskiego jarzma podało ją w moc Kazimierzową. Teraz pod Władysławem Opolskim powtórnie samowładna, została Ruś Czerwona temże samem niebezpieczeństwem zagnana powtórnie w opiekę obcą, w skład państwa potężniejszego. Opolczyk pomocą Ludwika i Polaków od chwilowego niebezpieczeństwa ocalony, widział zbyt jasno, że „chwiejne” państwo Czerwonoruskie z powodu sąsiedztwa Litwy nie może samoistnego mieć bytu. Złożył je tedy napowrót w ręce Ludwika.

W nikim zrazu myśl nie powstała, aby Ludwik mógł Ruś Czerwoną poczytać za prowincję węgierską. Wszelkie bowiem prawa do niej węgierskie, przed 150 laty wątpliwe, teraz skutkiem najwyraźniejszych układów i dokumentów wcale wygasły. Zająwszy Ruś Czewoną r. 1340, musiał Kazimierz W. rozprawić się jeszcze z jakimiś pretensjami królów węgierskich. Korona polska na mocy odwiecznych związków z Rusią objęła ją teraz w bezpośrednie przeciwko Litwie i Tatarom dzierżenie. Królowie węgierscy na mocy chwilowych niegdyś rządów rościli sobie ciągle prawo do Rusi. Aby przy obecnem posiadaniu jej na zawsze zatrzeć ostatni ślad pretensyj węgierskich, chwycił się bogaty Kazimierz najpowsze-

chniejszego podówczas środka, t. j. pieniędzy. Ofiarował r. 1352 młodemu królowi węgierskiemu Ludwikowi całkowite wykupienie odeń Rusi Czerwonej. Ludwik przystał chętnie na sprzedaż nie swojego towaru i podobnie, jak niegdyś margrabiowie brandenburscy Krzyżakom ziemię Pomorską, zbył Kazimierzowi Ruś Czerwoną za 100,000 czerw. złotych. Zwyczajnym podówczas zbytkiem warunkowości i zastrzeżeń wspomniano w dokumencie donacyi, czyli sprzedaży, iż w razie męskiej bezpotomności Kazimierza W., Ruś Czerwona razem z całą koroną polską przejdzie w ręce obranego już królem polskim Ludwika. Gdyby zaś po Kazimierzu W. nastąpić miał nie Ludwik, lecz urodzić się mogący syn Kazimierzów, natenczas będzie wolno królom węgierskim przez zwrócenie sumy stu tysięcy czerw. złotych, odkupić odeń Ruś. Nieprawdopodobieństwo tego wypadku, a prawdopodobieństwo nadziei, że po zamierzonym raz przez Kazimierza W. spojeniu Polski z Węgrami obie te korony, stosownie do myśli pierwotnego zamiaru, będą trwać nadal w tak nieprzerwanym z sobą związku, jak np. później Polska z państwem Gedyminowem, i że przeto żadna wątpliwość względem należenia Rusi Czerwonej z osobna do jednej z połączonych koron nie zamąci przyszłości — oba te względy skłaniały Kazimierza Wielkiego do obojętności na podrzędne zastrzeżenia układu.

Jakoż zdało się wszystko załatwione najniżej. Względem sumy kupna zapewnił Ludwik wuja Kazimierza w lat trzy osobnym dokumentem, iż czy to całego, niewypłaconego jeszcze długu ruskiego, czy tylko niedopłaconej jeszcze reszty onego, nie będzie żądać tak długo, aż póki Kazimierz nie wstąpi z czasem w spokojne posiadanie całkowitego państwa ruskiego. Widząc się tak niezaprzeczenie jedynym władcą Rusi, używał Kazimierz W. statecznie tytułu jej „pana i dziedzica“. W przystępie jakiegoś nowego pomysłu nazwał on się nawet około te-

goż czasu „królem Polski i Rusi”. Z tyłu wybudowanych przezeń zamków stańto bardzo wiele z nadzwyczajnym kosztem w ziemiach ruskich, jak np. we Lwowie, w Przemyśle, Sanoku, Lubaczowie, Trębowlu, Haliczu, Tustaniu, Włodzimierzu. Umierając, spuścił Kazimierz Ruś Czerwoną pospołu z Polską królowi węgierskiemu. Ludwik, nie mogąc podołać bezpośredniemu zarządowi tyłu krajów, albo raczej idąc w tem za feudalnym zwyczajem królów zachodnio-europejskich, lubiących otaczać się gronem hołdownych książąt-gubernatorów, nadał Ruś Czerwoną bratankowi Opolskiemu. Teu niepodobieństwem samoistnego utrzymania się Rusi zniewolony, zwrócił ją Ludwikowi. Ludwik zaś, mając Ruś Czerwoną objąć poniewolnie w władanie bezpośrednio, oddał ją przeciw wszelkim prawom i oczekiwaniom w zarząd starostom nie polskim, lecz węgierskim, którym to sposobem przy spodziewanem niezadługo rozdzieleniu Węgier od Polski, została Ruś Czerwona węgierskiej przyznana koronie.

Polacy, zwłaszcza Małopolanie, do których to należało, nie sprzeciwili się bezprawiu Ludwikowemu. Dopiął król tej potulności tym samym środkiem, któremu przebiegli Andegaweńczykowie zawdzięczyli naprzód zapewnienie Ludwikowi korony polskiej, a następnie zgodę Małopolan na sukcesyę królewien, t. j. przekupstwem. Środki takie nie sprawiają zwykle wiele rozgłosu w kronikach. Mamy przecież mnogie poszlaki użycia onych teraz przez króla. Pod różnemi pozory spłynęły na panów małopolskich znowuż liczne darowizny dóbr i dochodów. Piotr Szafraniec z Łuczyc, w sowitą nawiązkę za ranę z ręki jakiegoś Węgra, otrzymał królewski pod Krakowem zamek Pieskową skałę. Jeszcze bogatszą łaskę odniósł w obozie pod Bełzem dawny podskarbi Kazimierza W., Dymitr, pan na wziętym po żonie w posagu Bożym darze, a ztąd niekiedy Dymitrem z Bożego-daru zwany. „Za wíelorakię usługi”, jakeimi tenże podskarbi

Dymitr i jego rodzony brat Iwan, obaj pierwiastkowie dziedzice Kleczca, „starali się zdawna (mówi przywilej nadawczy) przypodobać się majestatowi królewskiemu, i odtąd o toż samo starać się będą”, nadał im Ludwik „król Galicyi, i Lodomeryi”, królewski zamek Goraj, inaczej Łada, z ośmiu wsiami, tudzież miasteczko Kraśnik z podobnąż kilku sioł przyległością. W tej też dopiero porze nastąpiła owa przemiana niektórych urzędników w królestwie polskiem, o której z przyczyny znacznego w niej udziału matki królowej musieliśmy wyżej nadmienić, a która nadając starostwo Wielkopolski Grzymalicie Domaratowi z Pierzchna, zasłużonemu ratowaniem Węgrów w rzezi krakowskiej Małopolaninowi, starostwo zaś kujawskie Pietraszowi Małosze z Małachowa, podobnież małopolskiemu szlachcicowi z Sędomierskiego, wypadła przeważnie na korzyść Małopolan. Taką hojnością uciszeni, przepomnieli Małopolanie obowiązku bronienia swoich do Rusi praw.

Wszakże wcielenie jej do korony węgierskiej nie było jedynym skutkiem rządów Opolczyka na Rusi. Temu to zuiemczałemu władcy ruskiemu i jego cudzoziemczemu zwierzchnikowi Ludwikowi zawdzięcza Rus Czerwona ustalenie obrządku łacińskiego. Stało się to powodem długich żalów i skarg. Do zwyczajnych podówczas uprzedzeń przeciw obrządkowi wschodniemu łączyli Władysław i Ludwik zupełną jeszcze nieznamość obyczaju ruskiego. Ponieważ ten obyczaj w porównaniu z ich polerowniejszą cudzoziemczyzną zdawał się słusznie mniej ukształconym, albo też w ich rozumieniu zupełnie barbarzyńskim, przeto intencją religijną zaostrzał w Władysławie i Ludwiku bodziec nieobeznanego z miejscową narodowością cywilizatorstwa. W tej mierze każdy niewynarodowiony książę polski, każdy Piast niezniemczały, był nieskończenie pokrewniejszym, a tem samem pożądanym władcą dla Rusi. Kazimierz W.

przrzekł Rusinom nie naruszać obrządku krajowego, i niczem przyrzeczenia swego nie złamał. Przez cały czas jego rządów na Rusi nie stanęło tam żadne biskupstwo rzymskie. Są przeciwnie niewątpliwe wskazówki, że główną swoją zwierzchność i dostojność duchowną winien jest kościół krajowy na Rusi dopiero wszechstronnie ojcowskim staraniem Kazimierza W. Owszem, samo polsko-łacińskie duchowieństwo, rozrzucone po ziemiach ruskich, podawało się niekiedy w posiadzenie u dworu apostolskiego, że sprzyja szymie, że samo szymę tworzy. Toż bez żadnej przeszkody bujał na Rusi za Piastów obrządek narodowy. „Nim Ludwik rządy objął” — mówi papież Grzegorz XI w liście z roku 1372 — tonęła Ruś pod nawałem niedowiarstwa i szymy, zalewających ją nakształt fal morskich”.

Inny wcale obrót przybrały rzeczy, gdy po Kazimierzu nastąpił Ludwik Węgierski, a zwłaszcza, gdy teraz przez Ludwika przyszedł tam do władzy zniemczyły Szlązak—Opolczyk. Pierwszem ich staraniem w ziemi halickiej było „wydrzeć kraj z rąk szymy i pogaństwa, a przywieść go napowrót do wiary katolickiej”. Zawezwany przez nich do spółpracownictwa papież Grzegorz XI poświęcił nanowo odwieczne ślady katolicyzmu na Rusi. Ogłaszając starodawne parafie katolickie w Haliczu, Przemyślu, Włodzimierzu i Chełmie kościołami katedralnemi, stolicami jednego arcybiskupstwa halickiego i trzech podwładnych biskupstw, wydał dwór apostolski, zgodnie z żądaniem księcia Władysława i zwierzchnika Ludwika w roku 1375 rozporządzenie, „aby wszyscy biskupi szymatyccy, jeśli jacy siedzą na pomienionych stolicach, zostali jako potępieni i niegodni natychmiast oddaleni i takowych mocą swojego pisma, powagą apostolską, rzeczywiście oddalił”. W trzy lata, t. j. prawie jednocześnie z wcieleniem Rusi do Węgier, dojrzały wspólne Ludwika i Władysława usiłowania w owoc spełnienia, stanęły na ziemi ruskiej trzy bi-

skupstwa i jedno arcybiskupstwo łacińskie, uposażone poszczególnie od Opolczyka.

Jakich niekiedy środków przy takim fundatorstwie używano ze strony reformatorów, powziąć możemy ze sposobu obchodzenia się króla Ludwika z podobnie „oddalanem” duchowieństwem syzmatyckich krain węgierskich. Jednego np. dnia otrzymują starostowie królewscy i szlachta komitatów Kewe i Krassów surowe polecenie, „aby wszystkich syzmatyckich, czyli słowiańskich księży kazali wraz z dziećmi, żonami i całym mieniem spędzić na oznaczony czas w jedno miejsce”, gdzie wszyscy odtąd żyć mieli na wygnaniu, zdala od stron rodzinnych poruczonych innym pasterzom. „Działo się to — tłómaczy nam łaciński kapłan historyk — w celu tem łatwiejszego przywiedzenia poddanych do unii z kościołem rzymskim”. W zapale nawracania pozwolono sobie z ubliżeniem nauce Chrystusowej wykluczyć syzmatyków stanowczo od nazwy chrześcijan, i mawiano powszechnie: „chrześcijanie i syzmatycy”... W krajach świeżo do korony wcielonych, nawpół podbitych, postępowano sobie jeszcze bezwzględniej. Tam gorliwość religijna zamieniała się w fanatyczną surowość, cywilizatorstwo w krwawe prześladowania. Do wrodzonych cywilizatorom uprzedzeń i popędów reformatorskich przybywała jeszcze dzielna z zewnątrz, ze strony najbardziej imponującej, z progów stolicy apostolskiej. „Do dzieła, szermierzu Chrystusa! atleto boży!” — woła na Ludwika papież Inocenty VI. — „Do dzieła królu, który (jak o tem niewątpliwą mamy wiadomość) prześladowałeś dotąd niewiernych i syzmatyków i jeszcze prześladować zamysłasz!” Jakoż z podwojonym zapalem, z nadzwyczajną pomyślnością wiodła się praca pobożna, wra stało dzieło. Szły potem z Węgier ku zachodowi, od króla Ludwika do jenerała zakonu Franciszkanów, od tego do innych dostojników zachodniej Europy „najradośniejsze” listy, donoszące, jak szczęśliwie

rzymski katolicyzm rozkrzewia się na wschodzie. „Ośmiu Franciszkanów — czytamy w jednym z tych pism — ochrzciło w przeciągu dni 50-ciu przeszło dwakroć sto tysięcy heretyków. A dla tem głośniejszego uniewątpliwienia tej liczby, kazał król węgierski imiona nawróconych spisać na publicznych tablicach... Książęta i poddani cisną się tłumnie do chrztu św. Król żąda nadesłania sobie dwóch tysięcy Franciszkanów...” Za chępliwe popisywanie się cudzoziemczego króla wobec cudzoziemczego świata wiele później też płynąć miało.

Zwrócenie księstwa ruskiego wynagrodził król Ludwik Władysławowi Opolskiemu wypuszczeniem ziemi Dobrzyńskiej z Bydgoszczą, Welatowem i Wałczem, nadanej niegdyś testamentem Kazimierza W. jego wnukowi, Kazimierzowi Bogusławicowi, księciu Szczecińsko-Pomorskiemu, a opróżnionej teraz śmiercią tegoż Kazimierza z rany przy zdobywaniu Złotori na Władysławie Białym. Po wyparciu Białego z Kujaw i sprzedaniu przezeń ojczystej ziemi gniewkowskiej królowi Ludwikowi, otrzymał Opoleczyk, czyli, jak go powszechnie zwano, „Ruski“, jeszcze i toż księstwo Gniewkowskie. Przeto mając już zdawna ziemię Wieluńską z zamkami Bolesławcem, Brzeźnicą, Olsztynem, Krzepicami i Bobolicami, stawszy się teraz panem Dobrzyńia i Gniewkowa, posiadał Władysław nader znaczną część Polski, ciągnącą się zachodniem pograniczem od pozawieślańskich miedz pruskich aż pod sam Kraków. Będąc zaś, jakeśmy go już dotąd widzieli i jak go przez cały ciąg naszej powieści w coraz jaskrawszem świetle widzieć będziemy, czy to w mowie, czy stroju i obyczaju, czy wreszcie we wszystkich sympatyach swoich z gruntu z cudzoziemczalym zaprzalcem swojej narodowości, naciągał on całą dzierzoną przez się część Polski gwałtownie ku niemiecczyźnie, w skład tej rzeszy niemieckiej, do której już jako książę szląski należał. Lecz i na tem nie było jeszcze zadość nieprzychylnym narodo-

wi chęciom również zniemczalego Ludwika. Opu-
szczony od zmarłej matki Elżbiety, zwyczajnej rząd-
czyni Polski, osobiście przeciwny pobyтови w Pol-
sce pod pozorem „niezdrowej aury”, mianował Ande-
gaweńczyk swoim tam namiestnikiem, swoim teraz
w Polsce, jak niedawno w Rusi Czerwonej „guber-
natorem”, wroga narodu, Władysława Opolczyka.

To oburzyło wszystkich dwojako. Naprzód sprze-
ciwiałoby się gubernatorstwo „Ruskiego” paktowi ko-
szyckiemu, na mocy którego rządu Polski nie miały
być poruczone żadnemu „książęciu”, żadnemu krwi
królewskiej plemiennikowi. Następnie cudzoziemcza-
łość Szlązaka nie tylko moralną raziła stronę. Miała
ona dla narodu, dla szlachty polskiej, aż nazbyt ma-
teryjalne niedogodności. „Ruski” Szlązak, z przyro-
dzenia powolny, ciszy i spokoju miłośnik, w kornym,
rzemieślniczem i przemysłowem mieszczaństwie roz-
kochany, nienawidził głęboko szlachetczyznę.
Na wzór jego rządów w Kujawach miało zlecone mu
teraz gubernatorstwo całej Polski nadać stanowczą
przewagę temu stanowi, którego tak gorliwym ła-
skawcą widzieliśmy króla Ludwika na Węgrzech,
t. j. mieszczaństwu, czyli, niestety, wcielonej wów-
czas cudzoziemczyźnie. Takież samo małomieszczań-
skie, anti-szlacheckie skąpstwo, chciwe każdego gro-
sza czynszu na św. Marcina, żatujące każdego dziesię-
cinowego snopa, pobudzało Opolczyka do ciągłych swa-
rów z biskupami, czyniło go nieprzyjacielem duchow-
wieństwa. Ztąd możny szlachcic Bartosz, syn Pe-
regryna z Chotela, a sam z „Wiszemburga” albo
Więcborga nazwany, były starosta kujawski, jeden
z głównych bohaterów dalszej powieści naszej, zapa-
miętały obrońca narodowości, podjął niegdyś na wła-
sną rękę podjazdową wojnę przeciw Władysławowi.
Płocki zaś biskup, Dobiesław, za zbytne przez Opol-
czyka obciążenie dóbr duchownych różnemi podatkami
klątwę nań rzucił.

Równie więc niebezpieczno było Polsce przyjąć
takiego gubernatora, jak takiemuż zaprzańcowi utrzy-

mać się przy gubernatorstwie. Ku odparciu wezbra-
nego w ten sposób niebezpieczeństwa ruszyli się zna-
ni oddawna najżarliwsi obrońcy narodowości, Wielko-
polanie. Podczas gdy możnowładna Małopolska mil-
czała, Wielkopoleanie przez wyprawione do Węgier po-
selstwo oparli się zamianowaniu Opolczyka. Obawa
wystawienia dworu, a tem samem i następstwa króle-
wien w Polsce na nową, ze strony zrozpaczonych
Wielkopolan niechęć i opozycję spowodowała króla
do ustąpienia. Władysław Opolski został usunięty od
namiestnictwa. Za ledwie tyle dworowi okrojiło się, że
mianowani przezeń nowi prowincjonalni wielkorządcy
zdołali zachować poruczone sobie urzędy. I tak ów
ratownik mordowanych w Krakowie Węgrów, Grzy-
malczyk Domarat z Pierzchna, gorliwy stronnik rodzi-
ny andegawenskiej, objął i zachował spokojnie jene-
ralne starostwo Wielkopolski. Były jej wielkorządca,
Sędziwój z Szubina, wojewoda kaliski, przeniósł się
na świeżo przez króla zaprowadzone starostwo ziemi
krakowskiej. Ziemia kujawska, jeszcze przez królowę
Elżbietę odjęta braciom Bartoszmom z Wissenburga
i z Sokołowa, którzy tylko 800 grzywien rocznego
składali z niej dochodu, pozostała w zarządzie staro-
sty Pietrasza Małochy z Małochowa Sandomierczyka,
opłacającego z niej co roku 2,000.

Jednakże na cofnięciu namiestnikostwa Opolczy-
ka nie wiele Polska zyskała. Zamiast zniemczątemu
Szlązakowi, dostało się gubernatorstwo, ku niemałemu
zgorszeniu Wielkopolan, niezbyt dbałym o całość na-
rodowości Małopolanom, i to jeszcze w dwóch czę-
ściach rodzinie Kurozwęckich. Na zjeździe urzędni-
ków koronnych w Budzie, w śródpościu r. 1381, zdał
Ludwik całą swą władzę w Polsce trzem namiestni-
kom, t. j. byłemu wojewodzie krakowskiemu, Dobie-
sławowi z Kurozwęk, jego synowi Zawiszy i Sędzi-
wojowi z Szubina, wojewodzie kaliskiemu, a oraz sta-
roście krakowskiemu. Było to ostatnią nagrodą Ró-
życów i Małopolan za wieloletnią pomoc dworowi.
Stosownie do przedkoszyckich obietnic króla, piasto-

wali już Kurozwęccy przyręczone niegdyś urzędy. Ojciec, Dobiesław, siedział od lat dwóch na kasztelaństwie, syn, Zawisza, za sprawą dworu od roku na biskupstwie krakowskiem. Nieograniczone teraz wszechwładztwo w Polsce uistoczyło najzuchwalsze uroszczenia ich dumy. Zwłaszczaż młody biskup Zawisza rozkoszował w słońcu fortuny. Ów weselny krotochwilnik dworu Elźbiecinego zrubaszniał teraz w arcymistrza przepychu i swawoli. Wolen od strofów królowej, wyższy nad wszelką zwierzchność, czy to duchowną, czy świecką, dorównał on wkrótce najjaskrawszemu wzorom podobnegoż życia w ówczesnym cywilizowanym świecie zachodu. Bo obowiązek przedstawiania wszelkich charakterów i zjawisk w świetle swojego czasu zmusza nas do przypomnienia, że terażniejszy sposób życia Zawiszy wyniknął głównie z zastosowania się do obyczajów zagranicznych.

Z ówczesnego wszechwładztwa duchowieństwa nie tylko niebo się radowało. Miało, niestety, i zgorzenie hojny zysk z niego. Żywot większej części dostojników kościoła był usłany kwiatami arcyświatowej zmysłowości. Nie tylko kardynałowie i biskupi, lecz nawet drugiego rzędu opaci mieszkali w świetnych pałacach. Nie przestając na jednym, budowano sobie osobne na zimę, osobne letnie pałace. Zbytkowy strój duchownych bywał ustawicznym cenzur synodalnych przedmiotem. Dawniej grzeszono przesadną ozdobnością obuwia o długich zadartych nosach, o wysoko pod kolana zachodzącym sznurowaniu z czerwonych świecących taśm, wykraczano przesadną pstrocizną sukien, składających się z różnobarwnych, najczęściej zielonych i modrych pasów, od jakich np. ów zbytkujący w nich warmiński biskup Jan przezwany został „Pstrokatym.” Później przesadzano się w fałdzistości sukien i długości nadmiar szerokich, rozcinanych rękawów, początku następnej mody wylotów. Oddawna „nosili księża na głowie małe, starannie naczesanemi włosami pokrywane plésze,

a przy boku ogromne miecze i kordy." Mnichy albo wcale w świeckim chodzący stroju, albo w kusych występując habitach, „skandaliczną nagością” wzrok obrażały. Obyczaj czasu sprawiał, iż każdy podróżny i niepodróżny kapłan był jeźdźcem, a zamiłowanie w przepychu przystrajało wierzchowców księży z równą ubiorowi jeźdźców wytwornością. Już św. Bernard biadał na złoto u siodła, uźd i ostróg, na „połyśniejsze ostrogi, niż ołtarze.” Posłowie papieży przeciągali po kraju w kilkadziesiąt cugów koni...

Zbytkowność stroju i rzędu odpowiadała dalej wykwinności stołu. Najzawzięci nieprzyjaciele Kościoła chwalili sobie „wieczne uczyty kapłańskie.” Wykształciły one z czasem dziwne w stanie duchownym łakotnisiostwo. Spożywano niezmierną ilość cukierków. Papież Grzegorz XII ekspensował na same bakalie więcej, niż jego poprzednicy na całą kuchnię i garderobę. Wrocławski biskup Jodek „był tak wykwinnym w jedle, że wszystkie potrawy cukrem zaprawiał.” Nie mniej też wymyślano w napojach. Archidyakonowie szlącscy przynosili wina francuskie nad wszystkie inne. „Złoty biskup,” Konrad z Wrocławia nie udzielił wprzód żadnego beneficyum, aż mu duchowny kandydat nie złożył „baryłki małmazji albo włoskiego wina.” „Uraczyć się do zbytku” wyrażano inaczej aluzję do najwyższych naczelników Kościoła. Subtelniejsi rozkosznicy duchowni zbytkowali w zapachach, których niekiedy nadażywano aż do ściągnięcia sobie chorób i śmierci. W miesiącu róży odbywały się po dworach opackich huczne kilkakrotnie majówki. Samo urządzenie podobnych dworów duchownych, przepelnionych zgrają kuglarzy, trefnisiów, dziwacznie poprzystrajanych pacholąt i młodzieńców, każe się domyślać rodzaju panujących tam zabaw. Opaci „pozwalali w domach swoich na trudną do uwierzenia swawolę, między innemi na plasy nieskromne z niewiastami i dziewczekami.” Prymicje swoje obchodził każdy braciszek zwykle sutą biesiadą

z przyjaciółmi i przyjaciółkami za furta klasztorną w mieście. Kościoły służyły do późnych czasów za miejsca mięsopustnych widowisk maskaradowych, a stróże moralności zwiedzali „miejsca nieprzystojne”, pospolitowali się „w towarzystwie kobiet zepsutych, z sokołami na rękę, przy kuflu i grze w kostki, wśród płochych śpiewek.”

Osobliwie w pożyciu duchowieństwa sąsiednich Niemiec powiędły lilie skromności pod gorącym powiewem najrubaszniejszej swawoli. Jak niezmiernie wiele szczegółów obyczajowych owego wieku, tak i największa część należących tu rysów musi milczeniem być pominiona, jeśli nie ma wytrącić książki z rąk czytelników. Nie mogąc jednak dla pozyskania jej szerszych względów poświęcić obowiązku kreślenia ile możności rzeczywistych obrazów czasu, prosimy o przebaczenie bogdaj kilku wzmiankom następującym. Tuż u granic niemieccyzny rezydujący w Żeganie opat Marcin, „jako drugi Salomon przychylił serce rodzajowi niewieściemu. I gdybyż jeszcze poprzestał był na towarzystwie jednej lub dwóch—wzdycha współczesny mu biograf — nicby w tem nie było niezwykłego, ani nowego. Lecz... pod pozorem medycyny zbiegały się do niego czeredy niewiast, które on podejmował u siebie, często aż w noc przedłużając z nimi biesiadę.” Kto zaś chce poznać niezarumioną niczem otwartość i swobodę, z jaką podobne działały się rzeczy, niech czyta listy jednego z najznakomitszych świeczników Kościoła ówczesnego, pisane w młodych latach do ojca, dające nam dziwnie jaskrawą, acz w rzeczy jedynie prawdziwą próbkę obyczajności onych stuleci. W śmiałych jej oczach mniej rażące przywary osób duchownych, jak np. światowa rycerskość, wojenność księży, uchodziły za rzecz powszednią, owszem chwalebną. „Cobyście zato dali—pisze niemiecki król Ryszard do swego bratanka Edwarda — gdybyście ku pomocy przeciw buntownikom mieli tam w waszej Anglii tak walecznych i wojennych biskupów, jakich my mamy tu w Niemczech.”

Jakoż z czasem biskupowie angielscy przeszli nawet niemieckich. „Biskup z Nordwich — opowiada kronikarz—był młody i bardzo dziarski, a pragnął wystużyć sobie ostrogi, bo nigdy jeszcze nie był na wojnie, wyjąwszy w Lombardyi wraz z bratem swoim.” Nie posiadał się też z radości, gdy na czele armii włoskiego papieża, Urbana VI, mógł zdobywać miasta flamandzkie, trzymające z francuskim antipapieżem Klemensem. „Nie dbając o nic, byle się tylko bić”, wkracza biskup z wojskiem w okolicę podległą samemu papieżowi Urbanowi. Doradcy przedstawiają mu, że tu, jako w kraju przyjaznym, należy zaprzestąć kroków nieprzyjaznych. „Ej, kto tam wie, czy oni Urbaniści?” odpowiada junak duchowny i daje haśło do boju.

Odbieżeniu kościoła dla wojny, dla zabawy, towarzyszyło nieraz odbieżenie go dla prostej gdzieś włóczęgi. Podczas gdy detronizowany później Jan XXIII, jeszcze klerykiem będąc zabawiał się korsarstwem po morzach włoskich, ilużto duchownych, jak np. pierwszy arcybiskup lwowski Bernard, roje szlązkich, krzyżackich mnichów „z niebezpieczeństwem duszy wałęsało się gdzieś po świecie!” Skutkiem tej włóczęgi, jako też wszystkich przytoczonych powyżej zdrożności, zdarzało się niekiedy, iż nawet w onym czasie „przyduszenia ludzkości od duchowieństwa,” stały kościoły pustką dla braku księży. Jeśli niektórym duchownym ustawy synodalne przypominać musiały, „aby dla ułowienia obfitszych zysków nie wazyli się odprawiać więcej nad jedną mszę dnia jednego”—tedy bardzo wielu nie przystępowało do żadnej, a kapłani, którzy codziennie mszę odprawiali, uchodzili za świętych, wzbudzających podziw i zapytanie, jakim sposobem dostąpić mogli takiej świętobliwości.

Chętniebyśmy przypuścili, iż przytoczone tu rysy obyczajowe służyły tylko zachodnio-europejskiemu duchowieństwu. I w rzeczy można powiedzieć, że jeśli ówczesni słudzy kościoła polskiego dozwolili świa-

towości przystępu do swoich obyczajów, winien był temu głównie zły przykład światlejszego zachodu. Lecz że przykładowi zagranicznemu nie brakło w kraju naśladownictwa, trudno zataić. Blizkoczesne nazwiska owego arcybiskupa gnieźnieńskiego Jarosława, który w jawną pokutę za nieprawę wniósł na stolicę arcybiskupią przykazał ostatnią wolą wnieść ciało swoje ubocznym do kościoła wyłomem — nazwiska znanego nam biskupa poznańskiego Mikołaja, nadmiarem rozpusty o przedwczesną śmierć przyprawionego — Jana Kropidły, biskupa kujawskiego, o którym później usłyszymy — drugiego arcybiskupa gnieźnieńskiego Mikołaja z Kurowa, w drodze do Glinian na sądowe usprawiedliwienie się z arcygrzesznej światowości zmarłego — Mikołaja Strosberga proboszcza gnieźnieńskiego, dożywotnego za swoje „przeniewierstwo, kłamstwo, fałszerstwo i kradzież” więźnia — te wszystkie imiona zmuszają nas do pokory uznania, że i polskiego kapłana serce toczył wówczas robak skazitelności.

Na takim tle obyczajowem należy wyobrażać sobie naszego biskupa Zawiszę. Nie był on gorszym od żadnego z duchownych światowców zagranicy, ale też nie ustępował żadnemu. Od swoich polskich współwinowajców, których liczbę w stosunku do liczby przykładów zagranicznych zawsze jeszcze dość mierną znajdujemy w kronikach naszych, różnił on się zapewne tylko okazalszym przepychem, bezwzględniejszą śmiałością swojego grzechu. Gdyby nie to, gdyby nie tak „nieostrożnie” (jak jego nieprzyjaciół o nim wyraża się) człowieczym folgował był słabościom, byłaby mu tylko sława miłośnika wytworu i światowej pozostałości. Dworską bowiem wystawność widzimy głównym namiętności jego przedmiotem. Pierwszą zaś okazałego dworu ozdobę stanowiła liczna, doborna stajnia. W masztarni biskupa Zawiszy stało przeszło siedemdziesiąt wierzchowców, bądź to dla niego samego, bądź dla licznej drużyny stryjców i popleczników. Każdy z rumaków miał

swój osobny, różnobarwny a według zwyczaju czasu bogato od złota i srebra połyskujący strój. Również bogatym przyborem świeciły powozy biskupie, już wówczas rozmaitym kształtem i pod różnemi nazwami budowane. Bywały te starożytne „kolebki” i „pałuby” niepoślednim przedmiotem wytworkności ówczesnej, i obite zwyczajnie płótnem, „cwilichem” lub różnobarwnem suknem, piętrzyły się całkowitym „pokładem” czyli nakryciem lub półpokładem. Pałuby całkiem kryte byłyto, jak się zdaje, proste drewniane lub z łąbu plecione domki, często jednej tylko strony oknem zaopatrzone, na koła lub kopanice od sani ustawiane, którym podobnie jak podróżnym szatasowym mieszkaniom królów i książąt, dopiero opięcie bogatemi kobiercami, usłanie mnogością złotogłowych poduszek nadawało zaletę miękkości i strojności. Jeśli się taki powóz wywrócił na stronę okna, bywali podróżni jak w ciemnej turmie zawarci wewnątrz. Powóz o dwóch szklanych oknach, jakim np. późniejsza żona Rakuszanina Wilhelma odbyła wjazd do Wiednia, wzbudzał w gminie i w kronikarzach niezmierny podziw. Podróżne domki takie, potrzebujące po stokilkadziesiąt łokci materji do całkowitego obicia, niekiedy wcale bez dyszla, wymagały także nadzwyczaj wielu koni. Toż liczba powozowych cugów Zawiszy przechodziła wszelką miarę zwyczajną. Każda jego podróż wprawiała w ruch tłumy koni i wozów, zuchwałą czeredę sług, towarzyszków, przyjaciół. Dla ludu obowiązanego do podejmowania dworu biskupiego w podróży, lub zgorzonego jej wystawnością, tętent Zawiszowych rumaków zdał się łoskotem biesów. A przenosił się biskup często z miejsca na miejsce, jużto z królową Elżbietą do Węgier niegdyś jeżdżąc, jużto rodzinne i biskupie zwiedzając dobra, jużto wreszcie w mniejszym orszaku na niemiecką goniąc rozpustę, czyli tak zwany *ops*.

Własnymi tego rodzaju sprawy zajęty, zaniedbywał biskup sprawy publiczne. Co z tem większą krzy-

wdą narodu było, ile że on pomiędzy obecnymi tryumwirami pierwsze przyznając sobie miejsce, pisał się wicekrólem, bez którego dwaj inni koledzy nie rozstrzygać nie mogli. Ztąd gdy kasztelan Dobiesław i wojewoda Sędziwoj ze swoim kanclerzem krakowskim Janem z Radlic przystąpili do urzędowania, nieobecność Zawiszy wszystko zepsuła. Głównym tegoż urzędowania zamiarem pragnął naród mieć wyrażenie sobie sprawiedliwości ze starostów królewskich. Ci zapewne z woli króla silili się powszechnie o przywrócenie dawnego stanu skarbu i dochodów koronnych przez odejmowanie szlachcie wszystkich mniejszych i większych dóbr królewskich, jakie ona od czasów śmierci króla Kazimierza pod różnemi zajęta była pozorami. Przy rewindykacyi niesłusznych przywłaszczeń nie mogło obejść się bez częstszych naruszeń prawej własności szlachty. Zaczem głośnie w narodzie skargi i domagania, aby nowi wielkorządcy wglądnęli, przedewszystkiem w nadużycia starostów. Triumwirowie obwieścili na bliskie Zielone Świątki walne w całym królestwie roki. Ale ponieważ dokonane przez starostów restytucye krolewszczyzn a nawet gwałty na własności szlacheckiej przyniosły korzyść skarbowi i niełatwo w królu ochotę bliższego rozstrząśnienia tej sprawy wywołać mogły, przeto cięży na tryumwirach posądzenie, jakoby bez zezwolenia królewskiego przyrzekli szlachcie naprawę doznanych przez nią gwałtów, samowolnie spółziemian łudząc. W takim razie nieobecność Zawiszy byłaby tylko umyślnym ku zniweczeniu całej nieupoważnionej czynności tryumwirów pozorem, a niestawie jego ubyłby znów jeden zarzut.

Bądź co bądź wielkorządcy małopolscy wybrali się wistocie natychmiast po Zielonych Świątkach w swój objazd sądowy. Pierwsze roki walne odbyły się w Małej Polsce w Wiślicy. Znajdował się tam jeszcze nasz wicerej Zawisza. W kilkanaście dni później przenieśli się wojewoda Dobiesław i Sędziwoj z Szubina z kanclerzem Janem już bez biskupa do

Brześcia kujawskiego. Zawezwana przez nich szlachta ukrzywdzona pospieszyła z okazaniem swoich kopii przywilejowych i z wniesieniem skargi na piśmie. Tryumwirowie wzięli podane dokumenta i bez wyroku do Kruszwicy ruszyli. Żałujący stosownie do zwyczajów takiegoż wędrownego sądownictwa udali się tam za nimi. W Kruszwicy powtórzyła się scena brzeska. Nowym tłumem żałobników powiększony trybunał wyjechał nazajutrz w sobotę również bez wyroku do Strzelna. Tak w Kruszwicy i w Strzelnie, jakoteż nazajutrz w niedzielę w Trzemesznie, w poniedziałek w Mogilnie, we wtorek w Gnieźnie, we czwartek w Poznaniu, gdzie wszędzie stos aktów sądowych i orszak żałujących coraz więcej się mnożył, odraczano wydanie wyroku aż do spodziewanego przybycia wicereja Zawiszy. Nareszcie w Kaliszu, dokąd trybunał po kilku dniach pobytu w Poznaniu, z ogromnie już urosłą rzeszą skarżącego ludu, obrócił podróż, musieli wielkorządcy zapobiedz dalszemu natłokowi. Oświadczone więc, iż biskup Zawisza, bez którego król zabronił im wdawać się w restytucyę zagrabionych majątków, złączy się z nimi dopiero na św. Jakóba, t. j. za kilka tygodni. Był to rozkaz rozjechania się szlachcie. Poniósłszy znaczne koszta na dotychczasowe wędrownę asystowanie trybunałowi, musiała „bracia wielkopolska” wśród lamentu i gorzkich wyrzekań wrócić z niczem do domu. Sędziowie zaś małopolscy krążyli jeszcze jakiś czas z wielkim uciskiem nawiedzanych okolic tędy i owędy po województwach, aż wreszcie po św. Jakóbie stanęli z powrotem w Krakowie. Cały objazd sądowy zakończył się obudzeniem niezmiernego rozgłosu skarg i zażaleń, w których nawet łaską i nadaniami obdarzone przez sędziów strony musiały z czasem wziąć udział. Wszelkie bowiem wyroki i wydane na czyjąkolwiek korzyść przywileje tryumwirów zostały później pozbawione prawomocności i podziśdzeń rozcięte w archiwach spoczywając, świadczą o smutnych rządach namiestników króla Loisa.

Nie lepszy skutek miała druga za czasów tegoż trywiratu podjęta sprawa. Ta siliła się dokonać zbrojnej sprawiedliwości na panu Bartoszu z Odolanowa. Wojenny niegdyś przeciwnik ziemczatego Opolczyka, żarliwy miłośnik narodowości i starożytnego rodu Piastów, nadto za odjęcie mu przed kilku laty starostwa kujawskiego osobistą urazą ku dworowi przejęty, wzbudzał możny Bartosz, pan na Więcborgu, Koźminie, Koźminku, Nabieżycach, Złotej, Odolanowie i wielu innych włościach, nową w królu obawę. Prócz tego, jacyś wrzekomo pokrzywdzeni przezeń Francuzi urosili sobie do niego pretensyę ośmnastu tysięcy złotych i wnieśli skargę na niego w tym względzie do króla Loisa. Te wszelkie rzeczywiście i pozorne pobudki powoływały do zbrojnego przytłumienia Bartosza. W szczególności zamierzono odjąć mu warowny gród Odolanów, nadany mu niedawno przez Ludwika. Starości królewscy wyprowadzili przeciwko niemu ogromne wojsko. Nie mając jednak nadziei zdobyć Odolanowa, rzuciły się roty królewskie tem chęciwiej na przyległe włości duchowne, które okropnie ucierpiały. W końcu nad bój niepewny przenieśli starostowie układy. W Skarbmierzycach, wsi probostwa gnieźnieńskiego, zawarto umowę, według której ośmiu, od każdej strony w polowie, wybranych sędziów polubownych miało oszacować gród Odolanów ze wszystkimi przynależącemi włościami, aby król odkupił to wszystko od Bartosza za sumę szacunkową z odtrąceniem powyższych 18 tysięcy złotych. Starości powrócili do domu, a umowa pozostała bez skutku. Król Ludwik poczytał ją za uciążliwą majestatowi i obiecywał sobie skuteczniej przygnieść Bartosza. Bartosz tymczasem zatrzymał Odolanów.

Ani sądowa więc, ani zbrojna sprawiedliwość nie wiodła się rządowi Ludwika. Same usiłowania rządowe zwiększały nieład i ucisk. Starostowie królewscy, zuchwali nieobecnością pana, popełniali srogie bezprawia. Zwłaszcza faworyci dworscy mogli

broić bezkarnie. Z tych najmilszym dworowi, najwięcej znienawidzonym w narodzie, był obecny starosta Wielkopolski, Domarat z Pierzchna. Jego pochodzenie małopolskie, jego żarliwość w popieraniu sprawy następstwa królewien w Polsce, wreszcie skuteczny udział w przeprowadzeniu *poradlnego* w Koszycach, zdobyły go w oczach dworu, jako tyleż zasług, potępiały w oczach narodu, jako win tyle. Toż większa część szlachty wielkopolskiej pałała srogą przeciw niemu niechęcią, pragnącą pozbyć się czemprędzej jego wielkorządztwa starościńskiego. Wszakże za życia króla Ludwika nie można było spodziewać się upadku Domarata. Tem skwapliwiej więc oczekiwano pierwszej lepszej sposobności do uwolnienia się odeń po śmierci króla.

Tymczasem z powodu Domaratowych, jakoteż innych starościńskich i niestarościńskich bezprawiów, rozległ się po całym królestwie odgłos narzekań. Licząc panowanie Ludwika do najopłakańszych czasów narodu, brzmiały te skargi aż do tej chwili w starych kronikach. „Nikt wówczas sprawiedliwości mieć nie mógł—pisze wielkopolski archidyakon Janko z Czarnkowa. — Albowiem którąkolwiek sprawę podobało się królowej Elżbiecie, gdy jeszcze żyła, do późniejszego odroczyć czasu, tę odsyłała do swego syna Ludwika, a ten nawzajem matce wszystko do rozstrzygnięcia przekazywał. Aż wreszcie, unużeni temi zwłokami ludzie, zaprzestawali zgoła dalszego poszukiwania sprawiedliwości, opiece i miłosierdziu boskiemu sprawy swe poruczając.” Później — „dla nieobecności króla i trudnego doń ubogim ludziom przystępu, spadły niewysłowione plagi na całe królestwo polskie. Za czasów króla Ludwika nie było żadnego ładu, żadnej sprawiedliwości w królestwie, gdyż starości królewscy, jakoteż ich burgrabiowie dopuszczali się ustawicznej łupieży w dobytku ludzi ubogich. Wielcy panowie, którym wówczas fortuna uśmiechała się, a którzy, zamknawszy oczy i uszy na krzywdy ubóstwa, mieli tylko swoje własne i krewnych swoich

dobro na pieczy, upewniali wprawdzie króla Ludwika, iż w Polsce tak spokojnie, jak za czasów króla Kazimierza. Ale nie tak rzecz się miała, nie tak!... Nie masz bowiem obecnie w całym królestwie polskim — kończy nasz archidyakon — ani sprawiedliwości dla ubogich, ani spokoju. Teraz to dopiero słyhać płacz i żałość, i lament, i niewysłowione narzekanie po zgonie króla Kazimierza!...” Pod wyrazem „ubogich” rozumie tu kronikarz po większej części szlachtę ubogą, „z rodu, a nie z fortuny szlachetną”. Od jej to upadku, od upadku dawnego staropolskiego obyczaju poczynając, wyroliły się teraz na kraj tak ciężkie klęski zaboru Rusi Czerwonej, wydania znacznej części Polski cudzoziemczemu Opoleczykowi i niniejszego wreszcie zatamowania wszelkiej sprawiedliwości sądowej.

I nie przebrała się jeszcze miara niedoli. To, co ludzie najwyższem złem mniemali, wielkorządztwo tryumwirów i wicerejstwo Zawiszy miało swoim upadkiem dać jeszcze większemu złemu początek. Upadł tryumwirat przedwczesną śmiercią biskupa krakowskiego. Odłączywszy się od podróżującego trybunału kolegów, gościł Zawisza w różnych miejscach swej dyecezyi. Płochy, ale niezupełnie z zalet ogołcony, przeplatał on zdrożności zasługami. Tu zakładał kościoły we wsi swego brata, kasztelana sandeckiego, Krzesława w Chodowie, w swej własnej wsi Porębie i w innych, tu płonął cały myślą jakiegoś *opsu*. W tej chwili fundował w Krakowie kolegium mansyonarów, złożone z siedmiu kapłanów, którzyby w katedrze krakowskiej śpiewali z kolei nabożeństwo do N. Panny, uposażone snopową dziesięciną 12 siól i ogrodem w Czarnej wsi, należącej do stołu biskupiego. „Czem szczęśliwy — prawi kanonik krakowski Długosz — dokonał rzeczy pełnej zalet, przyozdabiającej katedrę krakowską, zaniedbanej od wszystkich poprzedników, a której spełnieniem wydarł wszystkim pierwszą i jedyną w swoim rodzaju palmę świetnej i znamienitej zasługi”.

W innej chwili zawrócił mu głowę widok nadobnej parafianki, córki kmiecia w biskupiej wsi Dobrawoda, koło Wiślicy. Starodawny surowy obyczaj ojca wzdrygał się na myśl zelżenia córki. Zapalony przeciwnością Zawisza, na ozele swojej zbrojnej drużyny postanowił porwać ofiarę. Przy nocnym na zagrodę napadzie skrył się kmieć z córką na poblizki bróg zboża. Dojrzał ich tam Zawisza i sam pierwszy po drabinie na górę zdążył. Kmieć obalił drabinę z napastnikiem. Padając, uszkodził się Zawisza, tak niebezpiecznie, że zcicha do domu zaniesiony, musiał łoża pilnować. Tak przynajmniej opowiada przygodę wicereja śmiertelny jego nieprzyjaciół, archidyakon Janko Czarnkowski, wyzuty przez niego z podkanclerstwa w Krakowie, a w całej swojej kronice pełen mściwego ducha ku swoim przeciwnikom. Ale ponieważ Janko pozostał jedynym wyrokodawcą o sławie i niesławie swoich spółczesników, przeto poszło całe kronikarstwo późniejsze bezwarunkowo za jego głosem i wieczystą bezcześcią napiętnowało biskupa. Nie mając poszlaków niewinniejszego zejścia Zawiszy ze sceny dziejów, musieliśmy przestać na podejrzanem zawsze świadectwie Nałęczu o Grzymalicy i powtórzyć także szpetną przygodę dobrowodzką. Ze względu przecież na niejaką wątpliwość jedyne go o niej zeznania, a niewątpliwe usługi Kościołowi i sprawom świeckim przez Zawiszę oddane, pragnęlibyśmy niewątpliwszej sprawiedliwości sądu o jednym z głównych sprawców tak ważnej w dziejach ojczy- stych zmiany, jaką wywołał zawarty w Koszycach układ.

Chorzał Zawisza przez kilka miesięcy na skutki swojej przygody, a bezkuteczność wszelkich leków przyprawiła młodego, w rok po osiągnięciu wielko- rządztwa, dnia 12 stycznia r. 1382, o śmierć niespodziewaną. W całym swoim życiu daleko surowiej, niż wszyscy jego spółczesnicy sądzony, uległ on jeszcze po zgonie surowszej karze za winę nie swoją, lecz swoich krewnych. Szanując w nim raczej świec-

kiego wicereja, niż duchowną osobę, mieli sobie ojciec Dobiesław, pan, czyli kasztelan krakowski, a osobliwie brat kasztelan sandecki za obowiązek rodzinny uczcić zmarłego nadzwyczaj świetnym i na długo głośnym pogrzebem. Jakoż dopięli celu, gdyż uroczystość ta słynie po dziś dzień, acz nader niepochlebnie, w pamięci kronik. „Pogrzebiono Zawiszę — opowiada nieprzyjazny mu historyk wielkopolski — nie po biskupiemu, nie po książęcemu, nie po królewsku, nie po cesarsku, lecz w sposób przechodzący wszelkie pojęcie. Tyle wozów, tyle rumaków, obyczajem światowym, ubliżającym stanowi duchownemu, widziałeś na tym pogrzebie z rozporządzenia brata Krzesława, kasztelana sandeckiego”. Zgorszona tym przepychem publiczność, przypominała sobie tem chętniej zdrożności nieboszczyka. Nazajutrz po pogrzebie rozeszła się między ludem straszna pogłoska. Czuwający w skarbcu katedralnym świątnicy, czyli kościelni, słyszeli nocą okropny w świątyni tętent, zapewne złych duchów w postaci końskiej, uganiających się z łoskotem po kamiennej posadzce kościoła i wołających w głos: *Pojedziemy na ops!*

We dwa miesiące później, dnia 18 marca, umarł na ohydłą chorobę spółnik Zawiszów, Mikołaj biskup poznański. Wkrótce potem, 5 kwietnia, zeszedł z tego świata mądry arcybiskup gnieźnieński, Janusz Suchywilk. Od 1 grudnia roku zeszłego opróżnione było podobnie biskupstwo płockie. Tak cztery stolice duchowne znalazły się jednocześnie bez rządców. Całej Polsce, mianowicie dworskiemu w niej wpływowi, zabrakło silnych podpór. W takim zachwianiu wypadło królowi Ludwikowi uczynić wreszcie stanowczy krok, któremu wszelkie dotychczasowe zmiany i klęski kraju służyły tylko za przygotowanie, t. j. osadzić na tronie polskim swojego zięcia, Niemca, Zygmunta Luxemburczyka.

Na ten koniec zwołał Ludwik duchownych i świeckich dostojników korony polskiej na dzień św. Jakóba do węgierskiego miasteczka Zwolenia, miejsca

łowów królewskich. Wiadomo było wszystkim, iż król za zezwoleniem narodu przeznaczył koronę polską starszej ze swych córek Maryi, poślubionej „ślubem przyszłego małżeństwa” Zygmunтови Luksemburczykowi, margrabi Brandenburskiemu. Tego więc czternastoletniego młodziana przedstawił Ludwik Polakom, jako przyszłego króla Polski. Zgromadzeni panowie, na których czele stał nowy arcybiskup gnieźnieński, Bodzanta, złożyli mu hołd wierności. Poczem, poruczony pieczy Polaków, mianowicie zaś arcybiskupa Bodzanty i starostów królewskich, otrzymał Zygmunt od teścia polecenie udać się niezwłocznie do swojego królestwa, pozajmować miasta i grody królewskie, a osobliwie przytłumić resztę przeciwnego sobie stronnictwa.

Stało się według życzeń królewskich. Czternastoletni margrabia, otoczony gronem urzędników koronnych i liczną strażą węgierską przybył z pośpiechem, bo już w miesiącu sierpniu do swojej Polski. Krakowianie przyjęli go oddawna przygotowaną życzliwością. Starości królewscy wiedli mu zewsząd zbrojne do przytłumienia opornych hufce. Z licznie zebranem wojskiem polskiem połączyły się rotys węgierskie. Arcybiskup Bodzanta, Sędziwoj z Szubina, wojewoda kaliski, a oraz wielkorządzca krakowski, i Domarat, jeneralny starosta wielkopolski, mieli jako przyboczni służyć doradcy. Głównym celem wyprawy było uśmierzenie niebezpiecznego Bartosza z Odolanowa. Zmuszono go wprawdzie w roku zeszłym do zrzeczenia się starostwa odolanowskiego, lecz z powodu niewypłaconej jeszcze sumy odstępnej trzymał on ciągle Odolanów. Nadto padło nań posądzenie o spiski z niespokojnym młodym księciem Mazowsza, w szczególności książęciem płockim, Ziemowitem, czyli Semkiem lub też Siemaszkiem, nie chcącym iść za przykładem starszego, spokojnego brata Janusza, i uczynić przynależnego hołdu królowi Ludwikowi. To nakazywało rozbroić do reszty przeciwnika. Uderzyło tedy wojsko Zygmunta naprzód na gród i mia-

sto Bartosza Koźmin, potem na pomniejsze zamki Nabieżyce i Koźminek. Po nietrudnem onych zdobyciu, obleżono po dniu 8 września główny gród, Odolauów. Niedoleżna onych czasów sztuka obleżnicza nie mogła mu wnet podołać. Skoro zamek opanowanym będzie, grożono wtargnąć w płockie księstwo Semkowe. Co jednakże nie tak łatwo ziścić się miało, gdyż Bartosz nie myślał bynajmniej o poddaniu.

Wtem nadeszła do Zygmunta wiadomość, która w inną stronę obecność jego zwróciła. Tajono jak najstaranniej tę nowinę. Było to doniesienie o śmierci króla Ludwika. „Usnął on szczęśliwie w Pauu” około połowy września r. P. 1382. Gorliwa ostatnich lat pobożność przygotowała go dostatecznie do śmierci. Za wzór tej pobożności i osobliwy przedmiot jej szczodroty obrał sobie był Ludwik zakon św. Pawła. Oszczędny przez całe życie obdarzał go król u schyłku dni swoich niezwyčajną hojnością. Budował eremitom św. Pawła klasztory, zachęcał panów węgierskich do równie szczodrych jałmużn Paulinom, udawał się często w ich klasztorną zaciszę na pobożne dumania. Naostatek miał pociechę pozyskać z wielką trudnością od senatu weneckiego złożone w Wenecyi ciało św. Pawła eremity, ojca zakonu. Dla ukrycia ludowi weneckiemu straty tak kosztownego skarbu, zostało ono potajemnie w nocy z miasta uprowadzone i spoczęło najpierwej w Budzie, a niebawem później w poblizkim, o milę tylko odległym monasterze Paulinów. Przeczuwając śmierć rychłą, chciał Ludwik pożegnać się jeszcze ze swoją młodszą, już teraz blisko dwunastoletnią, a ciągle na dworze wiedeńskim bawiącą córką Jadwigą. Przywołana z Wiednia królowna stanęła wraz z Wilhelmem u łoża rodzicielskiego. Wtedy umierający ojciec, pełen żalu, iż mu nie było dano doczekać się niedalekiej chwili dojrzałości Jadwigi i spodziewanego wówczas dopełnienia jej zaślubin z Wilhelmem, powtórzył wobec liczного grona dawno oświadczone życzenie, aby Jadwiga z Wilhelmem posiadała tron węgierski, Marya zaś

z bawiącym już w Polsce Zygmuntem objęta koronę polską. Jakkolwiek odpowiedź dać później miały losy temu życzeniu ojcowskiemu, ze strony Polaków nie mu w obecnej chwili nie stało na przeszkodzie.

Tając smutną o śmierci królewskiej wieść, postanowili trzej polscy doradcy Zygmunta pod Odolanowem przedsięwziąć doraźne co prędzej kroki, któreby młodemu margrabi zapewniły spokojne posiedzenie korony polskiej. Ku temu potrzeba było Zygmunтови i w Wielkopolsce równie przychylnego przyjęcia, jak w Małopolsce, a takie przyjęcie w Gnieźnie wymagało spokoju ze strony Bartosza z Odolanowa. Zaczem ofiarowano mu zgodę, mocą której miał Odolanów znowuż wykupionym być odeń. Bartosz zezwolił. Całe załatwienie sprawy przeszło na wybranych przez obie strony sędziów polubownych, upoważnionych do oznaczenia sumy wykupnej za gród i przyległości Odolanowskie. Tymczasem młody margrabia rozpuścił wojsko oblężnicze, i jako niewątpliwy dziedzic korony Piastów, udał się po hołd wierności do Wielkopolski.

Wielkopolanie nie stawili wcale oporu. Jakkolwiek Zygmunt swoją cudoziemskością niezbyt gorące w wielkopolskiej braci wzbudzał spółczucie, przecież zaprzysiężone raz pakta i spokojne uznanie margrabi przez Małopolan zniewalały do równej powolności. Miasta wielkopolskie, jak wszystkie nasze miasta ówczesne, znacznie żywiłem niemieckim podsycone, a przeto niemało rade Niemcowi Zygmunтови, już mu hołd i przysięgę złożyły. Zjechała też i szlachta w tym samym zamiarze do Poznania.

I była wszelka nadzieja pomyslniej dla Zygmunta przyszłości w Polsce. Pierwsze jego tu wystąpienie nie odstręczało umysłów. Powierzchność jego mile bawiła oko. Z poniewolnem upodobaniem musiała szlachta wielkopolska patrzeć na rycerskiego młodziana, wjeżdżającego wspaniale w mury Poznania. Wydał on tam kilka dokumentów w tej porze,

u których zawieszono pieczęcie z wizerunkiem jego osoby, pozwalają nam podać bliższy obraz postaci młodego Luksemburczyka. Słusznego wzrostu, pięknych rysów twarzy, jechał on w zbroi na rosnym koniu, okrytym od głowy aż do ziemi fałdzistą, pstrobarwną deką, czyli kropierzem. Moda lat onych nakazywała, aby rycerz na swoim małym wysokim siodełku stał raczej wyprężony w strzemienu, niżli siedział. Na głowie świecił Zygmunтови hełm pozłocisty, dla ochrony od słońca i deszczu opięty barwną kitajkową oponą, powiewającą z tyłu długim ogonem. Na szczycie hełmu wznosiło się olbrzymie ubranie z pawich piór, które w dwa piętra ułożone, wyrastały z grzebienia hełmowego naprzód w niskim i gęstym, a wyżej rzadszem, lecz nadzwyczajnie wysokim, połysnio falującym półkolu. U szyi wisiała niewielka, ledwie piersi zakrywająca tarcza trójkątna, zaokrąglona u dołu, przecięta w cztery pola herbowe, na których błyszczały zwykle dwa złote czeskie lwy naprzeciw dwom orłom brandenburskim, a teraz może i nowy orzeł polski. Lewa ręka przyciągała koniowi szeroką taśmę lejcową, a prawa dzierżyła długi rycerski miecz. Nadto tkwił jeszcze u pasa po prawej stronie mały kord w pochwie. Zuchowata mina uzupełniała wrażenie zadowolenia Wielkopolan. „Byłe stałe zamieszkał w kraju, byłe otoczył się radą polską, oddalił znienawidzonego szlachcie wielkorządcę Domarata—myślała bracia wielkopolska—a jako małżonek królowny Maryi będzie miłym nam królem.” Jakoż oświadczone życzenie to Zygmunтови. Lecz Zygmunt nie chciał odjąć wielkorządztwa Domaratowi. Wyszła więc szlachta z miasta, i zgromadziwszy się w kościele katedralnym, uradziła nie składać pierwej hołdu, aż póki Domarat ze starostwa nie ustąpi. Na co bynajmniej nie zważając, pozwolił młody margrabia rozjechać się szlachcie do domów, a sam ruszył dalej po hołd do Gniezna.

Uprowadził go tam już arcybiskup Bodzanta. Przyjęty przez kapitułę i duchowieństwo gnieźnieńskie ja-

ko nowy ksiązę Kościoła polskiego, przyjął arcybiskup nawzajem w kilka dni później z wielką uroczystością Zygmunta w Gnieźnie. Pierwszego dnia solenna z chorągwiami procesya księży i ludu z nowym arcybiskupem na czele wprowadziła koronnego gościa, jak przy każdym zwykle witanu, nasamprzód do kościoła archikatedralnego. Nazajutrz odbyły się w tymże kościele świetne za duszę zmarłego króla egzekwie. Po egzekwiach zgłosiła się znowuż deputacya szlachty wielkopolskiej, upraszająca Zygmunta, aby przez wzgląd na mnogie krzywdy i uciemiężenia, jakich ubodzy ludzie doznają od Domarata, złożył go z wielkorządztwa. Co gdy się stanie, chętnie Zygmuntovi i Maryi berła dozwolą. Zygmunt dał znowuż odmowną posłom odpowiedź i w towarzystwie arcybiskupa, Domarata i kaliskiego wojewody, Sędziwoja, wyjechał nazajutrz do Kujaw.

W Brześciu Kujawskim stanęło przed nim poraz trzeci poselstwo szlachty z tąż samą prośbą o usunięcie Domarata. Ta cierpliwa uporczywość Wielkopolan zniecierpliwiła cudzoziemczego młodzieńca. Do stanowczego zaprzeczenia natrętnemu żądaniu dodał on tym razem pogroźkę ukarania głównych doradców prośby. Poczem bez troski o niechęć szlachty, pewny tronu „pan królestwa polskiego” — jak Zygmuntów tytuł na wydanych przezeń w Poznaniu dokumentach już głosił — zwrócił Luksemburczyk uwagę swoją w stronę, z którą daleko serdeczniejsze, niż ze szlachtą polską wiązało go współczucie. Stroną tą były sąsiednie Prusy, państwo zakonu niemieckiego. W tym samym czasie, kiedy deputacya szlachecka niosła Wielkopolanom groźną odpowiedź Brzeską, przesłał Zygmunt W. mistrzowi zakonu niemieckiego, Konradowi Czolner de Rotenstein, uprzejme zaprosiny na zjazd poufny. I nam tedy udać się za posłami Zygmuntoвыми w tę nową, nieznaną nam dotąd stronę.

Sp